

MARY SHELDON

WYBÓR

Cioci Rodie - za życie pełne miłości

Prolog 1

Czerwiec 1956

Była siódma rano, a słońce w Los Angeles już nikło za chmurą smogu.

W sypialni Zoe zadzwonił telefon.

- Cholera! - Zaspana, po omacku szukała słuchawki. - Słucham?

Senność minęła, ledwie usłyszała głos.

- Tak, Max?

Wyplątała się z różowej pościeli, usiadła na satynowym prześcieradle i słuchała w napięciu. Nagle zmarszczyła brwi i sięgnęła po papierosa.

Koniuszek rozżarzył się jasno.

- Cóż - powiedziała w końcu - rozumiem. - Nie, nie wygłupiaj się, przecież to nie twoja wina. Najwyraźniej tak miało być. I dzięki, że się za mną wstawiłeś.

Powoli odłożyła słuchawkę. Wyciągnęła się na łóżku i dopaliła papierosa.

W pokoju obok rozległ się głośny żaloszny płacz. Zoe z westchnieniem zdusiła niedopałek.

- Już idę, skarbie! - zawołała. - Już idę.

Kilka minut przed dwunastą weszła do restauracji Nate'n Al. Kiedy usiadła przy stoliku, zobaczyła Hansa Lasky'ego - wszedł do lokalu. Zeszczuplał i posiwiał, ale wzruszyło ją, jak elegancko ubrał się na to spotkanie.

Uśmiechnęła się pogodnie.

- Hans, mój drogi - mruknęła, całując go w policzek.

- Coś nie tak. - Domyślił się od razu. W jego głosie z wyraźnym akcentem słyszała niepokój. - Co się stało?

- Nie dostałam tej pracy - odparła po prostu. - Max dzwonił, wybrali kogoś z większym doświadczeniem.

Zmarszczył brwi.

- Przykro mi. Wiem, jak bardzo ci na tym zależało. Ale może nie warto się martwić.

Zoe pokręciła głową.

- Nie warto? To był wyjazd do Europy. I prestiż. Ta praca urządziłaby mnie do końca życia: kilka lat za granicą, a potem mogłabym otworzyć własną agencję.

- A czemu nie od razu?

Roześmiała się gorzko.

- Chyba żartujesz. Trzeba mieć niezły dorobek, żeby w ogóle wystartować w tej branży. A ja nie mam nic.

Starszy mężczyzna pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.

- To prawda, moja droga. Ty nie. Ja tak.

Zoe chciała coś powiedzieć, ale nie dał jej dojść do słowa.

- Powiem ci, co masz robić. Założysz własną agencję, a mamie każdego dzieciaka, którym będziesz chciała się zająć, obiecasz, że Hans Lasky sfotografuje jej pociechę za darmo.

- Hans!

Uśmiechał się szeroko.

- I szepnę o tobie tu i ówdzie: Zoe Andrews, wiecie, jest młoda, ale daję słowo, jeśli chodzi o dzieciaki, najlepsza. Zobaczysz, ani się obejrzysz, a będziesz miała największą agencję w Hollywood. - Czule poklepał jej rękę. - Uwierz mi, moja droga, dzisiejsza porażka jeszcze wyjdzie ci na dobre.

Delikatną dłonią podniósł do ust ogórek i zaczął jeść.

- Pomyśl o Caroline - dodał. - Gdybyś dostała tę pracę, jak potoczyłyby się losy twojej córki? Przecież nie mogłabyś jej zabrać ze sobą.

- No, nie - przyznała. - Barton musiałby wziąć ją do siebie. Chce wracać do Nowego Jorku, kiedy tylko rozwód się uprawomocni. - Widząc minę Hansa, dorzuciła szybko: - Nie miałam zamiaru porzucić mojego dziecka. Chciałam wyjechać na rok czy dwa.

- I co, myślisz, że Barton później by ci ją oddał? Nie, tak będzie najlepiej. Miejsce dziecka jest przy matce. Będziesz miała i Caroline, i agencję, zobaczysz.

Zoe położyła rękę na jego dłoni i uścisnęła ją serdecznie.

Po powrocie do domu zastała Daphne, opiekunkę córeczki, na kanapie przed telewizorem.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Caroline była grzeczna? Nie rozrabiała?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Jest idealna. Właśnie położyłam ją spać.

Kiedy Daphne poszła, Zoe zajrzała do pokoju dziecinnego. Pochyliła się nad śpiącą córeczką.

- No, malutka - szepnęła. - Wygląda na to, że jesteś na mnie skazana. Już my im pokażemy.

Caroline otworzyła ciemnoniebieskie oczy i spojrzała na matkę.

Prolog 2

Czerwiec 1956

Była siódma rano, a słońce w Los Angeles już nikło za chmurą smogu.

W sypialni Zoe zadzwonił telefon.

- Cholera! - Zaspana, po omacku szukała słuchawki. - Słucham?
Senność minęła, ledwie usłyszała głos.

- Tak, Max?

Wyplątała się z różowej pościeli, usiadła na satynowym prześcieradle i słuchała w napięciu. Z uśmiechem sięgnęła po papierosa.

- No to bomba - powiedziała w końcu. - Wspaniałe wieści. Powiedz, że się zgadzam. I dzięki, Max, że się za mną wstawiłeś. Muszę tylko załatwić kilka spraw i jestem do twojej dyspozycji.

Pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Wyciągnęła się na łóżku i dopaliła papierosa.

W pokoju obok rozległ się głośny żaloszny płacz. Zoe zdusiła niedopalek.

- Już idę, skarbie! - zawołała.

Caroline szlochała rozpaczliwie. Zoe wzięła ją na ręce i przytuliła.

- Już dobrze - szepnęła. - Po co te łzy. Zoe jest przy tobie.

Zoe była pierwsza w restauracji Nate'n Al. Pomachała Bartonowi, ledwie wszedł. Zauważyła, że ubrał się wyjątkowo elegancko.

Lekko pocałował ją w policzek i usiadł.

- Dobrze wyglądasz.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się wdzięcznie.

Zamówili kawę i przez chwilę rozmawiali o niczym.

- No więc - Barton w końcu przeszedł do rzeczy. - Dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć?

Zoe wciągnęła powietrze.

- Nadal chcesz wrócić do Nowego Jorku, kiedy to wszystko się skończy?

Barton wyglądał na zdziwionego.

- A po co miałbym tu zostawać?

Skinęła głową.

- Cóż - rzuciła lekko. - W takim razie nie wrócisz sam.

Wstrzymał oddech, nagle spięty. Zrozumiała; myślał, że ona mówi o sobie.

- Kogo masz na myśli?

- Caroline - wyjaśniła szybko. Starła się mówić beztróskim tonem.
- Chyba przez pewien czas będziesz musiał się nią zająć.

Barton zamrugał.

- Słucham?

- Dzwonili do mnie dzisiaj z Nowego Jorku. Agencja Dawson otwiera zagraniczną filię... i ja mam nią kierować. A to oznacza kilka lat w Europie.

Barton chciał coś powiedzieć, ale Zoe nie dała mu dojść do słowa.

- Trafia mi się wspaniała okazja, lecz to oznacza, że przez pewien czas nie będę mogła opiekować się Caroline.

Chwila ciszy.

- Dlaczego nie może pojechać z tobą?

- Barton, otwieram agencję. Będę pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, ciągle w rozjazdach... Nie mogę jej tego zrobić. A bardzo chcę tej pracy. - Uśmiechnęła się. - Będzie super - zapewniła beztrósko. - Nawet nie odczujesz, że ona jest z tobą. Znajdziesz sobie apartament przy Park Avenue, zatrudnisz gosposię... - W jej śmiechu pojawiła się nuta goryczy. - Kto wie, może nawet znowu się ożenisz.

- W to akurat wątpię - prychnął. - Posłuchaj, Zoe... mówisz poważnie? Naprawdę chcesz, żebym wziął Caroline?

- Nie, nie chcę - zachnęła się. - Ale nie widzę innego wyjścia.

- A kiedy wrócisz z Europy?

- Oczywiście wezmę ją do siebie.

Barton pokręcił głową.

- Nie, to nie w porządku. Nie możesz mi jej ot tak odebrać po kilku latach.

- Och, pomyślimy o tym później - zbyła go pospiesznie. - Na razie nie musimy ustalać wszystkich szczegółów. Na pewno znajdziemy kompromisowe wyjście.

- Może. Ale musimy to ustalić z prawnikami. Wszystko musi być całkowicie jasne.

Westchnęła.

- No dobrze, dobrze.

Kelnerka przyniosła rachunek. Zoe sięgnęła po portmonetkę, ale Barton ją powstrzymał.

- Ja stawiam. - Otworzył portfel. - A przy okazji, gratuluję nowej pracy.

Zoe spojrzała na niego zamyślona.

- Wiesz co? Właściwie przystojny z ciebie facet. Chyba wiem, dlaczego się w tobie zakochałam.

Po powrocie do domu zastała Daphne, opiekunkę córeczki, na kanapie przed telewizorem.

- Wszystko w porządku? - zapytała. - Caroline była grzeczna?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Jest idealna. Właśnie położyłam ją spać.

Kiedy Daphne poszła, Zoe zajrzała do pokoju dzieciennego. Pochyliła się nad śpiącą córeczkę i dotknęła małej różowej rączki.

- Moja mała gwiazdeczka - szepnęła ze łzami w oczach. - Tak ciężko na to pracowałam. Dobrze ci będzie w Nowym Jorku. Ale nie wyjedziesz tam na zawsze, obiecuję.

Wzięła małą na ręce i przytuliła. W lustrze widziała odbicie matki i córki, tak blisko siebie. Usta zaczęły jej drżeć. Przycisnęła Caroline tak mocno, że mała się obudziła i zaniósła głośnym płaczem.

Część 1

Aniołek na chmurce

Caroline

Pierwsze wspomnienie Caroline to kradzież telewizora.

Ma cztery lata. Tego dnia jej ojciec wyjechał w interesach. Często wyjeżdża - to już trzeci raz w ciągu sześciu tygodni. Jest architektem; Caroline często widzi jego nazwisko na tabliczkach w holach budynków. Nie umie jeszcze czytać, ale wodzi po literach palcami.

Rozpiera ją duma, kiedy widzi nazwisko taty - jest chyba tak samo sławny jak prezydent Eisenhower. Podchodzi do przechodniów, pokazuje plakietkę z nazwiskiem i mówi:

- To mój tatuś.

Nie rozumie tylko, czemu tak często wyjeżdża. Przecież w Nowym Jorku jest wszystko: ogród zoologiczny, park, uśmiechnięty odźwierny w ich apartamentowcu... W ich mieszkaniu też jest wszystko, co trzeba: duży pokój z zabawkami, ogromny telewizor w salonie i balkon, z którego widać daleko w dole malutki Central Park. A tatuś mimo to ciągle wyjeżdża w interesach.

Caroline zawsze jest smutno, kiedy tatuś wyjeżdża. Lubi, kiedy są razem. Jest duży i przystojny, pachnie tak cytrynowo i bezpiecznie. Lubi zakradać się do jego gabinetu i bawić się mosiężnymi ciężarkami do papieru i figurami szachowymi z kości słoniowej. Lubi, kiedy tatuś się śmieje i łaskocze ją na dobranoc. Lubi nawet, choć mniej niż on, zabawę w literowanie przy kolacji. Ale kiedy on wyjeżdża, też jest fajnie. W pewnym sensie nawet fajniej, bo kiedy tatusia nie ma, więcej czasu spędza z Laurą.

Laura była u nich od zawsze. Jest stara, czarna i pachnie tajemnicą. To najważniejsza osoba w domu. Laura rano pochyla się nad Caroline. Laura decyduje, ile brązowego cukru trafi do porannej owsianki. Laura ustala, czy pójdą do parku, czy nie. Laura wreszcie wieczorem całuje ją na dobranoc.

Kiedy Barton wyjeżdża, nie jedzą w jadalni, tylko w kuchni, i nie egzotyczne przysmaki, które tatuś zawsze jej podsuwa, tylko zwykłe, proste potrawy - gotowaną kukurydzą i brzoskwinie z puszki.

- A co, jeśli pewnego dnia będziesz ambasadorem w Chinach czy Meksyku? - pyta tata. - Będziesz musiała jeść wszystko, co podadzą, inaczej skompromitujesz nasz kraj.

Caroline nie chce być ambasadorem w Chinach czy Meksyku. Chce tylko siedzieć w kuchni i jeść gotowaną kukurydzą.

Po kolacji grają z Laurą w karty, w piotrusia. Czasami tak długo, że Caroline ma karty przed oczami, kiedy kładzie się spać. Zawsze wygrywa.

- No nie! Znowu przegrałam! - Laura udaje, że płacze. Caroline podbiega, przytula ją bardzo mocno i serdecznie pociesza.

A wieczorem, na dobranoc, Laura układa Caroline do snu i opowiada straszne historie o Wyspach Dziewiczych, skąd pochodzi. Opowiada o mężczyznach w drewnianych maskach, tańczących przy ognisku. Caroline panicznie boi się tych masek, wyobraża sobie ich puste, groźne oczodoły, ale nic nie mówi, bo nie chce, żeby Laura przestała opowiadać.

Barton często wyjeżdża w weekendy i wtedy jest najfajniej.

- Pojedziemy do ciebie jutro? - pyta Caroline w piątkowe wieczory, gdy ojca już nie ma. - Proszę, proszę!

Laura nie zawsze się zgadza; nie wie, czy Barton aprobuje te wyprawy.

Ale często ulega.

Przygoda zaczyna się już z rana, kiedy trzeba wstać bardzo wcześnie i iść do metra. Potem podróż zatłoczonym dusznym pociągami, i tyle nie znanych odgłosów. Caroline się nie boi, bo trzyma Laurę za rękę. I wreszcie są w innym świecie, tak różnym od ulicy, przy której mieszka.

Przed blokami nie ma odźwiernych ani klombów, za to jest mnóstwo bezpańskich psów i ludzi na progach domów; Laura i Caroline idą prosto, potem skręcają, i już są przed jasnoniebieskim domkiem Laury. A tam czeka na nie Dale, córka Laury, niska kobieta z burzą włosów, i najlepsza, i najgorsza ze wszystkiego - Yvette.

Yvette to wnuczka Laury. Ma sześć lat. Jest ciemna jak Laura i nosi mnóstwo cieniutkich warkoczyków ze wstążeczkami.

- Możesz mnie tak uczesać? - poprosiła kiedyś Caroline.

Laura parsknęła śmiechem.

- Chyba nie będzie ci do twarzy.

- Nie szkodzi.

Tego wieczoru Laura zaplotła jej jasne włosy w cienkie warkoczyki. Caroline udawała, że jej się podobają, ale w głębi duszy wiedziała, że nie wygląda w nich dobrze. Poprosiła Laurę, żeby je rozplotła.

Yvette jest fascynująca. Ma chomika w klatce. Chodzi do pralni. Zna dziewczynkę, której tatuś siedzi w więzieniu. Umie kręcić hula - hoop.

Ale najwspanialszą rzeczą w jej życiu jest Playland. Jeździ tam dwa razy w roku, raz latem i raz zimą. Playland wydaje się najcudowniejszym miejscem na ziemi, barwnym jak karty do piotrusia. Są tam lizaki wielkie jak talerze i różowa wata cukrowa, puchata jak fryzura starszej pani.

Caroline nigdy nie miała dosyć opowieści o nim.

- Ostatnim razem byłam na górskiej kolejce - mówi Yvette.

Caroline jest pod wrażeniem.

- Tej dużej?

- No.

- A na wirujących filiżankach?

- Pewnie.

- A na karuzeli ze słoniami?

- Tak, tak, chociaż już jestem na to za stara.

A najcudowniejsza w Playlandzie jest gra w rzucanie.

Caroline kiwa smętnie głową. W kółko opowiada tacie o Playlandzie, ale on jakoś nie pali się, żeby ją tam zabrać.

- Idzie się do takiej budki i pan daje ci trzy obręcze. Trzeba je zarzucić na butelki po mleku. Jeśli trafisz, dostajesz nagrodę!

Caroline wstrzymuje oddechu. Wie, co będzie dalej.

- Chcesz zobaczyć, co wygrałam?

Caroline kiwa głową.

Idą do pokoju Yvette, a tam, w rogu, siedzi wielki różowy pluszowy miś, większy od Caroline, większy od Yvette, z czerwoną tasiemką na szyi i satynowym serduszkem na piersi.

Caroline wzdycha z zazdrością.

Yvette widzi jej minę i śmieje się głośno.

- Może ty też coś wygrasz.

Zawsze kiedy Caroline przychodzi do Yvette, ćwiczą rzucanie. Ustawiają w przedpokoju puste butelki po mleku i rzucają na nie tekturowe obręcze.

- Póki co, możemy poćwiczyć - proponuje pogodnie Yvette.

Gdy przychodzi na nią kolej, Caroline wyobraża sobie misia, którego kiedyś wygra. Nie wybierze różowego, jak Yvette. Nie, jej będzie turkusowy i nazwie go Rajah. Nie zostawi go ani na chwilę. Zabierze na diabelski młyn, na zjeżdżalnię, na wszystkie karuzele.

Trafia obręczą po raz trzeci i uśmiecha się.

Jest koniec grudnia. Barton pojechał na weekend do Filadelfii. W sobotni rano Caroline i Laura wsiadają do metra i jadą do Dale i Yvette.

Chmury kłębią się nisko. Na ulicach Harlemu leżą śmieci i wyrzucone choinki.

Caroline idzie coraz szybciej. Nie może się doczekać, kiedy pokaże Yvette swój gwiazdkowy prezent - lalkę, która naprawdę mówi. Caroline wie, że Yvette nie ma takiej lalki, i jest jej naprawdę przykro, ale i tak musi się nią pochwalić.

Drzwi się otwierają, ledwie zapukała.

- Cześć - mówi Yvette. Patrzy na gadającą lalkę.

- Dostałam pod choinkę.

Yvette kiwa głową.

- Zobacz, co ja dostałam.

Caroline idzie za nią do jej pokoju. A tam, na stoliku przy łóżku, stoi biało - żółty drewniany domek dla lalek. Caroline gapi się z zachwytem, aż otwiera buzię z wrażenia. Gadająca lalka to nic. Nawet różowy miś nie może się z tym równać. Domek dla lalek jest jak z bajki; Caroline w życiu nie widziała czegoś tak wspaniałego.

Kłęka i ogląda każdy pokój. Miniaturowe dywany, zasłony w kwiatki, pościelone łóżka, lampy, garnki, talerze. Wszystko takie piękne, aż bolą ją oczy. Idealny świat, którego nic nie zburzy, nie zepsuje.

- Jest nawet telewizor - pokazuje Yvette.

Telewizor jest najfajniejszy; zielony, z małą antenką, z ekranem wielkości orzecha. Na takim ekranie Myszka Miki będzie mniejsza od mrówki.

Caroline ma łzy w oczach. Wybiega na dwór.

Laura idzie za nią.

- Co się stało, skarbie?

- Chcę domek Yvette!

Yvette wyszła na dwór. Siedzi na schodkach i słucha.

Laura obejmuje Caroline.

- Wiesz co? Jak wrócimy do domu, zrobimy ci domek dla lalek z pudełek po butach. Uszyjemy malutkie zasłony, zrobię ci dywaniki na drutach, łóżeczka też będą.

Caroline przestaje płakać.

Yvette jest wściekła.

- Mnie nigdy nie szyłaś zasłonek! Dlaczego ja nie mam domku z pudełek po butach? Jej będzie ładniejszy!

Caroline jest szczęśliwa. Już sobie wyobraża narzuty z chusteczek i mebelki z tektury i plasteliny. Ale jednego sama nie zrobi. Nie robi telewizora.

Pomysł przychodzi jej do głowy, gdy jedzą z Yvette podwieczorek. To grzech, wie, ale nie ma wyjścia. Yvette niczego nie podejrzewa.

- Zagramy w rzucanie? - pyta po podwieczorku.

- Nie - odpowiada Caroline.

Yvette jest zaskoczona i rozczarowana.

- Dlaczego?

Caroline wzrusza ramionami.

- I tak musimy już jechać - mówi Laura.

Wstają od stołu i żegnają się z Dale i Yvette. Caroline wychodzi przed dom.

- Poczekaj! Zapomniałam czegoś! - woła i biegnie do pokoju Yvette.

Kradnie telewizor z domku dla lalek - trwa to moment.

Przez całą długą drogę do domu Caroline pieką oczy. Niewidomy mężczyzna zdaje się na nią patrzeć; czy wie, co ona ma w kieszeni? Dziewczynka nie odzywa się słowem. Laura, zajęta robieniem na drutach, niczego nie zauważa. W ich apartamentowcu odźwierny uśmiecha się jak zwykle, windziarz kłania się nisko. Caroline nie może spojrzeć im w oczy.

Zastanawia się, czy Yvette już zauważyła, że telewizor znikł.

Caroline wie, że powinna go zwrócić, lecz wie też, że tego nie zrobi.

Ale jakoś to wynagrodzi Yvette: następnym razem zawiezie jej pluszowego misia koala. I domino, i może nawet ukochaną turkusową kredkę.

Zjadły kolację.

- Gramy w karty? - pyta Laura.

Caroline kręci głową.

- Chciałabym się położyć.

Laura marszczy czoło.

- Dobrze się czujesz?

- Tak.

Laura prowadzi Caroline do sypialni i pomaga jej się rozebrać. Opowieść na dobranoc zdaje się ciągnąć bez końca. W końcu Laura wychodzi i Caroline zostaje sama.

Po omacku wstaje, podchodzi do szafy z zabawkami, zapala światło i zdejmuje małe telewizorki z półki. Wstrzymuje oddech, wciska guzik i czeka, aż pojawi się obraz. Czas na Króla Przestworzy - lada chwila wzbije się w niebo samolocikiem wielkości muchy. Ale nic się nie dzieje. Mały ekran jest wciąż szary.

Caroline naciska jeszcze raz. Nadal nic. Dlaczego nie działa? Może go popsuła, kiedy niosła go w kieszeni?

I nagle uśmiecha się z ulgą. No jasne. Światło. Tatuś jej to kiedyś tłumaczył. Przez telewizor przechodzi światło i stąd biorą się obrazki. W szafie jest za ciemno, dlatego nie działa.

Wraca do łóżka. Ostrożnie ustawia telewizorek na nocnej lampce - na żarówce, pod kloszem. Robi to uważnie, bo żarówka parzy. Patrzy i patrzy, aż przed oczami wirują jej jasne plamy. Chyba telewizorek zaczyna działać - Caroline widzi na ekranie słaby blask. Lada moment pojawi się Król Przestworzy. Wchodzi pod kołdrę, nie odrywając wzroku od telewizora. Bołą ją oczy. Zamknie je na chwilę, tylko na chwilę.

Budzi ją smród. Caroline kaszle głośno. Otwiera oczy, a tam, na żarówce, widzi coś okropnego: szary, bezkształtny przedmiot. Odsuwa się, ale nie może oderwać od niego wzroku. To coś wygląda jak maski z opowieści Laury, groźne maski o pustych oczodołach. Telewizor gdzieś zniknął.

Rozgląda się dokoła w panice... już wie - ta obrzydliwa rzecz to jej telewizorek. Roztopił się na żarówce. Zrzuca go, aż spada pod łóżko. Caroline zaczyna krzyczeć.

Wbiega Laura. Całą głowę ma w wałkach.

- Skarbie, co się dzieje? Co tu tak śmierdzi?

Ale Caroline nie odpowiada. Nie może opowiedzieć o kradzieży, o zabójstwie telewizora, o małych zwłokach pod łóżkiem. Krzyczy i krzyczy, przerażona i nękana wyrzutami sumienia, a Laura tuli ją i pociesza.

Nigdy więcej nie poprosi, żeby pojechały do Yvette.

Pewnego wieczoru, przy kolacji, Barton wygląda na bardzo z czegoś zadowolonego.

- Zbliży się twój wielki dzień - mówi.

Caroline otwiera szeroko oczy. Czyżby wreszcie mieli pojechać do Playlandu?

- Jak to?

Ojciec się uśmiecha.

- Idziesz do przedszkola.

Caroline milczy. Skupia się na kotlecie z nadzieją, że jeśli nic nie powie, temat zniknie. Nie znika.

- Cieszę się, a ty nie? - pyta ojciec.

Caroline przecząco kręci głową. Nie bardzo wie, co to jest przedszkole, ale to chyba nic miłego.

- Spodoba ci się - zapewnia Barton. Dużo się nauczysz. Będziecie się bawić tak jak my razem.

Caroline nie przepada za tymi zabawami, ale tego mu nie powie.

W oczach stają jej łzy.

- Nie pójdę.

Barton tłumaczy spokojnie. W kółko powtarza, jak fajnie będzie w przedszkolu. Przy deserze jednak w jego głosie pojawiają się nuty irytacji, aż w końcu nie wytrzymuje.

- Caroline, dość tego. W poniedziałek rano idziesz do przedszkola.

W poniedziałek rano? Przedszkole zaczyna się dopiero w poniedziałek? Caroline czuje wielką ulgę - do poniedziałkowego ranka jeszcze mnóstwo czasu.

Jednak poniedziałkowy ranek w końcu nadchodzi.

- Wstawaj, skarbie! - woła Laura. - Dzisiaj jest wielki dzień!

Pomaga Caroline włożyć czerwono - niebieską sukienkę i nowe niebieskie buciki. Ojciec czeka w jadalni. Caroline udaje, że go nie zauważa.

Owsianka zjedzona, sweterek na plecach - i nagle ona, Barton i Laura jadą windą na dół. Odźwierny łapie im taksówkę.

Caroline kurczowo trzyma się Laury, w końcu wsiada jednak do taksówki. Otwiera okno i wyciąga ręce do malejącej zapłakanej postaci na chodniku. Malutkiej jak lalka w domku dla lalek.

Przedszkole jest okropne. Caroline nic się tam nie podoba. Nie lubi innych dzieci, nie lubi przedszkolanki, pani McElroy, nie lubi owsianych ciasteczek.

Co rano błaga Laurę, żeby pozwoliła jej zostać w domu. Czasami, kiedy ojca nie ma, Laura ulega i Caroline nie musi iść do przedszkola. W te dni nie wstaje z łóżka, tylko kuli się pod kołdrą, wreszcie bezpieczna.

Ale w październiku wszystko się zmienia. Do przedszkola przychodzi nowy chłopiec. Davie jest chudy, jasnowłosy, je jabłko małymi, nerwowymi kęsami. Na dworze popisuje się okrzykiem Tarzana.

Caroline zawsze się zastanawiała, jak to jest zakochać się, i teraz już wie.

Odtąd wszystko jest inaczej. Rano nie może się doczekać, kiedy w końcu pójdzie do przedszkola. Całymi dniami obserwuje Daviego i wymyśla różne historie o sobie i o nim.

Wyobraża sobie, że weszła na szczyt drabinki i nie może zejść.

- Ratunku! Pomocy! - zawoła, a Davie wybiegnie z sali i ją uratuje.
- Dziękuję - powie mu. - Uratowałeś mi życie.

A on weźmie ją za rękę i przez cały dzień będą się razem bawili, będą budowali zamki z piasku i huścili się na huścawkach, tylko we dwoje.

Zazwyczaj Caroline wraca do domu szkolnym autobusem, ale któregoś dnia ma wizytę u lekarza i Laura postanawia, że pojedą do niego taksówką.

Caroline nie może się doczekać, kiedy Laura przyjedzie do przedszkola i Davie ją zobaczy.

Po zajęciach dzieci czekają w ogródku. W końcu podjeżdża taksówka.

- Laura! - woła Caroline.

Davie się odwraca, słysząc jej głos, i Caroline wie, że ją obserwuje.

Podbiega do Laury, całuje ją i ściska mocniej niż zazwyczaj. Chce, żeby Davie to zobaczył.

Kiedy jednak na niego patrzy, widzi, że chłopiec ma dziwną minę.

- Dlaczego ją całujesz? - pyta on z niesmakiem. - Przecież to tylko twoja służąca.

Caroline przygląda się Daviemu. A potem Laurze.

Caroline już nie ściska i nie całuje Laury, gdy ta odbiera ją z przedszkola. Nawet kiedy Daviego nie ma w pobliżu, zachowuje się inaczej. Traktuje Laurę chłodniej, bardziej obojętnie. Powtarza sobie, że Laura nie należy do rodziny. To tylko służąca.

W styczniu ojciec Caroline dostaje duże zlecenie - będzie projektował nowy biurowiec w Waszyngtonie. Opowiada o tym Caroline, a ona czuje się ważna i dorosła.

Tydzień później, po południu, woła ją do swojego gabinetu.

- Chodź, Caroline. Chciałbym ci coś pokazać.

A tam na szklanym blacie stolika stoi miniaturowy wieżowiec. Wspaniały. Na makiecie są małe drzewa i nawet ludzie. Caroline ma łzy w oczach.

- To dla mnie?

Barton śmieje się głośno.

- Niestety nie. To się nazywa model architektoniczny, miniaturowa wersja budynku, który powstanie w Waszyngtonie. Jutro zaprezentuję go zleceniodawcom.

- Dostanę go, jak skończysz?

Przygląda się jej badawczo, coraz uważniej.

- Caroline, możesz na to tylko popatrzeć, rozumiemy się? Nie podchodź do makiety. Jest bardzo delikatna, jeden niewłaściwy ruch i tygodnie pracy pójdą na marne. - Szczypie ją w policzek. - Chyba tego nie chcesz, co?

- Nie - odpowiada Caroline.

Barton wychodzi na partyjkę squasha. Caroline błyskawicznie wraca do gabinetu.

Nie zepsuje makiety. Przecież nie chce, żeby tygodnie pracy poszły na marne. Ale musi się przekonać, co tam jest w środku, czy są mebelki.

Pochyla się i lekko pociąga za dach budynku. Ani drgnie. Ciągnie mocniej, tylko odrobinę mocniej, i nagle makieta się zsuwa. Wieżowiec się przechyla, przewraca, spada na ziemię. Caroline odskakuje w tył. Wciąż trzyma dach modelu.

Patrzy z przerażeniem na to, co zrobiła. Jedno jedyne słowo cisnie się jej na usta, krzyczy je na całe gardło:

- Laura!

Wbiega natychmiast. W pierwszej chwili nic nie mówi. Patrzy na budynek bez dachu, pofałdowany aksamitny trawnik, poprzewracane ludziki.

- No - mruczy w końcu - chyba było małe trzęsienie ziemi.

Stawia makietę na stole, biegnie do kuchni po klej i zabiera się do pracy. Caroline stoi obok i wstrzymuje oddech. Kiepsko to wygląda. Makiety nie da się naprawić. Ojciec ją zabije. Laura nie daje za wygraną. Nuci coś pod nosem, coś o wielkim trzęsieniu w biurowcu. I nagle, nie do wiary - wszystko wygląda o wiele lepiej. Trawniki są proste, ludziki stoją.

I dach jest na swoim miejscu. Cud.

Caroline jest uratowana. Ojciec o niczym się nie dowie.

- Dziękuję - szepcze. - Jesteś najwspanialsza na świecie.

Nagle się czerwieni. Zawstydzona, przypomina sobie, jak ostatnio odnosiła się do Laury. Brak jej słów, żeby przeproszać i wyjaśniać, więc rzuca się jej na szyję.

- Kocham cię najbardziej ze wszystkich.

- Dziękuję, skarbie. - Laura klepie ją po plecach.

Caroline jej nie puszcza.

- Lauro?

- Tak, skarbie?

Caroline dochodzi do wniosku, że za bardzo się wstydzi, żeby tak po prostu głośno zadać to pytanie.

- Ale będę szeptać.

Laura się pochyła.

- Tak?

- Czy jesteś moją mamą?

Laura uśmiecha się smutno.

- Nie skarbie, nie jestem.

Rozczarowana Caroline smętnie kiwa głową i odchodzi.

Późnym wieczorem leży w łóżku. Laura wchodzi do jej pokoju. Trzyma coś w ręku. Siada przy Caroline i zapala boczną lampkę.

- Nie mów tatusiowi, że ci to pokazałam - zaczyna.

Trzyma zdjęcie kobiety, najpiękniejszej, jaką Caroline kiedykolwiek widziała. Jest zachwycona jej kręconymi włosami. Podobają się jej też jej usta. Wydaje się mówić coś zabawnego, jakby chciała kogoś rozbawić. Tylko jej oczy rozczarowują; nie widać ich, bo kobieta patrzy w dół. Caroline ogląda zdjęcie pod kątem, próbując w ten sposób dojrzeć jej oczy, ale daremnie.

- To twoja mama, skarbie - mówi Laura.

Caro

Pierwsze wspomnienie Caro to mała dziewczynka, która obcięła jej włosy.

Ma trzy lata, jest na jednym z pierwszych castingów. Mama ubrała ją w odświętną czerwoną sukienkę i papie przez całą drogę do studia.

- Uśmiechaj się - powtarza. - To reklama lalki. Jeśli cię wybiorą, do staniesz lalkę na zawsze. Uśmiechaj się, dobrze? Wtedy się uda!

Caro jest pewna, że się uda. Jeśli ją wybiorą, będą miały więcej pieniędzy. Będą częściej chodziły do restauracji. Dostanie chomika. Może nawet wyprowadzą się z Westwood do Beverly Hills, do jednego z tych pięknych domów.

Wchodzą z Zoe do małego gabinetu. Jakaś pani wpisuje Caro na listę i bierze od Zoe wielkie zdjęcie.

- Proszę dalej - mówi.

Caro i Zoe wchodzą do dużej sali, pełno w niej małych dziewczynek i ich matek.

- Mogę na chwilę zostawić cię samą? - pyta Zoe. I dodaje głośniej:
- Muszę zamienić kilka słów z reżyserem.

Inne matki nie są chyba z tego zadowolone.

Caro też nie. Nie chce zostać sama wśród tylu dziewczynek, odświętnie ubranych i uśmiechniętych na myśl o lalce. Siada jednak grzecznie. Dwie sukienki podobają się jej bardziej niż własna, jedna dziewczynka ma ładniejsze skórzane buciki, ale Caro uważa, że to ona ma najpiękniejszą fryzurę. Poprzedniego dnia była u fryzjera. Ma najprawdziwsze złociste loki.

Obok niej siedzi chuda dziewczynka o złym spojrzeniu. Jej mama wstaje.

- Idę napić się wody - mówi. - Nie ruszaj się stąd, póki nie wrócę.

Ledwie matka odchodzi, dziewczynka zwraca się do Caro:

- Jak się nazywasz? - pyta ostro.

- Caro Andrews.

Dziewczynka nie odrywa oczu, coraz mniejszych i bardziej złośliwych, od Caro. Otwiera torebkę matki i coś z niej wyjmuje. Nożyczki do paznokci.

Caro nieruchomieje. Widzi te nożyczki, są coraz bliżej, ale nie jest w stanie nic zrobić. Żadna mama na nie nie patrzy. Nożyczki są tuż - tuż. Z głowy Caro spada złoty lok. Dziewczynka ma poważną, skupioną minę. Znowu podnosi nożyczki.

- O Boże!

Wraca jej mama. Odpycha córeczkę od Caro. Zabiera jej nożyczki. Wychodzą.

Inne matki tłoczą się wokół Caro.

- Coś nie tak?

- Nic ci się nie stało?

- Nie, wszystko w porządku - odpowiada grzecznie.

Ale kiedy przychodzi jej kolej, by zapewniać przed kamerą, jak bardzo podoba jej się lalka, nadal jest zdenerwowana. Za mało się uśmiecha i nie dostaje roli.

- To twoja wina - burczy Zoe w drodze do domu.

- Obcięła mi włosy - szepcze Caro.

Zoe wzdycha.

- To żadne usprawiedliwienie.

Zjeżdża na pobocze, gasi silnik. Przez dłuższą chwilę przygląda się Caro.

- Równie dobrze możesz się tego dowiedzieć już teraz - mówi. - Ludzie zawsze będą ci zazdrościć. Do końca życia. Jeśli wysuniesz głowę ponad tłum, zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce w nią strzelić. Takie jest życie, dzieciно.

Przez całą drogę do domu Caro bawi się lokami.

Caro uwielbia miniaturki: małe szklane zwierzątka, sowę wyrzeźbioną z pestki brzoskwini, małe krzeselka i stoliki. Trzyma swoją kolekcję na okiennym parapecie. To idealny świat, którego nic nie zburzy, nie zepsuje.

Ale jej największym marzeniem jest domek dla lalek. Niestety, Zoe powtarza, że na razie go nie dostanie, chociaż zbliżają się jej piąte urodziny. Jest dużo rzeczy, których Caro na razie nie dostanie, wszystko dlatego, że interes idzie jak po grudzie.

- To się zmieni - dodaje zawsze Zoe. - Ale wiesz, jak to jest: każdy reżyser ma pamięć jak sito, a o klientach można powiedzieć wiele, lecz nie to, że są lojalni.

Caro nie bardzo rozumie, ale z namysłem marszczy czoło i kiwa głową.

Rozumie tylko trochę. Wie, że jej mama jest agentką i że wyszukuje role dla dzieci w filmach i programach telewizyjnych. Dużo pracuje w domu, ale ma też biuro w Hollywood; czasami, kiedy są problemy ze znalezieniem opiekunki, Caro chodzi z mamą do pracy.

Biuro nazywa się Dzieci Zoe. Kiedyś Caro się tym denerwowała, chciała być jedynym dzieckiem Zoe, ale teraz już wie, że to tylko na niby. Inne dzieci nie są dla Zoe tak ważne jak ona.

- Ale jedno z nich zarobi dla nas majątek - powtarza w kółko Zoe. Zerka z ukosa na córeczkę. - Kto wie, może to będziesz ty.

Niewielkie chyba na to szanse. Caro wciąż chodzi na castingi, ale na razie nie dostała nawet najmniejszej rólki.

Nie bardzo się tym przejmuje. Fajnie byłoby przeprowadzić się do Beverly Hills i mieć domek dla lalek, ale i tak jest dobrze.

Martwi się jednak o Zoe. Zazwyczaj, kiedy interesy idą źle, Zoe wzrusza ramionami i mówi:

- Nie martw się, skarbie, jeszcze odbijemy się od dna.

Ale czasami jest bardzo, bardzo smutna i Caro nie wie, co robić. Masuje jej skronie i przynosi coś do picia, lecz to chyba nie pomaga. A potem dochodzi do tego, że Zoe godzinami leży w ciemnym pokoju. To naprawdę okropne.

Tak jak dzisiaj, od samego rana. Zoe się nie ubrała, nie zrobiła śniadania, tylko tak leży.

W końcu wychodzi z sypialni. Jest bardzo blada. Idzie do kuchni, zagląda do pustej lodówki.

- Chodź, Caro - mówi. - Trzeba zrobić zakupy.

Caro powtarza sobie, że nie może prosić o ciasteczka i sok ananasowy. Takie smakołyki kupują tylko wtedy, kiedy interes nie idzie jak po grudzie.

Supermarket w Brentwood jest mały i pachnie czystością. Dziewczyny przy kasie znają Zoe, piekarz i pani z działu z nabiałem też. Zapewniają Caro, że jest śliczna i że pewnego dnia będzie wielką gwiazdą.

Kiedy wychodzą ze sklepu, mijają automat z zabawkami za pensa. Caro wie, że dzisiaj nie ma co prosić Zoe o monetę, ale i tak patrzy tęsknie na automat. A tam, mniej więcej w połowie stosu zabawek, jest malutki różowy miś, nie większy od paznokcia.

Wstrzymuje oddech i staje.

- Ej, ej - pogania Zoe. - Idziemy. O trzeciej muszę być w Burbank.

Caro zalewa się łzami.

Zoe nie znosi łez. A zwłaszcza łez dzieci przy automatach z zabawkami. Caro wie, że zaraz ją odciągnie i zbeszta, ale nic ją to nie obchodzi.

Drżącą ręką pokazuje misia:

- Zobacz, Zoe.

I Zoe, o dziwo, patrzy. Patrzy na misia, na Caro, i nagle na jej twarzy pojawia się dziwny, smutny uśmiech.

- A niech tam - mówi spokojnie i idzie po kierownika sklepu. - Musi my mieć tego misia - oznajmia. - Czy mógłby pan otworzyć automat?

- Niestety, nie - odpowiada kierownik. - Nie jest nasz, nie mamy nawet klucza.

Długa chwila ciszy.

- W takim razie - odpowiada Zoe - proszę mi to rozmienić.

Wręcza mu dwa banknoty dolarowe.

Caro nie wierzy własnym oczom. Dwa dolary! A interes idzie jak pogrudzie!

Kierownik nie ma aż tylu monet, więc idzie do kwaciarni naprzeciwko. Caro ani drgnie. Ukradkiem zerka na matkę, a nuż Zoe straci cierpliwość i zmieni zdanie? Lecz Zoe wciąż się uśmiecha, smutno i ciepło.

Kierownik wraca z garścią drobnych i Zoe i Caro wrzucają monety do automatu. Sterczą tam pół godziny. Z maszyny wypadają koraliki, naklejki, statki kosmiczne, piłeczki... Caro co chwila spogląda na zegar na ścianie. Co prawda nie umie odczytać godziny, ale wie, że mama musi być na trzecią w Burbank. Na pewno trzecia już dochodzi, a może nawet już minęła? Wrzuca pieniądze gorączkowo, pełna obaw, że Zoe zobaczy, która godzina, i będą musiały iść.

W końcu z automatu wypada miś: cudowny, wspaniały miś.

Zoe chwyta go szybko.

- Jest mój - mówi, ale Caro wie, że to tylko żarty, i rozpromieniona wyciąga rękę. Dłonie Zoe są ciepłe i pachną kremem do rąk. Miś też.

Zoe patrzy na automat, opróżniony do połowy, i stertę skarbów, które z niego wyleciały.

- Chcesz coś z tego? - pyta.

Caro przecząco kręci głową.

Zoe podchodzi do kierownika sklepu.

- Podobno ma pan wnuki? - zaczyna. - Proszę im to dać. - I podaje malutkie zabawki.

Kiedy wychodzą ze sklepu, zerka na Caro.

- Czasami trzeba zaszaleć - mówi.

Pieszczotliwie ciągnie ją za ucho i uśmiecha się.

Caro ma siedem lat. Czyta najlepiej w całej klasie i najlepiej gra w piłkę. Wyrosła, jest coraz ładniejsza. Ma długie włosy, które układa w koronę, i wyobraża sobie, że jest królową, albo wpina w nie kwiatki i bawi się we wróżkę. Kiedy dorośnie, chciałaby być pielęgniarką; Zoe chyba już straciła nadzieję, że córka wystąpi w reklamie.

W piątkowy wieczór siedzi na podłodze w saloniku i układa puzzle.

Zoe nagle wybiega z kuchni.

- Telefon dzwonił?

- Nie - odpowiada Caro.

Zoe pyta już drugi raz.

Zoe jest bardzo zdenerwowana. Nie może usiedzieć na miejscu. Co chwila maluje usta czerwoną szminką, zlizuje ją i maluje się od nowa. A po obiedzie wypłała trzy szklaneczki złocistego płynu, nie dwie, jak zwykle. Caro pyta, czy to smaczne. Zoe odpowiada, że nie, że to lekarstwo, a ona jest spięta i musi się odprężyć.

- Ja też jestem spięta - oznajmia Caro. - Też mogę się napić?

Zoe zaszokowana, odmawia i wylewa drinka do zlewu.

Następnego dnia Caro ogląda serial w telewizji. Zoe, blada, z czerwonymi plamami na policzkach, zagląda do salonu.

- Idziemy dzisiaj na kolację do nowej restauracji.

Caro odwraca głowę.

- Z kim?

- Z Jackiem. To reżyser - odpowiada Zoe i dodaje: - Załóż żółtą sukienkę.

Restauracja jest w Beverly Hills i nazywa się Luau. Wnętrze przypomina polinezyjską wioskę, są tam szalasy z trawy, dzidy, wodospady i bujne kwiaty. Caro nigdy nie była w tak wspaniałym lokalu.

Jack, znajomy Zoe, okazuje się bardzo zabawny i sympatyczny.

- Ile masz lat? - pyta Caro.

- Siedem.

- To pewnie już masz męża, co? A dzieci?

Caro się śmieje. Chcę się popisać, więc śpiewa ulubioną piosenkę i przedrzeźnia postacie z telewizji. Jack nazywa ją księżniczką, sadza w wielkim wiklinowym fotelu i zamawia dla niej zeberka, krokiecik i lody na deser.

Po kolacji patrzy na Zoe.

- Znalazłem mojego aniołka - mówi.

Zoe jest zadowolona, Caro - zaskoczona. Niby gdzie znalazł aniołka? Nie zdążyła zapytać, a Jack już zwrócił się do niej:

- Caro, czy chciałabyś zagrać dla mnie w reklamie?

Piszczyci z radości i krzyczy: tak, tak, tak. Zaraz jednak myśli, że może nie spodoba mu się, że aż tak się cieszy, więc grzecznie i cichutko mówi, że tak, bardzo chętnie, dziękuję panu. Jack i Zoe parszczają śmiechem.

Kręcą reklamę w następny piątek. Caro podoba się wszystko. Jest zachwycona, że musi wstać o piątej rano, kiedy niebo jest jeszcze ciemne i tajemnicze. Podoba jej się wyprawa do studia i to, że jej nazwisko jest na liście pracowników. Podoba jej się też, gdy drewniany szlaban idzie w górę i wjeżdżają na teren studia.

Ale najbardziej podoba jej się na planie. Cisza przeszywa ją dreszczem - nikt nie musi jej mówić, że w czasie ujęć ma być spokój. Na paluszkach chodzi koło dekoracji, nieśmiało dotyka sztucznych ścianek, rekwizytów, kabli. Wyczuwa w tym świętość, trochę tak jak w kościele.

Jack też tam jest. Przedstawia Caro. Wszyscy są dla niej bardzo mili, powtarzają, że jest taka śliczna. Młoda kobieta zabiera ją do charakteryzatorki. Myją jej włosy, kręcą loki, posypują twarz słodko pachnącym pudrem. Wkładają jej miękką białą sukienkę z pozłacanymi skrzydełkami. Caro z uśmiechem patrzy w lustro. Za nią jest jeszcze jedno i nagle widzi tuzin ślicznych, anielskich Caro.

Reklamę kręci się łatwo. Caro musi tylko siedzieć na białej chmurce z bawełny i czekać, aż blondyn za kamerą krzyknie:

- Uwaga!

A Jack rzuci:

- Akcja!

Wtedy czeka jeszcze chwilę, patrzy prosto w obiektyw i mówi:

- Niebiańsko miękki.

A potem bierze rolkę papieru toaletowego i rzuca tak, żeby się rozwinęła.

To najtrudniejsze. Za pierwszym i drugim razem papier zaczepia o chmurkę i Caro się boi, że Jack będzie na nią zły, ale to chyba nie jej wina. Niski, spocony mężczyzna mówi, że zaraz temu zaradzi. Robi nacięcie w chmurce i papier już się nie zaczepia,

Caro musi powtórzyć „niebiańsko miękki” dobrych kilka razy, w końcu Jack jest zadowolony i wszystko jest jak należy - mogą iść do domu.

- Mogę zatrzymać sukienkę aniołka? - szepcze Caro do Zoe.

Nie, nie może. To nie jest urodzinowe przyjęcie.

Żadnych przywilejów. Wychodzą na dwór - jest ciemno. Caro się dziwi. Przyjechały tu o świcie, a już zapadł zmrok? W małym studio minął jeden z najważniejszych dni w jej życiu. Po namyśle dochodzi do wniosku, że bardzo jej się to podoba.

Wracają do domu. Caro jest w paskudnym humorze. Nie podoba jej się, że znowu jest zwyczajną dziewczynką, zwykłą Caro. Zoe, w sypialni, rozmawia przez telefon, opowiada, co dziś robiły.

Caro idzie do kuchni. Widzi butelkę, z której matka zawsze nalewa sobie złocisty płyn.

- Muszę się odprężyć - mówi głośno.

Nalewa sobie odrobinę do szklanki i próbuje. Ohydne, wypluwa szybko. Myje po sobie szklankę i gapi się w okno.

Następnego dnia, kiedy wraca ze szkoły, zastaje matkę na kanapie.

Zoe pali nerwowo.

- Dzwonił ojciec - nie owija w bawełnę. - Powiedziałam mu o reklamie.

Caro marszczy brwi. Ojciec co miesiąc dzwoni z Nowego Jorku i to zawsze wytrąca matkę z równowagi.

- Jego zdaniem, rujnuję ci życie, pozwalając występować w reklamie - prycha Zoe. - Czy tak? Chcę znać twoje zdanie? - pyta.

Caro przecząco kręci głową.

- No właśnie - mruczy Zoe.

Kilka tygodni później Caro, kąpiąc się, słyszy z saloniku krzyk matki:

- Caro! Caro! Chodź tutaj, tylko szybko!

Wyskakuje z wanny i mokra biegnie do pokoju. Zoe siedzi na kanapie i pokazuje palcem ekran. Caro patrzy, a tam - ładna dziewczynka o jasnych włosach, przebrana za aniołka, siedzi na chmurce.

- Niebiańsko miękki! - mówi i rzuca rolkę papieru toaletowego, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zamienia się w tęczę.

Caro gapi się w ekran, na dziewczynkę, którą przecież wcale nie jest. Jak ona to zrobiła? Jakim cudem zmieniła papier toaletowy w tęczę? Patrzy na siebie z podziwem.

Następnego dnia w szkole pani Valdez, wychowawczyni drugiej klasy, spóźnia się kilka minut. Uśmiecha się do Caro.

- Dzieci, chciałam oznajmić coś ważnego. Właśnie się dowiedziałam, że nasza Caro Andrews występuje w telewizji, gra aniołka w reklamie.

Caro, zakłopotana, rumieni się. Zamorduje matkę, że powiedziała nauczycielce. Ale kiedy rozgląda się po klasie, widzi jedynie podziw i zainteresowanie. Nawet Adrianna Holmes, która nienawidzi Caro, nie ma nic do powiedzenia.

Caro zarabia na reklamie mnóstwo pieniędzy.

- Stać nas na wszystko? - pyta.

- Nie - oświadcza Zoe. - Wpłacimy całą sumę na twoje konto. Nie chcę, żebyś za kilkanaście lat ciągała mnie po sądach za to, że cię wykorzystywałam.

Patrzy na minę Caro i parska śmiechem.

- No dobrze, dobrze - mówi - coś ci kupimy.

Zabiera ją do sklepu z zabawkami w Beverly Hills.

- Wybieraj, na co masz ochotę.

Caro od razu wie, czego chce: jest to piękny dwupiętrowy domek dla lalek z mebelkami wyściełanymi czerwonym aksamitem i łóżkiem z baldachimem w sypialni. A najwspanialszy jest mikroskopijny telewizorek. Ciekawe, czy zobaczy na nim siebie jako aniołka.

W drodze do domu siedzi na tylnym siedzeniu i gładzi wielkie pudło. W końcu ma domek dla lalek, i to sama na niego zarobiła. Rozpiera ją duma. Dzięki niej interesy nie idą jak po grudzie. Występuje w reklamie. Co prawda nie pamięta, jak udało jej się zmienić papier toaletowy w tęczę, ale i tak dokonała cudu.

Caro stoi przed szkołą, czeka, aż Zoe po nią przyjedzie. Jest gorąco, a Zoe się spóźnia.

Samochód koloru soku z limonki jedzie powoli wzdłuż chodnika. Mężczyzna za kierownicą widzi Caro, uśmiecha się i zwalnia jeszcze bardziej. Kiwa na nią. Nie wygląda jak mężczyźni, których zna: jest bardzo chudy, ma ciemne brzydkie ubranie.

- Cześć, Caro - mówi. - Mam wiadomość od mamy. Musiała dłużej zostać w pracy i prosiła, żebym cię odebrał ze szkoły.

Caro się waha. Zoe już kilka razy tak robiła, wysyłała po nią kogoś, żeby ją zawiózł do domu. W końcu decyduje się wsiąść, przede wszystkim z powodu koloru samochodu. Jest gorąco, a bladozielony kusi chłodem.

Wsiada. W samochodzie wcale nie jest chłodno. Ruszają. Mężczyzna się uśmiecha.

- Wiesz, troszkę cię oszukałem. To nie twoja mama mnie po ciebie przysłała, tylko sam Pan.

Oddycha coraz szybciej.

- Bóg ma wobec ciebie wielkie plany - ciągnie. - Byłaś takim ślicznym aniołkiem w telewizji, że zapragnął mieć cię w niebie, żebyś tam była jego aniołkiem.

Caro marszczy brwi. Bóg chce mieć ją w niebie? Czy to nie oznacza przypadkiem, że najpierw musi umrzeć? Ale przecież chyba nie o to chodzi temu panu.

Jadą przez dziwną okolicę. Domy tu są małe i brudne, nie mają ogródków.

- Gdzie jesteśmy?

Nie odpowiada.

- Kiedy mama po mnie przyjedzie?

To pytanie też pozostaje bez odpowiedzi. Caro patrzy na nieznanego i widzi, że z oczu płyną mu łzy.

Wjeżdżają na podjazd przy końcu ulicy, zniszczony i wyboisty, porośnięty chwastami. Mężczyzna sięga na tylne siedzenie i bierze koc. Rzuca go na Caro. Koc jest brudny i szorstki, Caro się złości. Kopie i wierzga, lecz mężczyzna jest bardzo silny.

Niesie ją do domu. Tam ściąga z niej koc, ale to bez różnicy, bo w środku jest duszno i ciemno. Wszystkie okna zabito deskami, nie pali się żadne światło. Pokój jest właściwie pusty, nie ma tu kanapy ani krzesel, tylko wielki stół nakryty obrusem. Na ścianach wiszą krzyże, drewniane i kamienne. Na największym Caro widzi postać mężczyzny. Nie chce na niego patrzeć, bo krwawi.

- Kto to? - szepcze.

Nieznajomy się odwraca.

- Syn Boży - odpowiada.

Chyba jest zły, że tego nie wiedziała.

Caro odwraca się od krwawiącej postaci. Przypomina sobie słowa mężczyzny, że Bóg chciałby mieć ją w niebie.

Idzie do kąta i tam zostaje. Mężczyzna klęka przed stołem i mruczy coś pod nosem. Caro nie rozumie ani słowa.

Nagle w jej umyśle dzieje się coś dziwnego. Ucieka z ciemnego domu, od cierpiącej postaci na krzyżu i mężczyzny na klęczkach. Ucieka daleko, do Disneylandu, do szkoły, do domu, gdzie obserwuje, jak Zoe maluje paznokcie. A potem wraca do ciemnego pomieszczenia.

Mężczyzna idzie w jej stronę. Trzyma w dłoniach biały ręcznik i coś pod nim. Odrzuca ręcznik i Caro widzi nóż.

Nagle rozlegają się głośne kroki i drzwi wejściowe się otwierają.

Zoe z płaczem podbiega do Caro, obejmuje ją mocno, krzyczy. Policjanci wpadają do domu, chwytają mężczyznę, wyprowadzają go. Wydaje się mały i niegroźny, jak owad. Caro woła za nim: „Do widzenia”, bo uczono ją, że zawsze trzeba być uprzejmą.

Głośno o tym we wszystkich lokalnych wiadomościach. Różne stacje pokazują zdjęcia pięćdziesięcioletniego porywacza Harveya Benedica, mechanika samochodowego, który, jak twierdzą jego koledzy, zawsze był odludkiem. Jest wywiad z wychowawczynią Caro, która opowiada, jak zapisała kredą na asfalcie numer rejestracyjny, gdy zobaczyła, że Caro wsiada do obcego samochodu. Zadzwoiła zaraz na policję. Potwierdza to Greg Altman, policjant, który pierwszy stanął w wyważonych drzwiach.

- Na szczęście zdążyliśmy.

- A dlaczego mnie nie ma w telewizji? - marudzi Caro.

- Nie zależy nam na takiej sławie - tłumaczy Zoe.

Płacze i obejmuje Caro tak mocno, aż bolą ją zębra.

Caroline

Caroline dużo myśli o zdjęciu, które pokazała jej Laura. Zwłaszcza wieczorami, przed snem, obraz matki staje jej przed oczami. Obserwuje inne mamy, w szkole, w parku, i zastanawia się, która najbardziej przypomina jej mamę? Jest sprawiedliwa, jak mama Eleanor? Jaki ma głos, niski i poważny czy wysoki i wesoły? Czy często się śmieje? Caroline wie, że mogłaby kogoś o to zapytać, Laurę albo nawet tatę, ale jakoś nie chce. Wierzy, że kiedyś i tak się dowie, w odpowiedniej chwili.

Laura jest na balkonie, podlewa kwiaty. Caroline chowa się za zasłoną. Kiedy Laura wróci, przestraszy ją, skacząc jej na plecy. To jej ulubiona zabawa.

Nagle ktoś woła:

- Cześć, staruszko!

I Laura odpowiada na powitanie.

To Janet, jej przyjaciółka, pokojówka sąsiadów.

Laura i Janet rozmawiają. Na nudne tematy, głównie o nowym narzeczonym Janet. Caroline już ma wyjść z za zasłony i iść do siebie, gdy słyszy swoje imię:

- O tak - mówi Laura. - To bardzo grzeczne dziecko. Nie mam z nią żadnych kłopotów.

Caroline bardzo to cieszy, ale nagle Laura wzdycha.

- Niestety, pewnych rzeczy się nie przeskoczy. W kółko powtarzam panu Andrews, że mała jest w tym wieku, że koniecznie potrzebuje matki.

- A co u niej? Wiecie? - pyta Janet.

Caroline czeka z zapartym tchem.

Laura prycha.

- Och, wiesz, jak to z nią jest.

Caroline zagryza usta. Nie, nie ma pojęcia, jak to z nią jest.

Caroline nie chce, żeby Laura znalazła ją za zasłoną. Przemyka się do swojego pokoju i przez cały dzień bawi się domkiem dla lalek z pudełek po butach. Teraz ma nową zabawę. Od dzisiaj w sypialni, na kartonowym łóżku śpi mama. Od dzisiaj w łazience mama myje twarz. W jadalni mama mówi dzieciom, żeby zjadły płatki. Mama całuje na dobranoc. Mama się uśmiecha. Mama króluje w całym domu.

Tego wieczoru Caroline nie może zasnąć. Słyszy, jak ojciec wraca późno do domu. Biegnie do przedpokoju.

- Hu! - straszy go.

- Dlaczego jeszcze nie śpisz? - dziwi się ojciec, ale chyba jest zadowolony.

- Opowiedz mi o mamie - prosi Caroline.

- Och. - Jego głos zdradza, że już nie jest zadowolony. - Dlaczego akurat teraz?

- Bo tak.

Prowadzi ją do jej pokoju, układa w łóżku, otula kołdrą. Siada obok. W ciemności wydaje się wielki jak góra.

- Co chcesz wiedzieć? - pyta.

- Jak ma na imię?

- Zoe.

Caroline chichocze. Jej mama ma na imię Zoe.

- Gdzie teraz jest?

- W Kalifornii.

Nic jej to nie mówi.

- Dlaczego nie ze mną?

Ojciec długo milczy.

- Widzisz, Caroline - mówi w końcu - kiedy byliśmy małżeństwem, nie układało nam się, więc postanowiliśmy się rozstać. Ona została w Kalifornii, a ja wróciłem tutaj.

- Czy kiedyś ją zobaczę?

- Tak - znowu długie milczenie. - Kiedy skończysz siedem lat, pojedziesz do niej latem na cały miesiąc.

Caroline głośno przetyka ślinę. Cały miesiąc z mamą. Nie mieści jej się to w głowie.

- Dlaczego nie teraz? - pyta.

Ojciec jest chyba dotknięty.

- Siedem lat to i tak za mało - mówi. - Zoe czasem przytłacza.

Zresztą, źle ci ze mną?

Caroline puszcza to pytanie mimo uszu.

- Co to znaczy: przytłacza?

- Wszędzie jej pełno.

Milczenie. Caroline zmienia temat.

- Jak wygląda? - pyta, chociaż już wie.

Ojciec wstaje.

- Chyba mam gdzieś jej zdjęcie - mówi.

Wyciąga rękę. Caroline wstaje. Idą razem do gabinetu, a tam, w szufladzie, pod stertą papierów, jest zdjęcie, które pokazywała jej Laura. Fascynujące jak zawsze.

Przez ich dom przewijają się inne kobiety. Zostają na noc, na weekend, na miesiąc.

Pierwsza była Diane. Miała krótkie ciemne włosy. Kiedy Caroline ją poznała, Barton zabrał je obie do kina, a potem na spacer Piątą Aleją, wzdłuż kolorowych wystaw. Diane co chwila stawała przed sklepami jubilerskimi i pokazywała, co jej się najbardziej podoba.

- Zapamiętam sobie - mówił Barton z uśmiechem.

Caroline uznała, że to świetny sposób, i kiedy doszli do F.A.O Schwarz, sklepu z zabawkami, pokazywała, co jej się najbardziej podoba. Diane uśmiechnęła się złośliwie i stwierdziła, że ktoś tu chyba jest bardzo rozpuszczony.

Wysoka ruda Evelyn była niewiele lepsza. Kiedy poznała Caroline, uściskała ją serdecznie z głośnym piskiem, a potem w ogóle nie zwracała na nią uwagi.

Ale najgorsza była Jackie. Jackie była chuda, ale miała wielkie plany i chciała wszystko zmieniać. Nie odpowiadała jej kuchnia Laury. Nie podobały jej się krawaty Bartona. Jej zdaniem Caroline powinna chodzić do szkoły z internatem.

Wszystkie znikają równie szybko, jak się pojawiały.

Co kilka miesięcy Caroline zakrada się do gabinetu i ogląda zdjęcie mamy. Któregoś razu Laura ją na tym przyłapuje, ale wcale nie krzyczy.

- Jaka ona jest? - pyta Caroline.

- Nie wiem, skarbie. Rozmawiałam z nią tylko raz. Ojciec ci powie. Tego wieczoru, podczas kolacji Caroline pyta:

- Jaka jest moja mama?

Barton marszczy brwi, ale po chwili uśmiecha się lekko.

- Cóż - zaczyna - ujmijmy to tak: Zoe jest jedyna w swoim rodzaju. Caroline nie wie, czy to dobrze, czy źle.

- Jak ją poznałeś?

- Osiem lat temu pojechałem do Los Angeles, służbowo. Byłem tam po raz pierwszy. Dostałem zaproszenie na przyjęcie. Zoe tam była. - Kręci głową. - Chyba nie znam drugiej równie energicznej osoby.

Caroline nie bardzo wie, co to znaczy, ale, sądząc po minie ojca, to nic złego.

- Podeszła do mnie, zaczęliśmy rozmawiać. zaproponowała, że pokaże mi miasto.

- Uważałeś, że jest ładna?

- O, tak. Bardzo ładna. - Przygląda się Caroline. - Jesteś do niej trochę podobna.

Tego już za wiele.

- Od razu się pobraliście?

- Prawie.

- A potem ja się urodziłam.

- Tak.

- I przestaliście się rozumieć.

- To nie miało nic wspólnego z tobą.

Caroline przetyka ślinę, spuszcza wzrok.

- A czy po rozwodzie mama nie chciała mnie zatrzymać?

- Chciała - Barton odpowiada powoli. - Pewnie, że chciała. Ale wyjeżdżała do Europy, do pracy, i nie mogła cię zabrać. Rozsądniejszym wyjściem było, żebyś została ze mną. - Lekko unosi jej podbródek. - To chyba nie jest takie złe?

Caroline nie odpowiada.

- Dlaczego nigdy... nigdy do mnie nie zadzwoniła, ani nic? - pyta w końcu.

Barton długo się zastanawia.

- Chyba nie chciała... nie chciała wprowadzać zamętu w twoje życie.

Caroline kiwa głową.

- Ale mam już siedem lat. W czasie wakacji polecę do niej, prawda?

Barton marszczy brwi.

- Jeśli będziesz chciała.

- O, tak - zapewnia Caroline. - I to bardzo.

Kiedy samolot ląduje w Los Angeles, stewardesa wyprowadza Caroline z kabiny i pyta, czy pomóc jej szukać mamy.

- Nie, dziękuję - odpowiada Caroline.

Od razu wie, która to jej mama: to wysoka blondynka w obcisłych czerwonych spodniach, koszulce w biało - czerwone pasy, w ogromnym kapeluszu, w chuście i okularach słonecznych. Przypomina sobie słowa ojca, że Zoe jest jedyna w swoim rodzaju.

- Caroline? Caroline!

Znajduje się w jej objęciach. Tysiąc rzeczy naraz do zapamiętania. Zapach matki. Czerwone paznokcie u nóg. Jej śmiech, tak głośny, że wszyscy patrzą w ich stronę. Jej głos i słowa, szybkie i gwałtowne, jak wybuchające fajerwerki.

- Caroline! - Znów ją ściska. - Moje dziecko! - I znowu. - Jesteś cudowna!

Caroline trochę się wstydzi, że jest obściskiwana na oczach całego lotniska. Odsuwa się trochę.

- Jak mam się do ciebie zwracać? - pyta grzecznie.

Matka jest zdziwiona.

- Zoe - odpowiada. - Moim zdaniem to byłby pic na wodę, gdybyś zwracała się do mnie inaczej, nie uważasz?

Zdejmuje okulary i się uśmiecha, i Caroline w końcu widzi jej oczy. Są ciemne i lekko skośne.

Caroline przygląda się jej uważnie. Trochę jej przykro, że Zoe już wcale nie wygląda jak na zdjęciu w szufladzie, ale szybko o tym zapomina.

To zdjęcie to tylko pic na wodę, tłumaczy sobie.

Razem taszcą walizki Caroline przez lotnisko, do samochodu Zoe.

Jest wielki, piękny i biały.

- Mercedes 600 - oznajmia Zoe z dumą, - Mój skarb. - Znowu obejmuje Caroline. - Nie, ty jesteś moim skarbem.

Caroline patrzy na medalik na łańcuszku, zawieszony przy lusterku.

- Co to? - pyta.

- Święty Juda, patron zagubionych i błądzących.

Caroline się dziwi.

- A ty często błądzisz?

Zoe parska śmiechem.

- Można tak powiedzieć.

Zoe jedzie okrężną drogą, żeby pokazać Caroline miasto.

- To Brentwood, ładne, ale zbyt republikańskie... A teraz jesteśmy w Westwood, tu mieszkają studenci i ludzie z branży, jak ja. A oto Beverly Hills. Pewnego dnia tu zamieszkać...

Caroline zakochuje się w Los Angeles od pierwszego wejrzenia. Kocha palmy kołysane wiatrem, nienaturalną zielen trawników, różowe budynki, ciepłą bryzę. To wszystko jest takie nierzeczywiste.

Podoba jej się także mieszkanie matki przy Midvale Avenue. Jest zupełnie inne od sztywnego wieżowca w Nowym Jorku. Sąsiedzi machają jej i Zoe na powitanie. Caroline jest oszołomiona serdecznością i kwiatami. Poraża ją słoneczny blask. Nie mieści jej się w głowie, że na dziedzińcu jest basen.

Idą schodami na górę. Wszystko tu jest takie swobodne. Ratanowe meble, kolorowe meksykańskie chodniki, plastikowa papuga na parapecie, zapach kadzidełka w powietrzu.

To dziwne; jej mama mieszkała tu przez te wszystkie lata, a Caroline nic o tym nie wiedziała.

- Twój pokój jest tam - pokazuje Zoe. - Służy mi też za gabinet. Mam biuro w Hollywood, ale dużo pracuję w domu. Chyba nie masz nic przeciwko temu.

Caroline podoba się, że zamieszka w gabinecie. Czuje się ważna i dorosła, nie jak w dziecięcym pokoju w Nowym Jorku.

- A co robisz?

Zoe trochę się denerwuje.

- Barton ci nie powiedział? - pyta. - Zresztą, nieważne. Jestem agentką dla dzieci.

- Aha - Caroline nic to nie mówi.

- Widziałas dzieci w telewizji? W reklamach i programach telewizyjnych? Ja załatwiam im role. - Przygląda się Caroline. - Właściwie ty się nadajesz. Chciałabyś wystąpić w telewizji?

Caroline jest pewna, że Zoe żartuje. Uśmiecha się nerwowo.

- Mogę zobaczyć mój pokój? - pyta.

Jej pokój wcale nie wygląda jak gabinet. Jest tak samo słoneczny jak pozostałe pomieszczenia: żółta kanapa, indiańskie makaty na ścianach i rośliny doniczkowe na parapecie.

Na łóżku piętrzy się stos prezentów. Zoe kupiła Caroline śliczne plażówki i okulary słoneczne, śmieszoną torebkę w kształcie arbuza, pletwy i okulary do pływania w basenie, i jeszcze deskorolkę. Kupiła jej książki dla dzieci i, najwspanialsze ze wszystkiego - lalkę w stroju aniołka.

Caroline nie wierzy własnym oczom.

- Marzyłam o takiej lalce - mówi. - Skąd wiedziałas?

Matka się uśmiecha.

- Czary Zoe - odpowiada.

Caroline zaczyna podejrzewać, że matka wie o wszystkim, co dzieje się w jej życiu.

Tego wieczoru Zoe przychodzi pocałować ją na dobranoc.

- Nie mieści mi się w głowie, że tyle bez ciebie wytrzymałam - mówi.

Caroline milczy przez chwilę. W końcu pyta:

- Dlaczego nigdy do mnie nie dzwoniłaś?

Zoe wzdycha. Siada na brzegu łóżka. Bierze Caroline za rękę i głośno ją powoli.

- Skarbie, uznałam, że tak będzie najlepiej. Mieszkasz prawie pięć tysięcy kilometrów stąd, masz własne życie. Nie chciałam wprowadzać...

Caroline przypomina sobie, co powiedział ojciec.

- ...zamętu w moje życie?

- Tak. - Zoe kiwa głową. - Właśnie tak. - Pochyliła się i mocno ściska Caroline. - Ale teraz, kiedy cię znam, tylko spróbuj trzymać mnie z dala od siebie!

Po kilku dniach Caroline przywyka do Kalifornii. Nie dziwią jej już ogromne pomarańcze i jasne słońce. Zaprzyjaźnia się z dziećmi sąsiadów. Co rano bawią się w basenie. Opowiada im o Nowym Jorku, o przedstawieniach na Broadwayu, o Central Parku. Caroline, nieśmiała na Manhattanie, jest pewna siebie w Kalifornii. To nie jest prawdziwe życie, nie jej życie, więc i tak się nie liczy.

Rano, po basenie, siedzi w saloniku i czyta albo ogląda telewizję. Czasami Zoe jedzie do biura, wtedy Clarice, starsza pani z dołu, ma oko na Caroline. Zoe często zostaje w domu; cały ranek siedzi zamknięta w pokoju, z telefonem przy uchu. Czasami Caroline słyszy, jak krzyczy. Ma wtedy nadzieję, że nie wrzeszczy na te dzieci, które angażuje do reklam. Ale chyba nie jest tak źle, bo Zoe zawsze wychodzi z szerokim uśmiechem.

- Kolejny producent na kolanach - mówi.

Po południu wyruszają na poszukiwanie przygód.

- Musisz poznać Kalifornię - powtarza Zoe. - Żebyś zobaczyła, co cię ominęło.

Przygody są wspaniałe. Jednego dnia idą na targ i zajadają orzeszki ziemne w czekoladzie. Innego są na polu minigolfa, w cudownym miniaturowym świecie pełnym malutkich wiatraków, zamków i kościołów. Jeszcze kiedy indziej jadą do Marinelandu. Caroline obserwuje wielkie ciemne ryby w gigantycznych akwariach.

- Czy to rekiny? - pyta.

- Nie, producenci - odpowiada Zoe.

Śmieje się, jakby powiedziała świetny żart, a Caroline jej wtóruje, jak by wiedziała, o co chodzi.

W pewien sobotni ranek Zoe budzi ją bardzo wcześnie.

- Szykuj się - mówi.

Szybko jedzą śniadanie. Nici z pływania, czytania, żadnych rozmów przez telefon. Wsiadają do samochodu i jadą, jadą, aż dojeżdżają do drogi wysadzonej drzewkami pomarańczowymi.

- Dokąd jedziemy? - dopytuje się Caroline.

- Zobaczysz - powtarza Zoe.

Aż w końcu Caroline widzi ogromną górę z ośnieżonym szczytem.

- Popatrz! - krzyczy.

Zoe się śmieje.

- Witamy w Disneylandzie!

Disneyland jest wspaniały. Disneyland to sen. Idą na wszystkie atrakcje - Piotruś Pan, Alicja w Krainie Czarów - ale najbardziej podoba im się górską kolejką. Cztery razy zjeżdżają saneczkami w dół, a Zoe za każdym razem krzyczy. Podczas ostatniej przejażdżki wiatr porywa jej chustę. Obserwują, jak powoli opada gdzieś w głąb ciemnej góry.

- Przykro mi z powodu tej chusty - mówi później Caroline.

- Nie ma sprawy. - Zoe się uśmiecha. - Teraz do końca życia, ilekroć tu będziesz, pomyślisz o mnie.

Innego dnia, po południu, Zoe oznajmia:

- Czas na zakupy. Na co masz ochotę?

Caroline dobrze wie, na co ma ochotę. Widziała w telewizji reklamę lalki Mały Skarb, w komplecie z łóżeczkiem i krzeselkiem.

- Brzmi okropnie - oświadcza Zoe. - No to jedziemy.

Jadą do sklepu z zabawkami. Caroline przebiega wzrokiem półki. Wreszcie znajduje lalkę, ale pudełko jest rozdarte. Mały Skarb jest w środku, ale nie ma łóżeczka i krzeselka.

- Tu niedaleko jest inny sklep z zabawkami - mówi Zoe. - Zobaczmy tam.

Lecz Caroline tuli Małego Skarba. Najbardziej zależy jej na lalce, nie na łóżeczku czy krzeselku. Kto wie, czy w tym innym sklepie będą na pewno? A jeśli nie, to może Zoe się znudzi i nie zechce tu wrócić? Caroline nie zamierza ryzykować,

- Nie trzeba - odpowiada. - Ten Mały Skarb jest śliczny.

Zoe przygląda się jej uważnie.

- Na pewno?

- Tak.

Kupują lalkę. Niewiele dalej mijają ten drugi sklep z zabawkami. Na wystawie - same Małe Skarby, każdy doskonały i kompletny, z łóżeczkiem i krzeselkiem.

Zoe zatrzymuje się i patrzy na Caroline.

- To dobra lekcja. Niektórzy mogliby się z niej wiele nauczyć - mówi.

Co wieczór przed snem Zoe całuje Caroline na dobranoc. Poprawia jej poduszkę, wygładza kołdrę, zaciąga zasłony. Potem siada na brzegu łóżka i zapala papierosa. Caroline lubi obserwować czerwony koniuszek, który przesuwa się w ciemności.

- Opowiedz mi o Bartonie - prosi Zoe któregoś wieczoru.

Caroline nie bardzo wie co.

- Pewnie wciąż taki sam?

Caroline nie wie, co Zoe ma na myśli.

- Pewnie tak.

- Ciągłe zapracowany?

- Tak.

Zoe wzdycha.

- Co za człowiek. Nie mogłam go tego oduczyć. Kobiety?

Caroline jest zaskoczona.

- Nie, właściwie nie.

Zoe kręci głową z dezaprobatą.

- Potrzebuje kogoś. Sam sobie nie radzi. Ale on oczywiście nie zdaje sobie z tego sprawy. - Uważnie przygląda się Caroline. - Jesteś z nim szczęśliwa?

- Tak.

- To dobrze - mówi szybko Zoe.

Caroline zastanawia się, co zrobiłaby Zoe, gdyby odpowiedziała inaczej. Czy zatrzymałaby ją u siebie, tutaj, w Kalifornii?

Ciekawe, jak by to było. Bez ojca i sanny zimą, za to słońce przez okrągły rok. Bez Central Parku i Laury, za to z Zoe i Disneylandem.

Usiłuje sobie wyobrazić życie z Zoe, ale jakoś jej to nie wychodzi.

Caroline lubi, gdy Zoe rozmawia z nią jak z dorosłą. Opowiada o przyjacielach i o pracy, o niewdzięcznych, rozpuszczonych dzieciakach.

- Wszystkie chcą gwiazdki z nieba i jeszcze pomarańczowych łyżew, a ledwie załatwię im angaż, przenoszą się do większej agencji. - Patrzy ponuro na Caroline. - Szkoda, że nie mam cię w kartotece, mała. Mogłabym ci niejedno załatwić.

Pewnego dnia Zoe jedzie do agencji przyjąć nowego klienta i zabiera Caroline ze sobą. Długo się jedzie do Hollywood. To nie jest ulubiona dzielnica Caroline, za smutna i ciemna w porównaniu z Westwood, ale agencja Zoe jest na uroczej bocznej uliczce. Caroline podoba się niewielki staromodny budynek z czerwonej cegły.

Wchodzi razem z Zoe marmurowymi schodami, idą korytarzem aż do drzwi, na których widać pomarańczowy napis: DZIECI ZOE.

Agencja jest taka jak mieszkanie Zoe - pełno obrazów, jasne, ostre kolory. Bez przerwy dzwonią telefony, ludzie biegną w tę i z powrotem.

- Uwaga, moi drodzy! - krzyczy Zoe. Kładzie rękę na ramieniu Caroline. - To Caroline, moja córka. Jest bardzo utalentowana i, zapamiętajcie sobie moje słowa, jeszcze będzie sławna.

Wszyscy biją brawo. Caroline jest zawstydzona i uradowana. Wtedy widzi inną dziewczynkę, mniej więcej w jej wieku, w kącie przy drzwiach. To właśnie z nią Zoe przyjechała podpisać umowę. Dziewczynka jako jedyna nie klaszcze.

W drodze do domu Zoe pyta:

- Jak ci się podobało w agencji?

- Super.

- To, co tam mówiłam, to oczywiście tylko żarty. Ale tak poważnie, skarbie, nie myślałaś nigdy, żeby zostać aktorką?

Caroline wstrzymuje oddech. Być aktorką, występować w telewizji to jej największe marzenie.

Zoe przygląda się jej z ciekawością.

- No, myślałaś? - ponagla.

Caroline tylko kiwa głową.

Zoe uśmiecha się zadowolona.

- Mam spróbować coś ci załatwić?

Tym razem kiwa energiczniej.

Następnego dnia Zoe wpada do salonu, gdy Caroline ogląda telewizję.

Jest bardzo z czegoś rada.

- Idziemy na kolację z moim znajomym. Włóż żółtą sukienkę.

Restauracja jest w Beverly Hills i nazywa się Luau. Wnętrze przypomina polinezyjską wioskę, są tam szałasy z trawy, dzidy, wodospady i bujne kwiaty. Caroline nigdy nie była w tak wspaniałym lokalu.

Jack, znajomy Zoe, okazuje się bardzo zabawny i sympatyczny. Caroline się śmieje. Popisuje się, śpiewa piosenkę i opowiada kawał ze szkoły. Jack nazywa ją księżniczką, sadza w wielkim wiklinowym fotelu i zamawia dla niej zeberka, krokiecik i lody na deser.

Po kolacji patrzy na Zoe.

- Znalazłem mojego aniołka - mówi.

- To reklama papieru toaletowego - wyjaśnia Zoe w drodze do domu. - Będziesz aniołkiem, który siedzi na chmurce i opowiada, jaki super jest papier toaletowy. Dasz radę?

Uśmiechają się jednocześnie - obie wiedzą, że tak.

Po powrocie do domu Zoe nalewa sobie drinka z karafki na stoliku.

- No, to chyba wszystko - mruczy. - Trzeba jeszcze tylko zadzwonić do Bartona.

Caroline marszczy brwi.

- Jak to?

- No, nie możesz wystąpić bez jego zgody.

- Dlaczego nie? - Caroline, zdenerwowana, podnosi głos. - Nie ogląda telewizji, nawet mnie nie zobaczy.

Zoe wzdycha.

- I tak musimy zadzwonić. - Przygląda się Caroline. - Jak myślisz, zgodzi się, jeśli trafimy na odpowiedni moment?

Caroline w to wątpi. Ojciec lubi, jak ona siedzi prosto, je jak mała dama, opowiada, co było w Clark, szkole dla dziewcząt. Nie wydaje jej się, żeby można to było pogodzić z rolą aniołka w reklamie papieru toaletowego.

- Chyba się zgodzi - odpowiada mimo wszystko.

Zoe kiwa głową.

- Na pewno, kiedy mu powiemy, jakie to dla ciebie ważne.

Caroline nie słyszy tej rozmowy. Rano Zoe ma czerwone oczy, jest bardzo blada.

- Cóż, ojciec nie był zachwycony - przyznaje. Śmieje się gorzko. - Właściwie wściekł się tak bardzo, że ściąga smycz. Jutro wracasz do Nowego Jorku.

Caroline i Zoe patrzą na siebie.

- Trudno, skarbie - odzywa się Zoe. - Nie martw się. Twój talent rozbłyśnie. Jeszcze dostaniesz swoją szansę, poczekaj, a się przekonasz.

Caroline nie chce czekać. I nie chce wracać do Nowego Jorku. Jednak

następnego ranka są na lotnisku i matka ściska ją na pożegnanie.

- Następane wakacje? - dopytuje się Zoe. - Przyjedziesz do mnie w następane wakacje?

Caroline tylko kiwa głową.

Wsiada do samolotu, zapłakana, i słyszy, jak matka woła:

- Dbaj o opaleniznę, skarbie!

Trudno jest odnaleźć się w Nowym Jorku. Ulice są bardzo głośne, owoce - małe. No i nie ma Disneylandu. Za to jest Laura i domek dla lalek. Początkowo Caroline jest zła na ojca, że nie pozwolił jej zagrać w reklamie, ale potem o tym zapomina. Kalifornia wydają się taka nierzeczywista.

Kiedy jest już w domu, wyjmuje z szuflady w biurku zdjęcie Zoe. Jest do bani. Przy łóżku stawia inne, prawdziwe, jak jedzą z Zoe lody.

Pewnego wieczoru oglądają z Laurą serial Route 66. W przerwie na reklamy złotowłosa dziewczynka w stroju aniołka siedzi na chmurce i rzuca rolkę papieru toaletowego.

- Niebiańsko miękki - mówi.

To mogłam być ja, Caroline ma te słowa na końcu języka, ale milczy.

Caroline ma dziesięć lat. Jest wysoka, ma włosy do pasa. Chodzi na lekcje fortepianu i baletu, umie szydełkować.

Jej życie jest bardzo uporządkowane. W szkole nie jest tak źle. Po lekcjach bawi się domkiem dla lalek, chodzi do parku albo czyta. Wciąż gra z Laurą w karty, choć teraz w wojnę, nie w piotrusia. Właściwie nie ma przyjaciół, ale jej to nie przeszkadza. Lubi samotność.

Zoe często dzwoni, przysyła prezenty, a co roku latem Caroline leci na miesiąc do Kalifornii. Wraca z nowymi ciuchami i piękną opalenizną.

Ojciec nadal jest zapracowany, nadal często wyjeżdża. Od ponad pół roku nie ma nowej przyjaciółki. Caroline sądzi, że dał sobie spokój. I tak jest lepiej. Dobrze jest, jak jest.

Aż pewnej soboty ojciec wydaje przyjęcie. Laura i Caroline są bardzo podekscytowane - Barton rzadko zaprasza gości.

Caroline pomaga Laurze polerować srebra, starannie układa serwetki. Bierze długą pachnącą kąpiel i wkłada ulubiony zielony komplet. Ćwiczy podawanie ręki i szeroki uśmiech pani domu.

Świetnie się bawi na przyjęciu. Wszystkie panie zachwycają się, że jest taka ładna, i gratulują Bartonowi córki. Przed kolacją Caroline życzy wszystkim dobrej nocy i idzie do siebie. O dziewiątej Laura przyjdzie do niej zgasić światło.

Caroline myje zęby, gdy słyszy ciche pukanie do drzwi. Otwiera. Na progu stoi drobna blondynka.

- Cześć - zaczyna nieśmiało. - Jestem Meg. Mogę wejść?

- Nie podoba się pani na przyjęciu? - martwi się Caroline.

Meg wzdycha.

- Nie czuję się dobrze na przyjęciach.

Caroline zaprasza ją do środka.

- Mogę rzucić okiem na twoje książki? - pyta Meg.

- Proszę bardzo.

Podchodzi do biblioteczki. Z cichym okrzykiem zdejmuje z półki Baśnie Andersena.

- Moje ulubione! - Szybko przerzuca kartki. - Znasz Choinkę?

Caroline mówi, że nie zna. Meg siada w fotelu i czyta na głos, chociaż

Caroline umie czytać sama, a do świąt jeszcze daleko. Lecz podoba jej się, jak Meg czyta, jakby naprawdę obchodził ją los małej choinki.

- Może chciałabyś teraz posłuchać Królowej Śniegu? - pyta Meg.

Caroline uwielbia Królową Śniegu, wie jednak, że Meg po prostu nie chce wracać na przyjęcie.

- Powinna pani wrócić do gości - mówi.

- Chyba tak - odpowiada smutno Meg.

Caroline wzdycha, wstaje z łóżka, wkłada szlafrok, bierze Meg za rękę i prowadzi na przyjęcie.

- Poradzi pani sobie - zapewnia i lekko popycha Meg w stronę otwartych drzwi.

Caroline się cieszy, gdy Meg zostaje nową przyjaciółką Bartoną. Jest cudowna, jakby wcale nie dorosła. Nie każe Caroline myć włosów ani odrabiać lekcji. Słucha Beatlesów i je ciasto czekoladowe na śniadanie.

Uwielbia domki dla lalek i podczas drugiej wizyty bawi się z Caroline przez ponad godzinę.

- Masz w domu jakieś miniatutki? - pyta Caroline.

- Jedną. - Meg się uśmiecha.

I tak Caroline dowiaduje się o Adamie.

Adam to synek Meg.

- Musicie się poznać - decyduje Meg. - Chyba się polubicie.

Caroline nie jest taka pewna. Mali chłopcy są hałaśliwi i niegrzeczni.

Mówi jednak, że oczywiście bardzo chętnie go pozna. W następną niedzielę wszyscy razem idą do zoo.

Adam ma trzy lata. Jest zabawny i pogodny. Wsuwa rączkę w dłoń Caroline. Bardzo jej się to podoba. Podoba jej się też, że jest dzielny, nie płacze, kiedy upuszcza loda czy kiedy gałąź uderza go w buzię.

Chciałaby spędzać z nim każdą niedzielę.

Adam i Meg przychodzą do Caroline, kiedy Bartona nie ma w domu. Zawsze świetnie się bawią. Chodzą do parku, do zoo, jadą autobusem na plac Waszyngtona. Caroline uczy Adama grać w wojnę i godzinami grają na balkonie. Co sobota idą na lody do Rumplemeyera. Adam zamawia waniliowe z polewą karmelową, a Caroline - Płonące Różowe Lody Owocowe. Zazwyczaj unika potraw z głupimi nazwami, wstydzi się, zamawiając je, ale Adam za każdym razem śmieje się tak serdecznie, że zawsze bierze to samo.

Płonące Różowe Lody Owocowe!

Wyśpiewują te słowa razem, aż śmieją się kelnerzy.

Caroline jedzie z klasą na trzydniową wycieczkę do Plymouth Rock. Cieszy się i denerwuje jednocześnie.

- Jutro wyjeżdżam - mówi Adamowi.

Ma nadzieję, że się rozplacze i będzie błagał, żeby nie wyjeżdżała, ale jest za mały. Nie rozumie.

- Nie będzie mnie - powtarza.

Lecz on nadal nie płacze, tylko patrzy na nią z uśmiechem. Caroline nie może tego znieść.

- Wyjeżdżam na zawsze! - krzyczy.

Adam ryczy na całe gardło.

Caroline jest zadowolona. Tuli go i zapewnia, że żartowała, że wróci za kilka dni.

- Nie mogłabym wyjechać na dłużej - tłumaczy mu. - Kocham cię najbardziej na świecie.

Caro

Zoe ma nowego narzeczonego - to Greg Altman, jeden z policjantów, którzy uratowali Caro, ten, który pierwszy stanął w wyważonych drzwiach.

Caro wcale nie jest mu wdzięczna za uratowanie jej życia; jest zła, że w ogóle trzeba było je ratować.

Na początku Greg często je odwiedza. Potem siedzi u nich prawie cały czas. Aż nagle, nie wiadomo kiedy, już u nich mieszka.

Caro widzi, że Zoe poważnie traktuje ten związek. To widać po tym, jak się ubiera, jak patrzy na Grega. Czasami nawet mówi do Caro:

- Nie sądzisz, że fajnie byłoby dorastać w normalnej rodzinie i jeść pieczeń na obiad?

Nie wiadomo dlaczego to zawsze jest pieczeń.

- Nie - odpowiada Caro.

Nie lubi Grega. Udaje miłego, ale Caro wie, że w środku jest zły. Wie też, że on również jej nie lubi. Proponuje, że z nią pogra, ale to nie są gry, w których jest dobra. Uważa, że baseball i koszykówka są głupie i mówi mu to prosto w oczy. Nigdy więcej nie chce się z nią bawić.

Zoe się stara.

- Greg miał trudne dzieciństwo - tłumaczy córce. - Ojciec go bił, mama odeszła. Chyba dlatego czasami wydaje się taki surowy. Nie umie inaczej. Ale kocha cię skarbie, naprawdę.

Caro milczy.

Greg chce je zabrać do Oregonu podczas wiosennych ferii. Caro nie ma na to ochoty. Nie podoba jej się nazwa Oregon, nie chce spędzić kilku godzin w samochodzie z Gregiem.

Żeby poprawić sobie humor, pakuje wszystkie zabawki. Widząc to, Greg wali pięścią w stół.

- Jesteś rozpuszczona jak dziadowski bicz! - krzyczy. - Tyle zabawek wystarczyłoby dla tuzina dzieciaków.

Caro zostawia wszystko, zabiera tylko jedną zabawkę, swój najcenniejszy skarb: małego różowego misia z automatu, którego przed laty dostała od mamy.

Pierwszą noc spędzają w motelu przy autostradzie, przy postoju dla ciężarówek, i warkot ich silników nie daje Caro spać. Greg budzi ją wczesnym rankiem.

- Masz dziesięć minut, żeby się ubrać i spakować, inaczej jedziemy bez ciebie.

Caro ubiera się migiem i biegnie do samochodu. Ruszają. Jadą już kwadrans, kiedy zauważa, że zostawiła w motelu różowego misia.

- Musimy wracać! - szlocha, ale Greg nie słucha. - Błagam! - wrzeszczy, waląc go w ramię.

Greg jedzie dalej.

- Kochanie, naprawdę nie możemy wrócić? - odzywa się Zoe. - To jej ukochany...

Greg każe jej się zamknąć.

Wycieczka trwa dziewięć dni. Caro i Greg w ogóle nie rozmawiają.

W ostatni ranek są w motelu w Andersonville i szykują się do drogi. Caro kupuje batonika mars w automacie w holu. Mija Grega na korytarzu. Greg widzi Czekoladkę w jej dłoni.

- Tylko nie jedz tego przed śniadaniem - mówi. - Nie po to tyle bulę za posiłki.

Caro udaje, że go nie słyszy. Idzie do matki, która pakuje rzeczy do samochodu.

- Zoe - mówi - umieram z głodu. Mogę zjeść batonik?

Zoe się śmieje.

- A niby od czego są batoniki?

Caro wraca do pokoju i odgryza spory kęs czekoladki. Ale jej nie smakuje, ma smak winy. Ciska resztę do szuflady z bielizną.

Nie wie, jakim cudem Greg się dowiedział, lecz po chwili rozlega się pukanie do drzwi.

- Caro, zjadłaś batonik, chociaż ci zabroniłem?

- Tylko kawałek, - Jest na sobie wściekła, że ma taki wystraszony głos. - Naprawdę.

- Wpuść mnie. Natychmiast.

Wali pięścią w drzwi. Caro przypomina sobie, jak wyważył tamte drzwi, u porywacza.

Otwiera. Greg staje w progu. Dyszy ciężko.

- Gdzie batonik?

- Schowałam go do szuflady.

Greg szarpie za uchwyt. Wyciąga jej koszulki i bieliznę.

Batonika nie ma.

Caro sama w to nie wierzy.

- Ale naprawdę go tam schowałam. Naprawdę. Przysięgam.

Patrzy na nią.

Greg milczy, kiedy ją bije, Caro milczy, kiedy jest bita.

Ciszę przerywa dopiero krzyk Zoe, gdy wpada do pokoju.

Greg szybko znika z ich życia.

- Myślałam, że tak będzie lepiej dla ciebie - powtarza Zoe. - Myślałam, że fajnie będzie mieć prawdziwą rodzinę.

- Z pieczęcią - dodaje Caro.

Przez kilka tygodni Caro sypia z matką w wielkim łóżu z różową satynową pościelą. Noga żadnego mężczyzny tu nie postanie, obiecuje Zoe.

Greg, choć okropny, zmusił Caro do myślenia.

Nigdy nie interesowała się ojcem. Owszem, fajnie, że co miesiąc przysyła jej pieniądze, więcej na Boże Narodzenie i urodziny, ale nie podoba jej się, że jego telefony denerwują Zoe. Kilka razy sama z nim rozmawiała. Barton ma miły głos, ale bardzo daleki. Zresztą, nigdy nie wie, co mu powiedzieć.

Zawsze wiedziała, że kiedyś go pozna, ale nie wyobrażała sobie, jak to będzie. Teraz jednak łapie się na tym, że coraz więcej o nim myśli. Przygląda się ojcom innych dzieci i próbuje zgadnąć, do którego jej tata jest najbardziej podobny.

- Jaki jest mój ojciec? - pyta pewnego dnia, gdy leżą z Zoe w łóżku.

Zoe jest zaskoczona.

- Cóż - mówi w końcu - na pewno zupełnie inny niż ja. Chyba to właśnie mnie w nim pociągało. Jest bardzo powściągliwy, poważny, bardzo nowojorski.

- Jak go poznałaś?

- Na przyjęciu. Przyleciał do Los Angeles w interesach. Absolutnie tu nie pasował i chyba poczułam litość. A potem się w sobie zakochaliśmy. Cóż, przeciwieństwa się przyciągają. - Zaśmiała się sztucznie. - Ale sama zobaczysz. Poznasz go w sierpniu.

Caro siada gwałtownie.

- Co?

- Lecisz do niego do Nowego Jorku, na miesiąc.

Caro jest podniecona, nie może nad sobą zapanować.

- Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Byłam pewna, że coś wspomniałam. - Caro wyczuwa, że Zoe stara się to zbagatelizować. - Tak postanowiliśmy, kiedy braliśmy rozwód. Do siódmego roku życia zamieszkasze ze mną, a potem będziesz z nim spędzała miesiąc wakacji.

Caro opada na łóżko.

- Nie wierzę.

- Pewnie będziesz się tam strasznie nudzić - mówi Zoe. - Wątpię, żeby Barton bardzo się zmienił.

Caro słyszy strach w jej głosie. Opiera się na łokciu i pochyla nad Zoe.

- Obiecuję, że nie będę go kochała bardziej niż ciebie - mówi.

- No, tylko spróbuj.

Zoe ją łaskocze. Caro odwraca się na bok i udaje, że śpi, choć w głowie ma tylko jedno. W sierpniu zobaczy ojca.

W drodze na lotnisko Zoe udziela jej rad. Musi być grzeczna. Musi pamiętać, że Nowy Jork jest bardziej konserwatywny niż Los Angeles. Musi też pamiętać, że Barton nie ma zbyt dobrego zdania o show - biznesie - może lepiej nie mówić zbyt często o reklamie z aniołkiem. A już na pewno ani słowa o porwaniu. Ani o Gregu.

Caro niecierpliwie kiwa głową. Wkrótce zobaczy ojca.

Kiedy żegnają się na lotnisku, do Caro po raz pierwszy dociera, że przez miesiąc nie zobaczy matki.

Obejmuje ją mocno.

- Pamiętaj, co obiecałaś - szepcze Zoe i próbuje się uśmiechnąć.

- Pamiętam - mówi Caro poważnie.

Usiłuje sobie przypomnieć, co właściwie obiecała.

Caro od razu rozpoznaje Bartona. Jest bardzo przystojny i bardzo elegancki, a jednak czuje rozczarowanie; ojciec z jej marzeń miał różne twarze, ten ma tylko jedną. Wyobrażała go sobie w tylu różnych strojach, witającego ją na tyle różnych sposobów. On jednak ma na sobie tylko jeden granatowy garnitur, a na jej widok mówi tylko jedno słowo. Pyta:

- Caroline? - Nie użył zdrobnienia.

Jadą przez Nowy Jork. Caro patrzy na wysokie, stłoczone budynki.

Czuje się nieswojo, mała i nieważna wśród wieżowców.

- Nasza firma zaprojektowała ten - pokazuje Barton. - O, ten też jest nasz.

- Rany - mówi Caro cichutko.

Przyjeżdżają do budynku, w którym mieszka Barton. Caro się zastanawiała, czy go rozpozna w masie innych wieżowców. Jadą do góry windą; w której robi się jej niedobrze.

Mieszkanie ojca jest zupełnie inne niż matki. Nie ma tu jasnych kolorów, nie ma stołeczków pod nogi. Żadnych jaskrawych plam, wszystko idealnie dobrane.

- Uważaj - ostrzega Barton. - To mieszkanie nie powstało z myślą o dzieciach. Nie chcę, żebyś zrobiła sobie krzywdę.

Prowadzi ją do jej pokoju. Tu już jest lepiej. Na łóżku leży ładna narzuta w kwiaty, w szafie jest pełno zabawek. Co prawda z większości wyrosła rok temu, ale nie szkodzi. Ojciec się stara.

- Mam nadzieję, że będziesz tu szczęśliwa - mówi.

- Już mi się podoba - zapewnia Caro radosnym głosem, którego używa na castingach.

Ojciec kaszle.

- Jak się miewa mama? - pyta.

Mówi to takim samym sztucznym tonem jak Zoe, kiedy prosiła, żeby pozdrowiła od niej ojca.

- Dobrze.

- Występowałaś jeszcze w jakichś reklamach?

- O, nie - zapewnia pośpiesznie. - Z tym już koniec. Mama chce, że bym była architektem, jak ty, kiedy dorosnę.

Ojciec przygląda się jej podejrzliwie.

- Rozumiem. - Uśmiecha się. Ma miły uśmiech. - Opowiedz mi o sobie. Chciałbym cię poznać.

Caro jest ostrożna. Opowiada mu o szkole, o tym, jak lubi plastykę. Z kim się przyjaźni. Chwali się, że umie zagrać kilka melodii na pianinie, i pyta, czy mogłaby kiedyś odwiedzić Bartona w biurze.

Kończy i czeka na jego reakcję.

- Widzę, że wspaniały z ciebie dzieciak - mówi ojciec.

Wygrała ten casting. Wspaniały z niej dzieciak.

Tej nocy śpi smacznie, choć prześcieradło jest bawełniane, nie satynowe. Przy jej łóżku stoi fotografia mężczyzny z niemowlęciem. Dopiero po dłuższej chwili uświadamia sobie, że mężczyzna to jej ojciec, a dziecko to ona. Robi jej się smutno na myśl, że kiedyś go znała, siedziała mu na kolanach, a potem zapomniała o nim na tyle lat.

Następnego ranka na brzegu jej łóżka siedzi duża, ciemnoskóra kobieta.

- Dzień dobry, skarbie - mówi ze łzami w oczach. - Jestem Laura, gosposia twojego taty. Zaopiekuję się tobą.

Caro jest trochę głupio, że kobieta tak się do niej uśmiecha.

- Dzień dobry - odpowiada.

Laura wyciąga ręce i przytula ją z całej siły.

- Od siedmiu lat na to czekałam!

Caro nie wie, co powiedzieć. Nie może udawać, że ona też czekała, aż Laura ją przytuli; przecież jeszcze przed chwilą w ogóle nie miała pojęcia o jej istnieniu.

Laura jest bardzo miła i Caro szybko się orientuje, że zrobi wszystko, czego ona tylko zapragnie. Caro ma ochotę na gotowaną kukurydzę i brzoskwinie z puszki? - proszę bardzo. Chce przez trzy dni chodzić w tej samej sukience? - nie ma sprawy. Bawić się w chowanego? - bawią się, choć Laurę bołą plecy, kiedy kuli się za kanapą.

Laura nigdy nie ma dosyć jej opowieści o Kalifornii. Wypytuje o wszystko: o Zoe, o to, jak ubierają się ludzie w Hollywood, jak wygląda studio filmowe, czy Caro kiedyś widziała Doris Day.

Caro za to lubi opowieści o życiu Laury. Laura mówi jej o swojej córce Dale i wnuczce Yvette, „jej drugiej małej księżniczce”,

Caro jest zazdrosna, że w życiu Laury jest jeszcze jakaś mała księżniczka oprócz niej.

- Chciałabyś je ze mną odwiedzić? Kiedy twój tatuś wyjedzie?

- Tak - zapewnia Caro grzecznie. Musi mieć oko na tę drugą małą księżniczkę.

Tydzień później Barton wybiera się do Atlanty.

- Dlaczego musisz tam jechać? - dopytuje się Caro.

Chyba cieszy go, że za nim tęskni.

- To ważne zlecenie - tłumaczy. - Mam zaprojektować nowy ratusz.

Nie martw się, Laura się tobą zaopiekuje.

- Gotowa? - pyta Laura następnego ranka.

- Jeszcze chwileczkę - prosi Caro.

Wyjątkowo starannie szczotkuje włosy. Kilka razy sprawdza, czy ma na pewno czyste zęby.

Idą na stację metra. Podczas długiej jazdy dusznym wagonem robi się Caro niedobrze, ale nic nie mówi Laurze.

W końcu wysiadają i idą długą zaśmieconą ulicą. Caro podoba się w Harlemie. Tyle tu żywych kolorów, jak w mieszkaniu matki.

Mijają kilka przecznic, skręcają w wąską uliczkę i stają przed małym jasnoniebieskim domkiem.

- Jesteśmy - oznajmia Laura.

Wchodzą po schodkach na ganek i pukają do drzwi. Otwierają się prawie natychmiast. Na progu stoi niska kobieta z burzą włosów i dziewczynka o rok czy dwa starsza od Caro.

Laura ściska je gorąco. Caro grzecznie stoi z boku.

- Caro, poznaj moją córkę Dale i wnuczkę Yvette.

Druga mała księżniczka. Caro przygląda się jej uważnie. Jest wysoka i bardzo chuda, ale ma cudowne włosy. Otaczają jej twarz chmurą cienkich warkoczyków. W pierwszej chwili Caro jest zazdrosna, ale zaraz przypomina sobie, jak ślicznie jej złote loki wyglądały w reklamie z aniołkiem.

Laura klepie Yvette po pupie.

- Pokaż Caro swój pokój, skarbie.

Caro wolałaby zostać z Laurą, ale posłusznie idzie za dziewczynką.

- To mój pokój - oznajmiła Yvette.

Zdaniem Caro nic szczególnego, dopóki nie spostrzega ogromnego różowego misia na łóżku.

- Wygrałam go - oświadcza z dumą Yvette. - Sama. W Playlandzie.

Tak, miś jest niezwykły. Co prawda milion razy większy, przypomina jednak Caro tego różowego, z automatu, którego tak kochała, a którego straciła przez Grega.

- Byłaś kiedyś w Playlandzie? - pyta Yvette.

- Nie.

- Żałuj. Poproś tatę, niech cię zabierze.

Yvette opowiada Caro o Playlandzie i grach.

- Jak trafisz trzema obręczami, wygrywasz misia. Chcesz spróbować?

- Dobra.

Laura się cieszy, że Yvette i Laura wymyśliły sobie zabawę. Pomaga im ustawić butelki po mleku i wycina obręcze z tektury.

Bawią się godzinę. Laura mówi, że powinny wygrać co najmniej tuzin misiów.

Później, przy podwieczorku, Yvette pyta:

- A czy tam, gdzie mieszkasz, jest coś takiego jak Playland?

Caro się uśmiecha.

- No, my mamy Disneyland.

Yvette marszczy brwi.

- Myślałam, że Disneyland jest tylko w telewizji.

- O, nie. - Caro opowiada jej o wszystkim ze szczegółami: o Nibylandii i statku piratów, o syrenach i wirujących filiżankach.

Yvette odkłada ciasteczko. Zagryza wargę.

- Naprawdę? - pyta cichutko.

Caroline zdaje sobie sprawę, że powinna przestać, ale nie może się oprzeć, więc opowiada dalej - o diabelskim młynie, o dzwoneczku na niebie.

Yvette głośno przetyka ślinę.

- To lepsze niż Playland - mówi w końcu.

Caro robi się wstyd.

- Nieprawda - zapewnia szybko. - Playland jest fajniejszy.

Yvette nie podnosi głowy.

Caro czyta u siebie, gdy ojciec puka do drzwi.

- Chodź, Caro. Chciałbym ci coś pokazać.

Idzie za nim do gabinetu. A tam na szklanym blacie stolika stoi miniaturowy wieżowiec. Wspaniały. Na makiecie są malutkie drzewa i nawet ludzie. Caro ma łzy w oczach.

- To dla mnie?

Barton śmieje się głośno.

- Niestety nie. To się nazywa model architektoniczny, miniaturowa wersja budynku, który powstanie w Atlancie. Jutro zaprezentuję go zleceniodawcom.

- Dostanę go, jak skończysz?

Przygląda się jej badawczo, coraz uważniej.

- Caro, możesz na to tylko popatrzeć, rozumiemy się? Nie podchodź do makiety. Jest bardzo delikatna, jeden niewłaściwy ruch i tygodnie pracy pójdą na marne. - Uśmiecha się. - Chyba tego nie chcesz, co?

- Nie - odpowiada Caro.

Barton wychodzi na spotkanie. Caro błyskawicznie wraca do gabinetu.

Nie zepsuje makiety. Przecież nie chce, żeby tygodnie pracy poszły na marne. Ale żeby jej mówił, że nie może tego nawet dotknąć? Jej, Caro, która grała aniołka w reklamie? Która zamieniła papier toaletowy w tęczę?

Pochyla się, chce się pobawić. Usiłuje przestawić małego ludzika bliżej budynku. Ani drgnie. Ciągnie mocniej, tylko odrobinę mocniej, ludzik się odrywa. Caro traci równowagę, upada, zawadza kolanem o makietę. Wieżowiec się przechyla, przewraca, spada na ziemię.

Jest w kawałkach.

Usta Caro drżą.

- Laura! - zaczyna krzyczeć, ale zaraz milknie. Nie. Laura pracuje dla ojca. Nieważne, jak bardzo kocha Caro, nieważne, że będzie chciała jej pomóc, będzie musiała powiedzieć ojcu, co się stało.

Nie może jej zawołać.

Caro wymyka się z gabinetu. Idzie do siebie, zamyka drzwi i bawi się lalkami.

Czeka i czeka. W końcu słyszy, że ojciec wrócił. Po chwili rozlega się pukanie do drzwi.

- Caro? - Barton ma bardzo poważną minę. - Czy po moim wyjściu byłaś w gabinecie?

- Nie - odpowiada zdziwiona. Jest świetną aktorką. Wskazuje lalki na podłodze. - Bawiłam się tutaj.

- Ktoś zniszczył moją makietę - mówi ojciec. - Wiesz coś na ten temat?

Caro przygląda mu się uważnie. Wie, że powinna się przyznać. Bohaterki jej ulubionych książek i seriali powiedziałyby prawdę. I Caro już otwiera usta, kiedy przypomina jej się Greg. „Zjadłaś batonika, chociaż ci zabroniłem?” I jego uniesiona dłoń, która zaraz wylądowała na jej twarzy.

Caro przełyka ślinę.

- Nie - powtarza. Udaje, że się zastanawia. - Ale słyszałam, jak coś trzasnęło. A potem... - Nie może się powstrzymać. - Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że widziałam, jak Laura stamtąd wychodzi.

Nie może zasnąć. Ciągłe drży. Nie chciała tego, naprawdę. Nie wie, czemu skłamała. Nie wiedziała, że dojdzie do awantury. Że Laura wymówi.

Laura odchodzi następnego ranka. Caro zamyka się u siebie. Boi się wyjść. Wie aż do ostatniej chwili, póki za Laurą nie zamkną się drzwi, że jeszcze może wyznać prawdę, wszystko naprawić. Ale tego nie robi. I Laura odchodzi.

Trzy dni później Caro wraca do Kalifornii. Zoe czeka na lotnisku.

- No i jak - pyta. - Dobrze się bawiłaś?

Caro razi sztuczna wesołość w jej głosie.

Wystarczy, jeśli powie: cieszę się, że jestem w domu, i matka będzie wniebowzięta. Ale tego nie mówi.

Właściwie dlaczego matka ma być wniebowzięta? Niby kto jest dzisiaj szczęśliwy? Laura nie, bo straciła pracę. Yvette nie, bo w jej życiu najlepszy jest tylko Playland. Ojciec nie, bo płakał, żegnając się z nią na lotnisku. Caro nie, bo skłamała. Więc mówi głośno:

- Bawiłam się świetnie, już nie mogę się doczekać, kiedy znowu tam pojedę.

I ze smutną satysfakcją obserwuje, jak matce jest przykro.

Caro jest na lekcji plastyki, gdy wchodzi dyrektor szkoły. Płacze. Mówi, że zastrzelono prezydenta. Dzieci gromadzą się w holu. Z powodu tragedii wcześniej wrócą do domów. Caro nic na to nie poradzi, ale trochę się cieszy. Jeśli lekcje skończą się wcześniej, ominie ją klasówka z tabliczki mnożenia.

W domu nie jest już tak wesoło jak zwykle. Wszyscy płaczą, mama, sąsiedzi, nawet dziennikarze w telewizji.

Przez całe popołudnie ogląda wiadomości. Na ekranie pojawia się Caroline, córeczka Kennedy'ego. Caro wierci się niespokojnie, myśli o tym, jak nagle zmieniło się życie tej dziewczynki. W jednej chwili wszystko jest cudowne, w następnej - w kawałkach, jak makieta. Zaraz jednak przypomina sobie, że ona ma na imię Caro, nie Caroline, jej nic się nie stanie.

Caroline

Ostatni dzień w szkole. Dziewczynki czekają w auli na rozdanie nagród. Caroline siedzi w ostatnim rzędzie. Powtarza sobie, że przecież nie dostanie nagrody, głupotą byłoby na nią liczyć. I wtedy słyszy swoje nazwisko.

- Nagroda za najlepsze maniery dla... Caroline Andrews.

Caroline, potykając się, wchodzi na podium, czerwona jak burak. Najlepsze maniery. To nie nagroda, to kpina, dostają ją nieudacznicy, którzy nie zasługują na nic lepszego.

Bierze wstęgę i uśmiecha się sztucznie. Szybko wraca na swoje miejsce.

- A teraz nagroda dla dziewczynki, która odniesie największy sukces.

Dyrektorka sięga po ostatnią wstęgę. To o tej nagrodzie skrycie marzyła Caroline.

Słucha, jak pada inne nazwisko, patrzy, jak inna dziewczynka wchodzi na podium.

Caro

Ostatni dzień obozu letniego. W sosnowym zagajniku odbywa się rozdanie nagród. Uczestnicy siedzą w kręgu, a wychowawcy po kolei wywołują nagrodzonych.

Nikogo nie pominęto. Niektóre nagrody są poważne - za najlepszy rysunek, inne żartobliwe - za najgorzej pościelone łóżko.

W końcu przychodzi kolej na Caro.

- A teraz Caro Andrews - mówi wychowawczyni. - Caro to zdaniem wszystkich dziewczynka, która odniesie największy sukces.

Wszyscy wiwatują i biją brawo. Caro spodziewała się, że dostanie tę nagrodę. Wstaje, idzie na środek polany. Bierze wstęgę i dyga.

Część 2

Czerwony balonik

Caroline

Caroline wraca do domu po kolejnym okropnym dniu w szkole. Trzecia klasa jest najgorsza ze wszystkich. Do tej pory koleżanki w szkole ją ignorowały, teraz, nie wiadomo dlaczego, jej nienawidzą. Dziewczynki śmieją się z niej bez przerwy - z jej pisma, jej fryzury, jej sposobu mówienia. Czasami, jadąc autobusem do domu, myśli o Zoe i o Kalifornii. Wspomina palmy i plaże i chce jej się płakać.

Ale dzisiaj jest czwartek, czyli o ósmej w telewizji będzie Drzewo na Brooklynie.

To jej ulubiony serial. Caroline myśli o nim, gdy jest jej źle, podczas przerwy obiadowej, kiedy nikt z nią nie siada, na WF-ie, kiedy wszyscy śmieją się z jej fikołków. Ten film jest dla niej wielką pociechą.

W czwartkowe wieczory, za pięć ósma, Caroline odkłada podręczniki, idzie do salonu i włącza duży telewizor. Zawsze się martwi, że z jakiegoś powodu wstrzymają emisję serialu, ale do tej pory to się nie zdarzyło. O ósmej się zaczyna. Kiedy rozlegają się pierwsze takty muzyki, zapomina o wszystkich nieszczęściach.

Napisy na tle zdjęć Nowego Jorku z przełomu stuleci: zamiast samochodów - konne powozy, sprzedawcy zamiast supermarketów, kocie łby zamiast asfaltu. Fajnie byłoby wtedy żyć, myśli, w czasach, gdy jej szkoły jeszcze nawet nie zbudowano.

Zaczyna się film. Serial opowiada o rodzinie państwa Nolanów, którzy w każdym odcinku mają nowe przygody. Czasami przygody są straszne - Neely'ego stratował koń, czasami zabawne - ciotka Sissy udawała lekarza, ale zawsze kończą się dobrze. Zanim pokażą się napisy końcowe, bohaterowie ściskają się i śmieją i wszystko jest już w porządku.

Ulubioną postacią Caroline jest Flossie Gaddis. Flossie nie należy do rodziny Nolanów, to dziewczynka z sąsiedztwa. Flossie ma szalone pomysły i wiecznie pakuje siebie i Francie Nolan w kłopoty, ale nie jest zła czy podstępna. Karmi wszystkie bezdomne zwierzaki w okolicy i stawia się Jackowi, kiedy krzyczy na Annie - Laurie.

Caroline chciałaby być jak Flossie Gaddis. Kiedyś nawet napisała list do dziewczynki, która ją gra. Napisała, jaka jest wspaniała i że chciałaby się z nią zaprzyjaźnić, ale nie wysłała tego listu. Caroline wie, że Flossie i dziewczynka, która ją gra, to nie to samo. Dziewczynka uznałaby ją za idiotkę.

- O Boże, znowu! - Barton co czwartek kręci głową o ósmej wieczorem. - Kiedy wreszcie skończy się ten serial, żebym miał salon dla siebie?

Caroline wie, że on tylko tak żartuje, ale nie obejrzy z nią serialu. Uważa, że to sentymentalne bzdury.

Za to Meg i Adam za nim przepadają. Nie opuścili ani jednego odcinka. Czasami przychodzą i oglądają go razem z Caroline.

Meg w kółko powtarza, że chciałaby być jak Katie Nolan, mama z serialu.

- Jak ona to robi? - zastanawia się, kiedy mama przekonuje właściciela, żeby pozwolił im jeszcze raz nie płacić czynszu, albo prosi Neely'ego, żeby nie rzucał szkoły. A Caroline pociesza ją, mrużąc:

- Meg, to tylko serial.

Ale oczywiście to coś więcej niż serial.

Meg uwielbia sprawiać Caroline niespodzianki, które kojarzą się z Drzewem na Brooklynie. Pewnego dnia Caroline wraca do domu i widzi na swoim łóżku staromodną kapę.

Łzy radości stają jej w oczach.

- Flossie Gaddis ma taką samą!

Innym razem na jej poduszce leży powieść Betty Smith Drzewo na Brooklynie.

- Na podstawie tej powieści nakręcono serial - wyjaśnia Meg.

Ale książka w niczym nie przypomina serialu. Jest bardzo ponura. Mama nie czaruje właściciela, tata jest pijakiem, a Flossie Gaddis ma tylko cztery lata i umiera.

Caroline jest tak przejęta, że nie czyta do końca i chowa książkę na dnie szafy. Nadal jednak uwielbia serial. To on jest prawdziwy.

Halloween. Halloween to wielkie święto w szkole Clark. Dziewczynki się przebierają, jest konkurs na najlepszy kostium.

- Za kogo chcesz się przebrać? - pyta Meg.

- Za nikogo. - Nie chce być pośmiewiskiem.

Meg milczy. Lecz w wieczór poprzedzający Halloween na łóżku Caroline leży spora paczka.

- Co to? - pyta.

- Drobiazg na jutro.

Caroline otwiera pudło i wrywa jej się głośne: och! W paczce jest kopia sukienki Flossie, i to tej najpiękniejszej, którą ma na sobie na początku każdego odcinka: biała spódniczka, fartuszek w różyczki, bluzeczka z białą koronką.

Nie wierzy własnym oczom.

- Meg, jak to zrobiłaś?

- Wiesz, znalazłam taką krawcową na Czternastej ulicy, i ona...

Caroline nie słucha. Już widzi siebie w szkole jako Flossie. Wyobraża sobie zdumienie na twarzach koleżanek. I promienny uśmiech dyrektorki.

- Nagrodę główną w konkursie otrzymuje.... Caroline Andrews!

W auli rozlega się burza oklasków. Caroline wchodzi na scenę i bierze błękitną wstęgę.

Następnego dnia wstaje bardzo wcześnie. Meg przychodzi po śniadaniu, żeby pomóc jej się ubrać. Zaplata jej włosy w koronę z warkoczy i upina dwie wielkie kokardy - to fryzurka Flossie.

- Szkoda tylko, że nie znalazłam takich bucików na guziczki - martwi się Meg.

Caroline ściska ją i zapewnia, że jej buciki są w porządku.

- Nie wracaj do domu bez błękitnej wstęgi! - woła za nią Meg, gdy Caroline wsiada do szkolnego autobusu.

Caroline dumnie idzie do klasy. Amanda Waverly, przebrana za księżniczkę, przygląda się jej uważnie.

- Kim niby jesteś?

- Flossie Gaddis. Z serialu Drzewo na Brooklynie.

Amanda parska śmiechem.

- Oglądasz Drzewo na Brooklynie? Jezu, nie myślałam, że ktoś może to oglądać! Ej, dziewczyny! - woła. - Wiecie, za kogo przebrała się Caroline? Za dziewczynkę z Drzewa na Brooklynie!

Cały hol trzęsie się od śmiechu.

Większość dziewczynek nawet nie widziała serialu, ale te, które go znają, nucą tytułową piosenkę i tańczą dokoła Caroline.

Powtarza sobie, że to bez znaczenia. Nieważne, że się śmieją. Nieważne, że nie wygra. Zawsze będzie kochała Drzewo na Brooklynie. I swój piękny kostium.

Meg nie ma w domu, kiedy Caroline wraca, i bardzo dobrze. Powie jej, że wszyscy byli zachwyceni jej przebraniem, a nie wygrała tylko dlatego, że w ostatniej chwili odwołano konkurs.

Idzie do siebie i ściąga sukienkę. Kiedy chowa ją do szafy, widzi, że ktoś napisał atramentem: Idź do diabła, na rąbku spódnicy.

Biegnie do łazienki i pierze. Na darmo. Napis nie schodzi.

W zimne listopadowe popołudnie wraca do domu i zastaje ojca, Meg i Adama. Czeka ją na nią.

- Caroline, mamy ci coś do powiedzenia - zaczyna Barton. Obejmuje Meg ramieniem. - Postanowiliśmy się pobrać.

Meg wyciąga do niej rękę. Caroline rzuca się jej na szyję, ciągnąc Adama za sobą. Są jak wielka roześmiana ośmiornica.

- Kiedy? - pyta.

- W marcu - odpowiada Meg. Jest niespokojna. - Pomożesz mi? Wiesz, że sobie nie radzę w takich sytuacjach.

Caroline ochoczo obiecuje pomoc ze wszystkim.

Tej nocy długo nie może zasnąć. W kółko powtarza sobie nowe słowa: ślub, moja macocha, mój brat, moja rodzina. Wreszcie wszystko będzie jak trzeba, będzie miała pełną rodzinę. Nic nie szkodzi, że szkoła jest okropna. Po lekcjach Meg zawsze po nią przyjdzie. Adam rzuci się jej na szyję. Nic nie szkodzi, że w weekendy nikt jej nie zaprasza. Będzie miała pikniki w parku z Meg i zabawy z Adamem na balkonie.

Planowanie ślubu to świetna zabawa. Niemal codziennie Caroline i Meg załatwiają coś w związku z uroczystością. Wybierają firmę cateringową, zespół muzyczny, wzór zastawy. Meg zawsze zgadza się z decyzją Caroline.

Tylko u cukiernika dochodzi do małego nieporozumienia. Zamówiły już tort, muszą tylko wybrać figurki do dekoracji. Meg ma ochotę na tradycyjną młodą parę, lecz Caroline znalazła coś ładniejszego. Malutkie porcelanowe myszki w ślubnych strojach.

- Nie wiem, co twój ojciec na to powie - niepokoje się Meg, ale ulega, widząc smutek w oczach Caroline.

Jest tylko jedna nieprzyjemna chwila - przy sporządzaniu listy gości.

- Oczywiście zaprosimy wszystkie twoje koleżanki z klasy - mówi Meg do Caroline.

- Nie.

Meg marszczy brwi.

- Kochanie, musimy, to zwykła uprzejmość.

- Jeśli one przyjdą, to ja nie.

Meg wie, jakie one są.

- Caroline, nie rozumiesz? To będzie piękny ślub, a ty jako druhna...

Nieoczekiwanie Caroline się uśmiecha.

- Dobrze - zgadza się. - Ale nie ma sensu wysyłać zaproszeń do każdej osobno. Zaniosę jedno do szkoły, niech wychowawczynie powiesi je na tablicy ogłoszeń.

Meg jest zachwycona.

- Ją też zaprosimy.

- No pewnie.

Meg daje jej zaproszenie; Caroline chowa je do tornistra. Następnego ranka, zanim wejdzie do szkoły, drze je i wrzuca do śmietnika.

- Nie rozumiem - mówi Meg dwa tygodnie później. - Dwadzieścia pięć dziewczynek i ani jednej odpowiedzi. Jak myślisz, zadzwonić do ich rodziców?

- O nie - Caroline smutno kręci głową. - Mówiłam ci, one są bardzo źle wychowane.

Zoe dostała zaproszenie. Przysłała liścik, napisany złotym atramentem na liliowym papierze, mocno pachnący perfumami: Kochani, niestety, nawał pracy nie pozwoli mi być z Wami w tym bardzo dla Was ważnym dniu, ale życzę Wam wszystkiego najlepszego.

Meg, jesteś bardzo odważna... to tylko żart.

Całusy,

Zoe

Liścik jest dołączony do pięknego kryształowego wazonu od Tiffany'ego, który Meg od razu stawia na honorowym miejscu na stole. Caroline jest dumna z obu matek, starej i nowej.

W końcu czas wybrać stroje.

- Saks - oświadcza zdecydowanie Caroline.

- O nie - zarzeka się Meg. - Wiesz, że nienawidzę domów towarowych.

Caroline ulega, włączą się Lexington Avenue.

- Co ty na to? - Meg przygląda się edwardiańskiej kreacji z białej koronki.

Caroline obrzuca ją krytycznym spojrzeniem.

- Nie bardzo przypomina suknię ślubną.

- No tak. - Meg wzdycha. - I dlatego mi się podoba. Przeraza mnie myśl o trenie i welonie. A w tej mogę udawać, że idę tylko na popołudniową herbatkę.

Caroline się śmieje. Meg kupuje sukienkę.

Caroline nie ma takich problemów ze strojem dla siebie. Od razu idzie do Saks i niemal natychmiast znajduje sukienkę idealną dla druhny - różową, z krynoliną i koronką. Przez moment nawet żałuje, że koleżanki ze szkoły nie zobaczą, jak ładnie w niej wygląda.

Zastanawiają się, czy po ślubie przeprowadzić się do innego mieszkania. To pomysł Bartona.

- Nie. - Tym razem Meg jest zdecydowana. - Zostaniemy tutaj. Tutaj cię poznałam i tutaj pokochałam Caroline. To jest jej dom.

Caroline jest bardzo zadowolona.

Okres wynajmu mieszkania Meg i Adama kończy się w kwietniu, ale już od początku marca powoli przewożą swoje rzeczy. Caroline pomaga im się rozpakować. Z każdą suknią Meg w szafie, z każdą zabawką Adama na półce jest szczęśliwsza. Meg i Adam wreszcie zostaną, razem ze swoimi skarbami, Nie odejdą. Będzie ich miała na zawsze.

Są coraz bardziej zajęci. Pocztą przychodzą pierwsze prezenty. Meg nie otwiera ich, póki Caroline nie wróci ze szkoły.

- To jest ładne - orzeka Caroline. - Postawimy to w przedpokoju. Albo: - O nie, to okropne. Trzeba to wymienić.

Czasami Meg chce zatrzymać okropny prezent.

- Zapytamy tatusia - proponuje Caroline, a Barton zawsze przyznaje, że prezent jest paskudny i trzeba go wymienić.

Tydzień przed ślubem Caroline wymyka się do miasta, żeby kupić prezent dla młodej pary. Meg jest u fryzjera, a ona biegnie do sklepu przy Lexington, gdzie Meg znalazła suknię ślubną. Patrzy na wystawę - jest: śliczna stylowa torebka, która wtedy zachwyciła Meg.

- Ile kosztuje? - pyta sprzedawcę.

- Siedemdziesiąt pięć dolarów.

Caroline od dziecka zbiera pieniądze na Gwiazdkę i na urodziny. Ma sto pięćdziesiąt osiem dolarów. Płaci za torebkę.

Dla Taty i Meg. Wszystkiego najlepszego z okazji ślubu - pisze na bileciku. Co prawda prezent jest właściwie tylko dla Meg, ale ojciec na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

Dzień przed ślubem. Wszyscy są podekscytowani i cały czas żartują, tylko Laura jest smutna. Po południu wchodzi do salonu z paczką.

- Prezent dla młodej pary - mówi.

W pudełku jest dzbanek do kawy. Meg ściska ją serdecznie.

- Cóż, no to na mnie już czas - mówi Laura.

- Czas? - powtarza Meg.

- Młode małżeństwo zaczyna od nowa - oznajmia Laura z godnością. - Pani ma na pewno swoje pomysły na prowadzenie domu, nowa miotła inaczej zamiata.

Meg ma łzy w oczach.

- Żadna nowa miotła. Jeśli myślisz, że poprowadzę ten dom bez ciebie - krzyczy - oszalałaś! Barton i dzieci umarliby po tygodniu!

Caroline i Adam tańczą dokoła Laury, głośno zapewniają, że jej potrzebują.

Więc Laura obiecuje, że zostanie i uśmiecha się promiennie. Adam ciska nowy dzbanek na głowę i wszyscy śmieją się na całe gardło.

Dzień ślubu jest rześki i słoneczny. Caroline bierze długą kąpiel z bąbelkami, wkłada różową sukienkę i przygląda się swojemu odbiciu. Zdumiewa ją, jak dorosłe wygląda.

Jadą z ojcem limuzyną do kościoła świętego Bartłomieja. Ludzie zagląдают do samochodu i uśmiechają się na ich widok.

W kościele powoli zbierają się goście. Ojciec całuje Caroline i zmierza do ołtarza, gdzie czeka na pannę młodą. Caroline idzie do zakrystii, do Meg i Adama.

Meg się denerwuje. Jest śliczna, choć blada, co chwila nerwowo obgryza paznokcie i poprawia sukienkę.

- Caroline - zaczyna.

Caroline wie, że zaraz wygłosi mowę. Okropną mowę, którą na pewno układała przez pół nocy.

- Wiem, wiem - mówi szybko. - Kochasz mnie i postarasz się być dobrą matką.

Obejmuje ją serdecznie. Meg odwzajemnia uścisk.

- Kiedy już będzie po wszystkim - szepcze jej do ucha - dostaniesz te myszki z tortu.

To już szczyt szczęścia. Organista uderza w klawisze. Rozbrzmiewa marsz weselny.

Caro

Prawie co tydzień jest nowy casting, a Caro wygrywa je wszystkie. Ciągłe widzi się w telewizji: reklamuje owoce w puszkach, lalki, ubezpieczenia na życie i wyprzedaż w supermarkecie. Już się nie dziwi, kiedy dzwonią producenci z ofertami pracy.

Pewnego wieczoru Zoe słyszy, jak Caro rozmawia przez telefon z koleżanką z klasy.

- Wpadnę w piątek, jeśli będę mogła, ale chcieli mnie ci od batoników mars, i chyba właśnie wtedy kręcimy. - Caro wzdycha. - Fatalnie. Przecież ja nawet nie lubię marsów.

Zoe wpada do pokoju jak burza. Caro prostuje się nagle, widząc jej minę, i szybko kończy rozmowę.

- Co za rozpuszczony bachor! - krzyczy Zoe. - Jak śmiesz tak mówić? Masz pojęcie, jaka z ciebie szczęściara, że dostajesz te zlecenia? Albo jak szybko może być po wszystkim? Masz dziesięć lat: wystarczy jeden pryszcz i koniec!

Caro przeprasza. Zapewnia, że wie, jaka z niej szczęściara i że wszystko może się w każdej chwili skończyć. Ale w to nie wierzy.

Caro szybko się uczy. Wkrótce opanowuje wszystkie właściwe ruchy. Wie, jak ucisnąć rękę odpowiednio mocno. Umie mówić „proszę pana”, tak by brzmiało to naturalnie. Umie uśmiechać się nieśmiało.

Zoe w kółko słyszy, jaka to przyjemność pracować z Caro.

- No, przynajmniej czegoś cię nauczyłam - prycha, wyraźnie z siebie zadowolona.

Pewnego dnia, kiedy wraca do domu, oczy błyszczą jej z podniecenia.

- Najwyższy stan gotowości - mówi do Caro. - Nowy serial w CBS. Odcinki po godzinie. Może będzie tam coś dla ciebie.

- Jaki?

- Drzewo na Brooklynie. Strasznie staroświecki, ale kto wie? Może się okazać strzałem w dziesiątkę. O niemiecko - irlandzkiej rodzinie w Nowym Jorku na przełomie wieków. - Uważnie przygląda się córce. - Chyba się nadajesz. Zdaje się, że twój ojciec ma jakichś krewnych w Sztokholmie, Monachium czy gdzieś tam.

- Będzie casting?

- Pewnie. Wszystkie dzieciaki w mieście będą się zabijały o role w tym serialu. Na szczęście Rick, mój znajomy, jest asystentem reżysera, więc nam pomoże.

Zoe rusza do akcji. Biegnie do księgarni i kupuje wszystko, co jej wpadnie w ręce na temat imigrantów, oraz powieść Betty Smith Drzewo na Brooklynie.

Tego wieczoru Caro nie odrabia lekcji. Siedzi na kanapie, a Zoe na głos czyta fragmenty książki. Powieść jest wzruszająca, gorzka i bardzo smutna. Obie są zachwycone. A kiedy Zoe czyta o Francie, obie widzą w tej roli Caro.

Następnego dnia Zoe dzwoni do Jaspera, znajomego z MGM.

- Wiesz, mam prośbę - zaczyna. - Czy mógłbyś odnaleźć dla mnie taki stary film z Dorothy McGuire? Kiedyś za nim przepadałam i opowiadałam właśnie mojej córce... W tytule było coś o drzewie na Brooklynie.

Jasper się śmieje. Zna Zoe. On także słyszał o nowym serialu. Ale bawi go jej taktyka, więc obiecuje poszukać.

Dzień później Zoe i Caro siedzą w salce projekcyjnej MGM i oglądają film.

- Peggy Ann Garner - Zoe czyta obsadę. - Ona ma twoją rolę.

Po zaledwie dwudziestu minutach filmu Caro smutno kręci głową. Peggy Ann Garner to najlepsza mała aktorka, jaką w życiu widziała. Nikt nie przebije jej Francie. Caro woli nawet nie próbować.

Film się kończy; Zoe i Caro płaczą. Zapalają się światła. Zoe energicznie ociera łzy.

- No, do Francie na pewno nie wystartujesz - oznajmia córce. - Ale może znajdziemy coś innego.

Zoe pyta Ricka, przyjaciela z CBS, czy mogłaby rzucić okiem na scena riusz nowego serialu. Rick mówi, że to zbyt ryzykowne. Zoe zaprasza go na kolację. Dostaje scenariusz. Czyta go do późnej nocy, a rano budzi Caro.

- Zamordowali powieść - mówi. - Wygładzili, złagodzili, zrobili sentymentalną papkę. A Francie to koszmar, taka mała święta. Nie dla ciebie, zwichnęłaby ci karierę. Ale - uśmiecha się szeroko - jest tam rola dla ciebie.

- Kto?

- Ta mała od sąsiadów, Flossie Gaddis.

- Flossie Gaddis? Przecież ma tylko cztery lata i umiera! -

- W serialu nie. Ma jedenaście lat i jest najlepszą przyjaciółką Francie. Postaram się załatwić ci casting.

Znowu spotyka się z Rickiem. Casting odbędzie się w środę.

Zoe zazwyczaj nie ma skłonności do przesady, ale tym razem jest inaczej. Idzie do wypożyczalni strojów i znajduje dla Caro staromodną sukienkę, fartuszek i buciki na guziczki. W dzień castingu Caro nie idzie do szkoły, tylko do salonu piękności Elizabeth Arden w Beverly Hills. Zoe pokazuje fryzjerowi Roberto zdjęcie w książce o imigrantach.

Ma tak wyglądać.

Producent i reżyser serialu piją kawę, gdy Caro przychodzi na casting. Na jej widok, w sukience i fryzurze z epoki, odstawiają filiżanki. Caro dyga grzecznie.

Dostała tę rolę, zanim otworzyła usta.

- Musimy zadzwonić do twojego ojca - oznajmia Zoe na tydzień przed początkiem zdjęć.

Wymieniają z Caro znaczące spojrzenia.

- Ty zadzwoń - prosi Zoe.

- Nie - mówi Caro. - Ty.

Dzwonią obie. Barton nie jest zachwycony wiadomościami.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? - denerwuje się. - Szczerze mówiąc, ani przez chwilę nie wierzyłam, że dostanie tę rolę - tłumaczy się Zoe i puszcza oko do córki. - Uznałam, że nie warto zawracać ci głowy. A później, no cóż, miałyśmy tu takie urwanie głowy...

- I zawiadamiasz mnie w ostatniej chwili, kiedy jest już za późno, żeby coś zmienić.

Barton zadaje mnóstwo pytań: Gdzie Caro będzie się uczyć? Kto się nią zaopiekuje na planie? Czy jej wynagrodzenie będzie odpowiednio zainwestowane?

Zoe odpowiada na wszystkie pytania i w końcu podaje słuchawkę córce.

- Naprawdę chcesz wystąpić w tym serialu? - pyta Barton.

- O, tak, tatusiu.

- Nie martwisz się, że nie będziesz chodziła do szkoły z innymi dziećmi?

- Nie.

- Nauka roli to ciężka praca.

- Wiem.

- No cóż. Chyba i ty, i matka wiecie, co robicie - stwierdza w końcu, wcale nieprzekonany. Wzdycha. - Właściwie powinienem być dumny, że moja córka będzie w telewizji.

Caro się uśmiecha.

- Dzięki, tatusiu. Kocham cię.

Odkłada słuchawkę i patrzy na matkę.

- Jest takie stare przysłowie - komentuje Zoe. - Lepiej później przeproszać, niż najpierw prosić o pozwolenie. Zapamiętaj to sobie.

Uśmiecha się łobuzersko do Caro.

Drzewo na Brooklynie pojawi się w telewizji na początku września.

- Trudny sezon - mruczy Zoe, studiując, program telewizyjny znad okularów do czytania. - Flipper, Pistolet i krynolina, Zabijaka z Beverly... Liczymy na kobiety. Chyba mają już tego wszystkiego po dziurki w nosie i czekają niecierpliwie na przyzwoity ckliwy serial rodzinny.

Mają i czekają. Nie tylko kobiety.

Serial początkowo przechodzi niezauważony, ale powoli robi się o nim głośno. W trzecim tygodniu emisji zaczyna gromadzić stałą widownię, w szóstym wysuwa się na prowadzenie w rankingach. Jego popularność powoli rośnie. Ludziom się podoba. Śmieją się, ale oglądają. Według „TV Guide” Drzewo na Brooklynie otwiera nową erę w historii telewizji.

Flossie Gaddis jest jedną z najpopularniejszych postaci serialu. Zdjęcie Caro ukazuje się na okładkach tygodników i poradników. Co rano i co wieczór przed bramą do studia czekają fani i łowcy autografów. Na pływają do niej listy od dziewczynek z całego kraju.

- Posłuchaj tego - Zoe czyta na głos. - „Kochana Flossie, chciała bym mieszkać tam gdzie ty. Chciałabym, żeby moja mama była taka jak twoja. Właśnie się dowiedzieliśmy, że mój brat, który jest w Wietnamie, zaginął w akcji, i nie wiem, co robić”. Cóż, ja też nie - mruczy Zoe, odrzuca list i dodaje: - Biedactwo.

Sięga po następny.

- „Kochana Flossie, uwielbiam twój serial i w ogóle wszystko, co ma związek z tobą. Mam na imię Ellen. Mam dziesięć lat i choruję na białaczkę...” O Boże. - Zoe odrzuca także ten list i patrzy na stertę na biurku. - Koniec z korespondencją od fanów - oznajmia. - Niech studio się tym zajmie.

Caro oddycha z ulgą, choć jednocześnie ma wrażenie, że zawiodła te wszystkie dziewczynki.

Chciałaby do nich napisać: „Nie rozumiecie, to wszystko na niby. Moja mama wcale nie przypomina mamy Flossie i uwierzcie, wcale nie chciałybyście z nią mieszkać. Tak naprawdę nie noszę takich sukienek, tylko dzinsy, jak wy. Lubię filmy z Jamesem Bondem i pizzę pepperoni.

I nic na to nie poradzę, że twój brat zaginął w akcji, a ty masz białaczkę. Jestem tylko małą dziewczynką, jak wy".

Ale czasami wcale tak nie myśli. Czasami leży w łóżku i powtarza sobie:

- Jestem gwiazdą.

Jest gwiazdą, jak Shirley Temple czy Margaret O'Brien z Tajemniczego ogrodu. Jest wyjątkowa, sławna na cały kraj.

Fajnie jest być gwiazdą. Fajnie jest kręcić serial. Wszyscy są dla niej mili, wszyscy robią, o co poprosi. Nawet szkoła jest tu fajna, bo inna niż zwykła. Ma prywatnego nauczyciela, który uczy ją w przerwach między ujęciami. Niestety, najczęściej ledwie zabiorą się do pracy, ktoś puka do drzwi jej garderoby i mówi:

- Przykro mi, ale panna Andrews jest proszona na plan.

Caro świetnie się rozumie z innymi dziećmi z serialu. Co prawda dostają mniej listów od fanów niż ona, ale i tak ją lubią. Diana, która gra Francie, pokazuje jej, jak się szyje ubranka dla lalek. Robert, czyli serialowy Neely, zna magiczne sztuczki. Tylko Pam, córka filmowej ciotki Sissy, jest nieznośna. W scenach z Caro wiecznie zapomina tekstu, chociaż w swoich recytuje wszystko bezbłędnie, i w kółko domaga się więcej zbliżeń. Caro, Robert i Diana jej nie znoszą. Założyli nawet klub antyfanów Pam i robią jej różne kawały: sypią pieprz do jedzenia, podkładają pająki w garderobie, chowają kostiumy i wycinają kartki ze scenariusza.

Bawią się świetnie, aż reżyser o wszystkim się dowiaduje i grozi, że zawiadomi ich fankluby.

Caro lubi też siedzieć na planie w przerwie między zdjęciami. Inne dzieciaki w tym czasie oglądają telewizję albo czytają komiksy, a ona zostaje. Słucha dźwiękowców i kamerzystów. Obserwuje, jak techniczni przygotowują scenografię. W przyszłości chciałaby zostać reżyserem. Wspaniale byłoby na stałe zamieszkać w studio, nigdy nie wracać do rzeczywistości.

Jedyne chwile na planie, za którymi Caro nie przepada, to sceny, w których gra. Kiedy wkłada kostium, kiedy ją czeszą i malują, nadal jest Caro. Kiedy kręci, staje się Flossie. Przerażające jest stać się nagle kimś innym, nawet na kilka minut. Nie lubi tego, nie znosi uczucia, że staje się kimś innym. Ma wrażenie, że wtedy umiera.

Zresztą wcale nie jest pewna, czy lubi Flossie Gaddis. Pod wieloma względami Flossie jest lepsza niż Caro Andrews. Flossie zawsze broni słabszych, zawsze mówi prawdę, nigdy nie jest zazdrosna czy

podstępna. Caro czuje się jak oszustka, uśmiechając się uśmiechem Flossie, wypowiadając jej słowa. To jakby spojrzeć w lustro i zobaczyć odbicie o wiele ładniejsze od swojego.

W pewien grudniowy poranek Zoe jest wyjątkowo radosna.

- Odwiedzę cię dzisiaj na planie - rzuca, wioząc córkę do studia.

- Tak? - Caro nie ukrywa zdziwienia. Matka towarzyszyła jej na planie tylko podczas pierwszych kilku tygodni. - Dlaczego?

Zoe uśmiecha się lekko.

- Czy mówi ci coś nazwisko Hans Lasky? - pyta spokojnie.

Caro wstrzymuje oddech.

Słyszała o Hansie Laskym, odkąd pamięta. W jej wyobraźni to księżę z bajki, tyle że, powtarzała sobie, już stary, a nie młody i przystojny.

Hans Lasky to fotograf; jego dzieła wiszą w muzeach, fotografował wielkie gwiazdy kina w okresie największej świetności Hollywood. Zoe poznała go przed laty, tuż po tym, jak przyjechała do Kalifornii. Zachwyciła go jej odwaga i determinacja i później, gdy zakładała własną agencję, zrobił dla niej coś wspaniałego - sfotografował jej małych klientów, jakby byli dorosłymi aktorami. A ile sobie za to policzył? „Ani centa!” - krzyczy Zoe tryumfalnie, ilekroć o tym opowiada. - „Hans Lasky pomógł mi wystartować. Gdyby nie on...” - urywa i kręci głową.

- Więc wczoraj zadzwonił - mówi do Caro. - Będzie tu dzień czy dwa. Zabieram go na plan.

Tego ranka Caro ciężko jest grać Flossie; myśli tylko o jednym: wkrótce pozna Hansa Lasky'ego. W południe jest przerwa na lunch. Caro idzie do garderoby, kiedy ktoś ją woła. Mama, ale głosem bardzo młodym, radosnym i podnieconym.

Jest z nią Hans Lasky Caro podaje mu rękę.

- Zawsze chciałam pana poznać - mówi. Lecz tak naprawdę teraz Hans Lasky w ogóle się nie liczy. Najważniejszy jest chłopiec koło niego.

- To mój wnuk, Steven - przedstawia go Hans Lasky.

Steven ma ze dwanaście lat. I najpiękniejsze włosy na świecie, kręcone i miękkie, jak lalka. Ma też jasną karnację, rumiane policzki, lekko skośne, zamysłone oczy i długie rzęsy. Oto bez wątpienia księżę z bajki.

Caro gapi się na niego. Wobec reżyserów i producentów jest zawsze dowcipna i wygadana, ale przy Stevenie Laskym ma pustkę w głowie.

Idą we czwórkę na lunch. Caro siada koło Stevena.

- Mieszkasz w Los Angeles? - pyta w końcu.

- Nie - odpowiada. - W Bostonie. Przyjechałem tu z wizytą.

- Aha. - Nie umie wymyślić nic lepszego.

Dołączają do nich inni: okropna Pam i Jack, jej czteroletni braciszek, który często kręci się na planie. Caro widzi, że Steven podoba się Pam. Siada koło niego i zadaje mu mnóstwo pytań. Caro się obawia, że Steven też ją polubi, ale chyba nie. Woli rozmawiać z jej małym braciszkiem.

- Kto jest na twojej koszulce? - pyta Jack.

- Frankenstein. Niedawno o nim czytałem - mówi poważnie. -
Opowiedzieć ci?

- Pewnie!

Caro słucha z przyjemnością. Steve opowiada bardzo ładnie, żywo przy tym gestykuluje.

Jackie też jest zachwycony. Ale kiedy opowieść staje się straszna i Steve opisuje, jak wieśniacy z pochodniami szukają potwora, malec zaczyna płakać.

Steve przerywa. Przez moment nie wie, co robić. Podnosi rękę.

- Ale właśnie w tym momencie - podejmuje rozpromieniony - akurat kiedy mieli go zabić, inny potwór, piękna kobieta ze złotymi włosami, przybywa nad rzekę i go ratuje.

Opowiada, jak to ocalony potwór dostał ciasto czekoladowe. Jak szybko zdobył grono przyjaciół, a na koniec został królem całej krainy.

Jackie jest szczęśliwy. Caro - pod wrażeniem. Steven Lasky to najmiłszy, najbardziej dojrzały chłopiec, jakiego zna.

Steven puszcza do niej oko. Żołądek Caro fika koziółka.

Po lunchu wszyscy wracają na plan. Caro idzie obok Stevena. Czuje się pewniej.

- Podoba ci się w Los Angeles? - pyta.

- Pewnie. Może któregoś dnia tu zamieszkam. Chciałbym zostać fotografem, jak dziadek. Bardzo lubię robić zdjęcia. - Chrząka, nagle nieswój. - Mam tu nawet dzisiaj mój aparat. - Nie patrzy na Caro. - Mógłbym zrobić ci zdjęcie?

- Jasne - Caro odpowiada nienaturalnie wysokim głosem!

Pozuje przy doniczce ze sztucznymi kwiatami. Ma nadzieję, że on nie chce, żeby wyglądała trzpiotowato jak Flossie, bo jest bardzo poważna.

Steve robi zdjęcie. Nie wiadomo skąd zjawiają się jego dziadek i Zoe.

- Zrobiłeś? - pyta Hans Lasky. I zwraca się do Caro: - Chyba dlatego chciał przyjechać do Kalifornii.

Steve jest czerwony jak burak.

- Jeśli chcesz, wyślę ci odbitkę - mówi do Caro.

- A podpiszesz ją? - pyta.

Dorośli się śmieją.

- Wszystko ci się poplątało, skarbie - żartuje Zoe. - To aktorka podpisuje zdjęcie!

- Ale on je zrobił, więc może podpisać - upiera się Caro.

- Podpiszę - obiecuje Steven.

Czas wracać na plan. Caro gra ze świadomością, że Steven ją obserwuje. Ciekawe, czy ktoś zauważył, że dzisiaj Rossie nie jest sobą. Dzisiaj to dorosła kobieta, która tylko gra małą dziewczynkę. Książę z bajki śledzi każdy jej ruch.

Kilka tygodni później dostaje sztywną kopertę z Bostonu. W środku jest zdjęcie poważnej Caro przy doniczce ze sztucznymi kwiatami - i podpis czarnym atramentem: Dla Caro, z wyrazami miłości, Steven Lasky.

Caroline

Kiedy Caroline budzi się, od razu myśli o szkole. I zaraz się odpręża. Jest sobota.

Siada w łóżku i uśmiecha się radośnie. Z okna widzi bezchmurne wiosenne niebo. W pokoju obok śpi Adam. A do szkoły nie musi iść przez najbliższe czterdzieści osiem godzin.

Drzwi się otwierają. Meg, rozczochrana, wbiega szybko i siada na jej łóżku.

- Wiesz co? - zaczyna. - Dziś wyruszamy na poszukiwanie przygody.

- Tatuś też?

- Pewnie. Powiedziałam mu, że nie zajmował się nami od kilku tygodni, więc dzisiaj z nami pojedzie, czy mu się to podoba, czy nie.

- A dokąd?

- Powiem ci przy śniadaniu.

Całuje Caroline i idzie obudzić Adama.

Caroline jeszcze chwilę zostaje w łóżku. Przeciąga się zadowolona i biegnie się ubrać.

Przez ścianę słyszy zaspany głosik Adama i Meg, jak mówi coś o „przygodzie”.

- Więc dokąd jedziemy? - dopytuje się Caroline przy śniadaniu.

Meg się uśmiecha.

- Do parku rozrywki Playland.

W pierwszej chwili Caroline jest rozczarowana. Playland brzmi jak coś dla Adama, nie dla niej.

Zaraz jednak sobie przypomina. Playland. Playland! No pewnie! Playland. Nagle znowu ma cztery lata i jest razem z Laurą w małym niebieskim domku, u jej wnuczki Yvette. Rzucają obręczami z kartonu na butelki po mleku, trenują, żeby wygrać wielkiego różowego misia, takiego jak ten, którego Yvette wygrała w Playlandzie.

Caroline czuje wyrzuty sumienia. Nie była u Yvette, odkąd ukradła telewizor z jej domku dla lalek. Laura nie rozumiała, czemu nigdy więcej nie chciała tam z nią pojechać, a Caroline nie umiała tego wytłumaczyć. Ale to było tak dawno... teraz mogłaby zapytać Laurę, co tam słysząc u Yvette, mogłaby nawet wybrać się z wizytą.

- Playland jest super - opowiada Adamowi. - Nie byłam tam, ale znałam dziewczynkę, która go uwielbiała. Grałyśmy w taką grę: rzucasz obręczami na butelki po mleku i jeśli trafisz trzy razy pod rząd, wygrywasz wielkiego pluszowego misia.

Adam cieszy się głośno i Caroline się uśmiecha. Po tylu latach w końcu i ona jedzie do Playlandu.

To kawał drogi. Barton nie jest w najlepszym humorze. Kiedy w końcu wjeżdżają na parking, patrzy pogardliwie na głośny, zatłoczony lunapark, a potem ironicznie na Meg:

- I po to tyle jechaliśmy?

Meg się czerwieni.

- Będzie fajnie.

Caroline natychmiast spieszy jej z pomocą.

- Mnie się podoba. O, Adam, popatrz, diabelski młyn i kolejka górską.

- Rany! - krzyczy Adam.

Barton parska śmiechem.

- Zostałem przegłosowany.

Kupuje bilety i wchodzi do Playlandu. Jadą Tunelem Miłości, wchodzi do Domu, w Którym Straszy, strzelają na strzelnicy.

Caroline śmieje się głośno i co chwila zapewnia, że świetnie się bawi.

Zerka ukradkiem na Meg, zarumienioną i szczęśliwą. Odnaleźli przygodę.

- Jestem głodny - oznajmia Adam pół godziny później.

On, Caroline i Meg kupują frytki i hot dogi. Barton dziękuje.

Siadają przy brudnym stoliku. Jest gorąco i Caroline zauważa, że Meg pobladła.

- Dobrze się czujesz? - pyta.

- Tak, tak - zapewnia Meg. - To przez ten upał. Kręci mi się w głowie.

Adam zjadł już wszystko.

- Karuzela - domaga się.

Meg wzdycha.

- Nie przejmuj się. Poczekajcie tu z tatą, a ja pójdę z Adamem na karuzelę - proponuje wspaniałomyślnie Caroline.

- Naprawdę? - pyta Meg z wdzięcznością.

- Tak, tak! - Adam ciągnie Caroline za rękę.

- Ale wróćcie za pół godziny - prosi ojciec. - Nie chcę spędzić w Playlandzie reszty życia.

Caroline i Adam odchodzą.

- Gdzie najpierw? - pyta go.

Adam nie odpowiada. Podskakuje nerwowo i wskazuje sprzedawcę balonów.

- Proszę, proszę, chciałbym balonik!

Długo wybiera, aż w końcu decyduje się na wielki czerwony balon.

Caroline wyjmuje dolara z torebki. Cieszy ją, że kupuje Adamowi balonik za własne pieniądze. Tak postępują starsze siostry, a ona jest dobrą starszą siostrą.

Idą w stronę diabelskiego młyna. Po drodze mijają budki z różnymi grami, rozświetlone i kolorowe. Caroline nagle się zatrzymuje.

- O, zobacz, Adam, to tu. Ta gra, o której ci mówiłam.

Zupełnie jak w opowieściach Yvette. No pewnie, a pod sufitem wiszą ogromne pluszowe misie.

- Spróbujemy wygrać misia?

Adam kręci głową.

- Nie. Diabelski młyn.

Caroline nie rusza się z miejsca. Misie nie są takie piękne jak dawniej, szczerze mówiąc, są okropne, ale i tak nie wierzy własnym oczom - wreszcie widzi tę grę. Nie odejdzie, jeśli nie zagra chociaż raz.

Ściska Adama za rękę.

- Chciałabym spróbować - mówi. - Tylko raz.

Wręcza mężczyźnie w budce dolara, a on podaje jej trzy obręcze.

I wtedy Caroline Wpada na doskonały pomysł - jeśli wygra, da misia Yvette. W ten sposób wynagrodzi jej kradzież telewizora przed laty.

Adam marudzi.

- Poczekaj tu i patrz - przykazuje mu. - Nie ruszaj się ani o krok, jasne?

- Jasne - mówi Adam.

To znajome uczucie mieć obręcze w dłoni. Caroline celuje starannie, ale pudłuje za każdym razem. Są cięższe niż kartonowe, którymi grały z Yvette, poza tym butelki stoją o wiele dalej.

Spróbuje jeszcze raz. Wyjmuje kolejnego dolara, dostaje następne obręcze. Pierwszy rzut niecelny, drugi dotyka butelki, a trzeci.. tak, trafiła!

Jeszcze raz i się uda. Caroline sięga do torebki.

Pierwsza obręcz trafia na butelkę. Caroline starannie celuje i ciska drugą. Trafiony. Otacza ją grupka gapiów. Pochyla się do ostatniego rzutu. Chyba o milimetry.

Gapie mruczą ze współczuciem.

- Jeszcze raz? - kusi właściciel budki.

Caroline próbuje jeszcze dwukrotnie i daje spokój. Wzrusza ramionami - Yvette i tak pewnie już nie bawi się misiami. Dostaje nagrodę pocieszenia - plastikowe jo - jo.

Caroline się cieszy: Adamowi się spodoba.

Nagle słyszy krzyk. Krzyk kobiety, nie małego chłopca, ale i tak patrzy w dół. Adama nie ma koło niej. Caroline wciąż patrzy w dół: przecież musi tu być. Ale go nie ma. Biega wzdłuż budek. Nigdzie go nie widzi.

- Adam! - woła.

Chłopiec nie odpowiada.

Caroline przepycha się przez tłum. Na pewno nie odszedł daleko. Pewnie wrócił do Meg. No jasne, na pewno wrócił do Meg. Znudziło mu się czekanie na nią i pobiegł do mamy.

Caroline przepycha się w stronę Meg. Znowu słyszy krzyk. Niech ta kobieta przestanie wrzeszczeć. Denerwuje ją ten głośny, przenikliwy krzyk.

Dochodzi spod diabelskiego młyna.

Ludzie biegną w tamtą stronę. Caroline odprowadza ich wzrokiem, i widzi, w połowie rusztowania, czerwony balonik.

Wszystko dzieje się bardzo powoli. Caroline nie widzi, jak Adam leci. Widzi tylko twarze ludzi. Nie słyszy uderzenia, tylko głosy.

- Balonik mu uciekł...

- Próbował go złapać....

Chce wyjaśnić, że to prezent od dobrej starszej siostry, że nie chciała zrobić mu krzywdy.

Przepycha się coraz szybciej. Adam leży na brzuchu, powykręcany. Bardzo malutki. Nikt do niego nie podchodzi. Ktoś każe Caroline się cofnąć.

- Jestem jego siostrą - mówi.

Milczenie. Cisza. Klęka obok Adama. Tak robi siostra.

Koło niej staje jakiś mężczyzna. Bezradnie podaje jej czerwony balonik.

Po powrocie do domu Caroline biegnie do pokoju Adama. Nie ma go tam, choć liczyła, że może będzie. W pokoju jest ciemno. Zapala światło. Na podłodze poniewiera się jego piżama, rzucona niedbale, kiedy w pośpiechu szykował się do wyjazdu do Playlandu. W kącie - jego kolekcja dinozaurów, pterodaktyl leży na boku, jakby zastygł w locie.

Otwiera szuflady. Patrzy na uprasowane koszulki, poskładane szorty. Znajduje lalkę, którą zniknęła z jej pokoju. Zawsze podobała się Adamowi, pewnie ją zabrał.

- Weź ją sobie - szepcze. - Nic nie szkodzi. Nie gniewam się.

Pod łóżkiem znajduje zakurzoną małą skarpetkę. Jest dziwnie wykręcona. Caroline usiłuje sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziała coś takiego. No tak: Adam.

Caroline zaciska dłoń na skarpetce. Ma wrażenie, że trzyma malutką rączkę. Siada na łóżku. Głaszcze skarpetkę.

Sobotni ranek pod koniec lipca.

- No - zaczyna Barton. - Dziesiąta. Czas na nas.

Jadą windą w milczeniu. Schodzą do garażu.

- Rodzinna wycieczka? - pyta strażnik.

- Coś w tym stylu. - Barton uśmiecha się smutno.

Jadą do Meg, do specjalnego szpitala. Tylko tak go nazywają.

- Jesteś pewien, że mogę pojechać? - pyta Caroline, kiedy ojciec wyjeżdża na ulicę.

- Tak, kochanie. To ważne, żeby cię zobaczyła.

Kiedy ostatnio ją odwiedzili, Meg siedziała wpatrzona w okno. W pierwszej chwili uśmiechnęła się na widok Caroline, ale potem spoważniała, wycelowała palec w Caroline i zaczęła wrzeszczeć. Przybiegły pielęgniarki. Zabrały Meg do innego pokoju, ale Caroline wciąż słyszała jej krzyki.

Ojciec ją objął.

- Przykro mi - powiedział. - To dla niej wciąż bardzo trudne. Ale robi postępy, duże postępy - zapewnił. - Wie, że to nie była twoja wina, kochanie. Wszyscy o tym wiemy. To był wypadek, tragiczny wypadek.

Lecz Caroline pamięta twarz Meg, zanim zabrały ją pielęgniarki. Przerażoną twarz, jakby Caroline miała zamordować wszystkich dokoła. Patrzy na swoje dłonie. Dłonie morderczyni.

- Dzisiaj wszystko będzie dobrze - zapewnia ojciec. - Doktor Reynolds mówi, że jej stan jest coraz lepszy. Za kilka miesięcy wróci do domu.

Droga do Westchester to same zakręty. Caroline dobija targu z losem: jeśli nie zwymiotuje podczas jazdy, wizyta się uda. Mdłości ją dławią, ale dzielnie się trzyma.

Dojeżdżają do szpitala, zostawiają samochód na parkingu, wchodzą do holu.

- My do pani Andrews - mówi ojciec do recepcjonistki.

- Akurat u niej sprzątają. Proszę chwilę poczekać. - Recepcjonistka uśmiecha się ciepło do Caroline, jakby Caroline nie była morderczynią.

- Może pójdziesz do ogrodu? - proponuje ojciec. - Zawołam cię, kiedy będzie już posprzątane.

Caroline posłusznie idzie na dwór. Przy rabacie siedzi stary człowiek na wózku. Caroline powtarza sobie, że jeśli będzie dla niego miła, jeśli sprawi mu przyjemność, wizyta u Meg pójdzie dobrze.

- Zerwać panu kwiatek? - pyta głośno.

Mężczyzna przygląda się jej i mruczy coś pod nosem. Caroline ucieka.

- Oto oni! - zapowiada wesoło pielęgniarka.

Wchodzą do pokoju Meg. Jest nieduży i jasny, z narzutą w słoneczniki i reprodukcjami impresjonistów na ścianach. Caroline wyobraża sobie, że tak wyglądał pokój Meg, gdy była mała, zanim wyjechała na studia, zanim urodził się Adam.

Meg wygląda dobrze. Ma świeżo umyte włosy, trochę przytyła. Ma na sobie różową sukienkę, w uszach kolczyki.

- Barton! - woła.

On obejmuje ją i przytula.

- Jak się masz?

Odsuwa się i uśmiecha do niego.

- Dobrze - mówi pogodnie. - Naprawdę dobrze.

Patrzy gdzieś nad jego ramieniem.

- Caroline! - woła. Uśmiecha się. I powoli, spokojnie wyciąga ręce do uścisku.

Caroline biegnie do niej. Już prawie jest w ramionach Meg, gdy nagle twarz Meg się zmienia. Zakrywa oczy dłońmi. Zaciska pięści. Pochyla się, szarpana mdłościami.

- Zabierzcie ją - jęczy. - Zabierzcie ją.

W drodze do domu Barton zatrzymuje się na poboczu, a Caroline wymiotuje.

- Wiesz przecież, że nie mówi tego poważnie - tłumaczy, gdy Caroline wraca do samochodu. - Po prostu na twój widok... - Nie kończy zdania. - Ale wcale cię nie obwinia - dodaje pośpiesznie. - Wie, że to był wypadek.

Caroline znowu jest niedobrze.

- Chyba powinniśmy dać jej trochę więcej czasu - ciągnie ojciec. - Lekarz powiedział, że za miesiąc może przyjechać na dłużej do domu. Pomyślałem sobie, że może wtedy pojechałabyś do Zoe? Co ty na to? Przecież podoba ci się w Kalifornii.

Caroline otwiera okno i wystawia głowę. Powietrze jest ciepłe i wilgotne, jak oddech. Widzi swoje odbicie w bocznym lusterku. Jest blada, słaba, oszołomiona.

„Zabierzcie ją. Zabierzcie ją.”

Caro

W pewien wtorkowy wieczór w listopadzie Caro siedzi w saloniku i uczy się tekstu na następny dzień. Zoe wpada do pokoju.

- O co chodzi? - pyta Caro, widząc jej minę.

- Twój ojciec się żeni - mówi Zoe. Przygląda się córce z ukosa. - Wiesz coś na ten temat?

- Nic. Kiedy ostatnio się z nim widziałam, nie miał nawet dziewczyny. Z kim się żeni?

Zoe prychnęła.

- Z taką, co najwyraźniej nie zasypia gruszek w popiele. Ma na imię Meg. I chce - dodaje zirytowana - żebyś była druzną.

- Och. - Caro jest zachwycona. - Kiedy ślub?

- W marcu. To bez sensu zapraszać cię w tym czasie - syczy Zoe. - W trakcie zdjęć. Zaraz zadzwonię i powiem, że to wykluczone.

- Zostaw to mnie - prosi Caro.

Następnego dnia idzie do producenta. Ze łzami w oczach zwraca się do niego z prośbą: może pracować po godzinach, kręcić więcej scen dziennie, zrobi wszystko, tylko czy mogłaby polecieć na ślub ojca?

Producent naradza się ze scenarzystami i zmieniają dwa odcinki. Flossie Gaddis jedzie do babci w Filadelfii, a Caro ma dwa tygodnie wolnego.

Zoe udaje, że nie obchodzi jej przyszła żona Bartona, ale Caro za dobrze ją zna. Przypuszcza, że matka potajemnie wydzwania do starych znajomych w Nowym Jorku, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o Meg.

- Podobno twoja przyszła macocha jest bardzo młoda - mówi i dodaje z uśmiechem: - Barton pewnie jest zachwycony, że może ją sobie wychować.

Młoda macocha. Caro wyobraża sobie, jak razem biegną Piątą Aleją i wygłupiają się, na przykład wskakują do fontanny.

- I ma małego synka. Cóż za szok dla Bartona, zamieszkać z dzieckiem.

To już gorzej. Pewnie ten chłopiec będzie ulubieńcem wszystkich. Mimo to Caro podoba się myśl, że będzie starszą siostrą. Będzie zabierała go na spacer i kupowała zabawki. Wszystko się ułoży.

Zoe idzie do Tiffany'ego i posyła w prezencie ślubnym piękny, drogi, kryształowy wazon.

- Niczego nie rób byle jak - poucza córkę, zachwycona własną szczodrością.

Jeszcze bardziej cieszy ją liścik z podziękowaniem, który przysłała przyszła żona Bartona. Dzwoni do przyjaciół i opowiada:

- Napisała go na papeterii chyba z supermarketu - chichocze - zresztą pisze jak dziewczynka z podstawówki. Posłuchaj tylko: „Kochana Zoe, dziękuję za wspaniały prezent. Wazon jest śliczny...”, ple, ple, ple. O, jeszcze ten kawałek! Wiesz, jak kończy? „Mam nadzieję, że jesteś tak szczęśliwa jak ja”. Wyobrażasz to sobie? Miałam dziką ochotę odpisać: „Kochana Meg, czy jak ci tam na imię, wiem, co to znaczy być żoną Bartona Andrewsa i co to znaczy jego żoną nie być, i zapewniam cię, kochana, że jestem od ciebie o wiele szczęśliwsza”.

Caro dalej nie słucha. Bardzo się cieszy na spotkanie z Meg, czy jak jej tam na imię, i uważa, że to miło, że napisała do Zoe.

Tydzień przed ślubem Zoe odprowadza ją na lotnisko.

- Baw się dobrze - mruczy.

Caro robi się jej żal.

- Na pewno nie chcesz ze mną polecieć? Przecież wiesz, że się ucieszają.

- Nie, dziękuję - obrusza się Zoe. - Nie interesuje mnie to.

Caro spogląda na nią z ukosa i Zoe się śmieje.

- Ale koniecznie zadzwoń i o wszystkim mi opowiedz.

Caro jest na lotnisku w Nowym Jorku. Przy bramce czeka tłum nieznanym. Na jej widok ruszają biegiem.

- Jest!

- Flossie, uwielbiam cię...

- Jesteś ładniejsza niż w telewizji...

Wciskają jej w ręce zdjęcia, notesy, plakaty.

Caro uśmiecha się grzecznie i rozdaje autografy. Tłum rośnie. Rozgląda się co chwila. Gdzie ojciec? Czy nikt po nią nie wyszedł? Co teraz?

Uśmiecha się, podpisuje, podpisuje i uśmiecha.

Nagle widzi drobną blondynkę i małego chłopczyka. Podbiegają do niej.

- Caro, Caro! - Kobieta obejmuje ją mocno. - Korki... nie masz pojęcia... a parking... myślałam, że zwariuję... twój ojciec mnie zabije, jak się dowie, że się spóźniliśmy. Jestem Meg, a to Adam.

Przebijają się przez tłum fanów.

Adam z dumą trzyma Caro za rękę.

- Powiedzieli, że jak przyjedziesz, pójdziemy do zoo w Central Parku - mówi. - Ale tylko jeśli będziesz chciała. Chcesz?

Caro się uśmiecha.

- I to bardzo.

Przygotowania do ślubu są w proszku. Meg nie bardzo sobie z tym radzi, zostawia zbyt wiele rzeczy na ostatnią chwilę. Caro obawia się, że Barton, zawsze taki zorganizowany, będzie zły, ale o dziwo nie jest. Nie złości się, tylko uśmiecha, pobłażliwie słuchając o poplątanych spotkaniach. Chyba jest bardzo zakochany.

Caro pomaga, jak może. Razem z Meg wybiera muzykę, kwiaty.

Na trzy dni przed uroczystością Meg nadal nie ma sukni ślubnej.

- Chodźmy do Saksa - proponuje Caro.

- O nie, nienawidzę domów towarowych - wykręca się Meg.

Zaglądają do sklepu przy Lexington Avenue i tam Meg widzi edwardiańską suknię z koronki.

- Piękna - zachwyca się. - Ale nie wiem, czy twojemu ojcu się spodoba.

- Też mi zmartwienie - Caro wzrusza ramionami. - Jak ci się podoba, to kupuj. Powiesz mu najwyżej, że ja cię namówiłam.

Meg kupuje suknię.

- A co ze mną? - dopytuje się Caro. - Przecież jako druhna nie wystąpię w dzinsach.

Na szczęście Caro lubi zakupy w domach towarowych. Idzie do Saksa i wybiera różową kreację, trzy razy droższą niż suknia Meg. Jest zachwycona.

Kiedy nie pomaga Meg, bawi się z Adamem. Uczy go krzyczeć jak Tarzan, opowiada mu bajki, zabiera do parku. Sądzi, że szybko się tym znudzi, ale nie. Kiedy na dwie godziny poszedł do kolegi, niecierpliwie wyglądała jego powrotu.

- Tak się cieszę, że tu jesteś - mówi Barton na dzień przed ślubem. - Wreszcie jesteśmy rodziną. Meg cię kocha, a Adam szaleje za tobą. Chciałbym, żebyś się nad czymś zastanowiła... mogłabyś, kiedyś, jak skończy się serial... zamieszkać z nami na stałe.

Caro jest wzruszona. Może nawet skorzysta z tej propozycji. Kiedyś.

Dzień ślubu. Meg panikuje.

- Nic się nie martw - uspokaja ją Caro. - Połóż się jeszcze na chwilę. Ubiorę Adama.

Kapie go, zaczesuje jasne włoski do tyłu i ubiera w niebieski garnitur.

- Wyglądasz jak gwiazdor filmowy - mówi.

Ściska jej dłoń.

- Czemu my nie możemy się pobrać?

Caro się uśmiecha.

- Bo tak jest lepiej - odpowiada.

Barton już pojechał do kościoła świętego Bartłomieja. Caro się ubiera i pomaga Meg włożyć suknię. W końcu Meg, Adam i Caro wsiadają do limuzyny.

- I pomyśleć, że chciałam tylko skromnej uroczystości w Central Parku - szepcze Meg. - A potem byłby piknik.

- A zamiast tego... - mruczy Caro i obie się śmieją.

Ma nadzieję, że Meg będzie szczęśliwa z ojcem.

Limuzyna podjeżdża pod kościół.

- O nie - jęczy Meg.

Na chodniku tłoczą się fotoreporterzy.

- Nie przejmuj się - wzdycha Caro. - Chodzi o mnie, nie o ciebie.

Wysiada. Flesze oślepiają. Caro wie, że wygląda uroczo. Wybrała suknię z myślą o tej chwili.

Szkoda jej Meg; to jej ślub, a nikt nie zwraca na nią uwagi. Wie jednak, że Meg to odpowiada. Wszystko jest tak, jak być powinno.

Sobotni rano, ostatni dzień przed powrotem Caro do Los Angeles.

Meg wchodzi do jej pokoju i siada na łóżku.

- Pobudka, kochanie. Dziś wyruszamy na poszukiwanie przygody.

Caro się przeciąga.

- Czyli dokąd jedziemy?

- Do parku rozrywki Playland.

Caro milczy.

Meg dodaje szybko:

- Wiesz, to głównie ze względu na Adama. Tak się martwi, że wyjeżdżasz, że pomyśleliśmy, że może to mu poprawi humor. Ale liczę, że i tobie się spodoba.

- Na pewno będzie super - mówi Caro pośpiesznie.

Meg wychodzi. Caro jeszcze chwilę zostaje w łóżku. Playland. Już kiedyś słyszała tę nazwę...

I nagle sobie przypomina: ciemnoskóra dziewczynka. I zabawa - rzucanie obręczami na butelki. Można wygrać wielkiego misia. Wnuczka służącej, tej, która odeszła przez zniszczoną makietę.

Caro marszczy brwi. Nie myślała o tym od lat.

Do Playlandu jest kawał drogi. Barton, kiepski kierowca, co chwila zmienia pas. Caro jest niedobrze.

Adam szaleje. Odpina pas, wystawia głowę za okno, śpiewa i pokazuje czerwone samochody.

W końcu są na miejscu. Adam jest zachwycony Playlandem, ale Caro dorastała niedaleko Disneylandu. Oczywiście udaje, że Playland jej się podoba. Wchodzi do Tunelu Miłości, krzyczy w Domu, w Którym Straszy, zajada watę cukrową, zbyt słodką i różową.

- Proszę, chodźmy na diabelski młyn! - domaga się Adam.

- Za chwilę, skarbie. Najpierw coś zjemy - perswaduje Meg.

Siadają przy brudnym stoliku. Caro zauważa, że Meg pobladła.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, tak - zapewnia. - To przez ten upał. Kręci mi się w głowie.

Adam zjadł już wszystko.

- Karuzela! Karuzela!

Meg wzdycha.

- Nie przejmuj się. Poczekajcie tu z tatą, a ja pójdę z Adamem na karuzelę - proponuje wspaniałomyślnie Caro.

- Naprawdę? - pyta Meg z wdzięcznością.

- Tak, tak! - Adam ciągnie Caro za rękę.

- Ale wróćcie za pół godziny - prosi ojciec. - Nie chcę spędzić w Playlandzie reszty życia.

- Gdzie najpierw? - pyta Adama Caro.

- Diabelski młyn.

Idą w tamtą stronę, Adam nagle przystaje i ciągnie Caro za rękę.

- Patrz! Patrz!

Tuż przed nimi stoi sprzedawca baloników, kolorowe kule kołyszą się w powietrzu.

- Proszę, mogę dostać balonik?

Caro się uśmiecha.

- Oczywiście. W końcu od czego ma się starszą siostrę? - Z przykrością przypomina sobie, że jutro wyjeżdża. - Trzymaj go u siebie w pokoju; kiedy na niego spojrzysz, zawsze pomyśl o mnie.

- Zawsze - obiecuje Adam.

Podchodzą do sprzedawcy i Adam wybiera, po długim namyśle, wielki czerwony balon. Idą do diabelskiego młyna.

Po drodze mijają różne budki. Coś przykuwa uwagę Caro - to gra w rzucanie obręczami, ta, w którą grała z tamtą dziewczynką... Ba, nawet wielkie pluszowe misie czekają, aż ktoś je wygra. Caro się waha - może zagrać, wygrać misia i posłać tamtej dziewczynce? Zaraz jednak

przypomina sobie, jak się kuliła w pokoju tamtego ranka, czekając, aż służąca sobie pójdzie. Nie, nie chce więcej o tym myśleć.

Odwraca się na pięcie.

- Chodźmy - mówi.

Ale Adama przy niej nie ma.

Rozgląda się szybko. Nigdzie go nie widać.

- Adam?! - woła. Chłopiec nie odpowiada. Caro biegnie do diabelskiego młyna. Jest!

- Adam! - łapie go za koszulkę. - Co ty wyprawiasz?

Adam szlocha.

- Mój balonik! Mój balonik!

Caro podnosi głowę. Czerwony balonik utkwiał wysoko, wśród rusztowań.

- Mam to gdzieś! - krzyczy. - Nie wolno ci chodzić samemu! Mogłeś się zgubić! A gdyby ktoś cię porwał?

- Ale mój balonik! - Adam ryczy na całe gardło. - Nie będę miał go w pokoju! Nie będę go widział, więc jak mam zawsze myśleć o tobie?

Caro klęka, obejmuje go. I ona ma łzy w oczach.

- Nie martw się. Kupimy ci drugi.

Wstaje, bierze go za rękę i wracają. Przy grze z obręczami Caro znowu się waha.

Dochodzi do wniosku, że to bez sensu mieć teraz wyrzuty sumienia. To było tak dawno. Służąca pewnie znalazła sobie inną pracę i ma się dobrze. Jej wnuczka chyba też ma się dobrze, ma już pewnie z pół tuzina wielkich pluszowych misiów.

Tak, wszystko na pewno skończyło się pomyślnie. A Caro jest dobra - przecież kupiła braciszкови drugi balonik.

W niedzielę wieczorem Caro wraca do Los Angeles. Barton, Meg i Adam odprowadzają ją na lotnisko.

- Jesteś wspaniałą córką - zapewnia Meg. - Gdyby nie ty, nie wytrzymałabym tego zamieszania ze ślubem.

- Wracaj do nas szybko - prosi ojciec. - Albo polecę do Kalifornii i cię porwę.

- Nie chcę balonika! - wrzeszczy Adam, czepiając się jej kolan. - Chcę, żebyś ty została!

Caro płacze. Ścisną ich serdecznie, obiecuje, że niedługo znowu przyjedzie, odwraca się i przez ramię posyła im całusy.

Robi to, bo już za nimi tęskni, a tylko troszeczkę ze względu na grupę wgapionych w nią fanów.

Caroline

Caroline siedzi nad basenem na osiedlu Zoe. Ma książkę na kolanach, ale nie czyta. Wpatruje się w powierzchnię wody. Wiatr marszczy ją leciutko.

Jest tu od tygodnia i całymi dniami tylko siedzi nad basenem. Nie wytrzymała w domu. Mieszkanie już nie jest takie cudowne jak dawniej, wydaje się mniejsze i jakieś ciemne. Matka co prawda kupiła jej, jak zwykle, nowe ubrania, nowe zabawki i książki, ale Caroline chyba już z nich wyrosła.

Zoe jest dla niej bardzo dobra. Ani razu nie zapytała o Adama czy tamten dzień w Playlandzie. Za to w kółko pyta, na co Caroline ma ochotę, może chciałaby gdzieś pójść? Ale Caroline nie chce. Będzie siedziała nad basenem, aż przyjdzie czas powrotu do Nowego Jorku.

Zoe wychodzi na balkon.

- Caroline! Telefon do ciebie!

Caroline zrywa się na równe nogi. To pewnie ojciec. Dzwoni, bo Meg jej wybaczyła i chcą, żeby jak najszybciej wróciła do domu. Smutno jej, że sprawi przykrość Zoe, która tak się stara, ale musi wyjechać.

Wpada do mieszkania i łapie za słuchawkę,

- Halo?

- Caroline. - Ojciec wydaje się bardzo daleki.

- Co u ciebie? Jak Meg?

- W porządku, skarbie, chodzi o to, że... lekarze uznali, że Meg może w przyszłym miesiącu wrócić do domu.

- To cudownie.

- Tak, tylko że... widzisz, uważają, że może jej być ciężko na początku, gdybyś tu była...

Caroline słucha w odrętwieniu, jak ojciec opowiada jej o szkole z internatem w New Hampshire.

- Tylko jeden semestr, najwyżej dwa. Zobaczymy, jak to wszystko się ułoży. Rozmawiałem z dyrektorką, chętnie cię przyjmie. Bardzo mi się podoba ich program. A w zimie nauczysz się jeździć na nartach.

Rozmowa skończona. Caroline odkłada słuchawkę i wraca nad basen. Zerwał się wiatr, marszczy powierzchnię wody, aż układa się w dziwne błękitne wzory. Caroline wpatruje się w nie intensywnie, przekonana, że to zaszyfrowana wiadomość, ale nie umie jej odczytać.

Caro

Drzewo na Brooklynie zniknęło z programu. Barbara Ann Fleming, która grała Katie Nolan, jest bohaterką głośniejszej sprawy rozwodowej. Straciła prawo do opieki nad dziećmi. Trudno udawać, że jest idealną matką na ekranie, i notowania serialu lecą na łeb na szyję.

Caro nie bardzo się tym przejmuje. W przyszłym sezonie zacznie nowy serial, jest o tym przekonana. I przynajmniej nie zostanie Flossie do końca życia.

Po ostatnim dniu zdjęciowym odbywa się przyjęcie pożegnalne. Wszyscy żartują, gratulują sobie i śmieją się głośno, ale wyczuwa się w tym smutną nutę.

Pod koniec imprezy aktor, który grał Steve'a, męża Sissy, podchodzi do Caro. Jest pijany. Uśmiecha się szeroko.

- Zapamiętaj tę noc, mała Caro - mruczy. - To twoje ostatnie przyjęcie na planie.

- Niby dlaczego? - pyta Caro z uśmiechem.

- Bo nie masz za grosz talentu - oznajmia z głupim pijackim uśmiechem. - Za grosz. Miałaś tylko łut szczęścia.

Caro idzie do swojej garderoby i zaczyna się pakować. Zdejmuje plakaty ze ścian, pakuje staromodną narzutę w kwiaty, prezent od fanklubu, chowa książki i gry, które zgromadziła tu podczas lat na planie. Dziwne, że tego tak mało.

Caro spędza prawie całe lato nad basenem na osiedlu Zoe. Nie wie, co ze sobą zrobić. Chce wracać na plan, tylko że planu już nie ma.

Zastanawia się, co dalej. Wstrzymuje oddech i czeka na odpowiedź. Zerwał się wiatr. Marszczy powierzchnię wody, aż układa się w tajemniczy wzór. Caro jest przekonana, że to odpowiedź na jej pytanie, ale choć wpatruje się w niego intensywnie, nie umie jej odczytać.

Część 3

Śliwkowy aksamit

Caroline

Najgorsze są noce. Caroline budzi się o drugiej nad ranem w ciemnej sypialni. Nie może zasnąć, patrzy na białe zasłony w oknach, na biurko i książki. Wszystko jest w porządku, a jednak leży zlaną zimnym potem.

Znowu jest w Playlandzie, rzuca obręczami. Czuje ich ciężar w dłoni. Widzi czerwony balonik wysoko na rusztowaniu. Słyszy krzyk. Zastanawia się, czy nadejdzie jeszcze kiedyś noc bez tych snów. W ciągu dnia jest lepiej, bo ma więcej zajęć, chociaż i wtedy zdarzają się trudne chwile. Musi uważać, żeby nie mieć za dużo wolnego czasu. Starannie planuje całe popołudnie: kąpiel, nauka i spać. Odkrywa, że czytanie przynosi ulgę, ale nie każdej książki. Niektórzy mali bohaterowie za bardzo przypominają Adama. Kiedyś uwielbiała Małe kobiety, teraz nie może tego czytać, bo bohaterką jest Meg. Fajnie się jej haftuje; liczenie ściegów wymaga koncentracji. Ale muzyki nie może słuchać.

Ogólnie jednak dni są bezpieczne. Caroline odpowiada rutyna szkoły z internatem. Podoba jej się, że zawsze jest coś do roboty - trzeba iść na zajęcia, na obiad, na spacer. Dobrze jest nie myśleć.

Podoba jej się także budynek szkoły, z czerwonej cegły, z białymi wykończeniami okien.

Caroline ma swój pokój, drzwi zawsze są otwarte. Chce słyszeć głosy dziewcząt. Zastanawia się, czy po szkole nie wstąpić do zakonu, żeby zawsze słyszeć dokoła kobiece głosy.

Dziewczynki tutaj są inne niż jej dawne koleżanki ze szkoły Clark. Milsze. Wiele z nich ma ojców wojskowych; mieszkały już w różnych miejscach i do niczego nie podchodzą zbyt poważnie. Nie zaprzyjaźniła się z żadną, to wymagałoby zbyt wiele wysiłku, ale potajemnie stara się sprawiać im przyjemności. Układa jesienne liście na poduszkach, chowa pod nimi czekoladki. Dziewczynki zastanawiają się, kto jest tym przyjaznym duszkiem, ale nigdy nie poznają prawdy. Nikomu nie powiedziała o wypadku.

Pewnego wieczoru Caroline idzie do łazienki. Drzwi do pokoju Fiony Marshall są otwarte, grupka dziewcząt siedzi na podłodze. Fiona ją zauważa.

- Ej, Caroline! Chodź do nas!

Caroline wchodzi.

- Co robicie?

- Gramy w wyznanie czy wyzwanie.

- Jak się w to gra?
- Siadaj, to zobaczysz.

Caroline siada.

Zaczyna Charlene Perry. Jej zadania: wyzwanie - zadrzeć spódnicę do pasa, wyznanie - opisać idealną noc poślubną.

Potem są jeszcze trzy dziewczynki. Żadna nie podejmuje wyzwań, każda chce tylko wyznawać.

W końcu kolej na Caroline.

- Wyznanie czy wyzwanie? Opowiedz nam o najgorszej rzeczy, jaką w życiu zrobiłaś, albo wyskocz przez okno.

Caroline robi się gorąco, tak gorąco, że boi się, że z jej policzków tryśnie krew. Patrzy na twarze koleżanek. Dowiedziały się jakiś cudem, na pewno. I zastawiły na nią pułapkę.

Patrzy jeszcze raz. Nie, chyba nic nie wiedzą. Ich twarze wyrażają tylko niewinną ciekawość.

Powie im. To miłe dziewczyny, zrozumieją, co się wtedy stało.

Próbuje mówić, ale słowa nie chcą jej przejść przez gardło. Najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiła, jest tak straszna, że ją dławi. Caroline przetyka ślinę i uśmiecha się nerwowo. Podchodzi do okna, wchodzi na parapet i skacze.

Telefon dzwoni bez przerwy. Caroline czeka, aż ktoś podniesie słuchawkę. Ma mokre ręce.

W końcu:

- Halo?
- Tatusiu?
- Caroline. - Wydaje się zaskoczony. - Wszystko w porządku?
- Tak.
- Jak kostka?

- W porządku, lekarz powiedział, że w przyszłym tygodniu mogę zdjąć opatrunek.

- To dobrze. I nigdy więcej takich wygłupów ze skakaniem z okna.

- Dobrze, tatusiu.

Nigdy nie zapytał, czemu to zrobiła. Może uważa, że ona chce w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Może się obawia, że traci rozum, jak Meg.

- Tatusiu, zbliża się Święto Dziękczynienia...

Ojciec długo milczy, zanim odpowie:

- Przykro mi, skarbie, ale to jeszcze za wcześnie. Meg robi wielkie postępy i nie chcemy tego popsuć. Rozmawiałem z panią Talbot, możesz zostać w szkole, jak wiele innych dziewczynek.

Zagryza wargę i kiwa głową.

- A Boże Narodzenie? Co z Bożym Narodzeniem?

Zaciska dłonie na słuchawce. Jeszcze dłuższe milczenie.

- Zobaczymy.

- Jasne - mówi.

Odkłada słuchawkę. Bolą ją ręce.

Nagle uświadamia sobie, że nie powiedziała ojcu, że go kocha. Zawsze w ten sposób kończyła rozmowę. Szybko wybiera domowy numer.

- Halo?

Tym razem odbiera Meg. Caroline jest zbyt zaskoczona, by coś powiedzieć.

- Halo? Halo?! - Meg woła coraz głośniejszym, coraz bardziej nerwowo.

Caroline odkłada słuchawkę.

Noc jest lodowata. Caroline siedzi w swoim pokoju, ale nie może się uczyć. Otwiera okno, zamyka oczy pod wpływem zimna. Słyszy muzykę, słodką i szybką. Zastanawia się, czy tak grają gwiazdy. Dopiero po chwili dociera od niej, że to tylko płyta w drugim końcu korytarza.

Zamyka okno, siada na łóżku i słucha w ciemności. Nie rozróżnia słów, słyszy tylko głos. Ma przed oczami górski strumień wśród drzew.

Siedzi i nie rusza się, póki piosenka się nie skończy.

- Wejść!

Janice Pearlmann siedzi przy biurku, w piżamie, z wałkami we włosach. Dziwi się na widok Caroline.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zaczyna Caroline - ale przed chwilą słuchałaś muzyki?

Janice kiwa głową.

- Za głośno? - Gestem prosi Caroline, żeby usiadła. - Siostra przysłała mi ciasteczka. Masz ochotę?

- Nie, dzięki. - Caroline robi głęboki wdech. - Co to była za płyta?

- Pieśni Camelotu. - Janice pokazuje okładkę. Akwarela: jezioro i zamek we mgle. - To nowy piosenkarz z Anglii, nazywa się Tristan. Moja siostra twierdzi, że lepszy od Donovana. No, nie wiem. - Odwraca okładkę. - Ale słodziutki, nie powiem.

Caroline patrzy na zdjęcie. Wcale nie jest słodziutki, ale i tak na tę twarz czekała całe życie.

- Chcesz jeszcze raz posłuchać? - pyta Janice.

- Nie, dzięki.

- Wpadnij później, koło dziesiątej. Urządzam imprezę, zjemy ciasteczka i posłuchamy całej płyty.

Ale Caroline nie ma zamiaru wpaść później. Nie chce słuchać Tristana w gromadzie innych.

Co czwartek dziewczęta mogą wyjść do miasteczka. Zazwyczaj Caroline z tego rezygnowała, ale dzisiaj zapisuje się na listę chętnych. O drugiej schodzą ze wzgórza.

- Zostańcie w parach - upomina wychowawczynie, gdy są już przy głównej ulicy. - I proszę nie rozchodzić się dalej niż do Cross Avenue. Spotykamy się tu, w tym miejscu, za półtorej godziny. Kara za spóźnienie.

Caroline stoi w parze z grubą, nieśmiałą Marigold.

- Dokąd chcesz iść?

- Do księgarni. - Marigold się nie zastanawia. - Wyszła nowa książka Jean Plaidy. - Marigold uwielbia romanse historyczne.

Idą do księgarni. Marigold znajduje powieść, opiera się o ścianę i czyta. Caroline czeka, aż lektura pochłonie ją bez reszty, i ukradkiem wymyka się z księgarni. Wróci za pięć minut, Marigold nawet nie zauważy, że jej nie ma.

Sklep z płytami jest dalej, niż sądziła. W pierwszej chwili nigdzie nie widzi Pieśni Camelotu, ale w końcu znajduje płytę. Płaci i patrzy, jak biała twarz Tristana znika w plastikowej torbie.

Caroline patrzy na zegarek: druga czterdzieści pięć. Musi wracać. Jest już o przecznice od księgarni, gdy nagle przystaje. Na rogu jest zielony sklepik, którego przedtem nie zauważyła. Sklepik z domkami dla lalek.

Caroline się waha. Patrzy w stronę księgarni, ale nie widać przed nią przerażonej Marigold. Pewnie wciąż czyta swoją Jean Plaidy. Pięć minut. Jeszcze tylko pięć minut.

Wchodzi do sklepiku.

- Dzień dobry. - Pulchna kobieta klęczy na wystawie, szykuje dekoracje na Święto Dziękczynienia. - Przykro mi, mamy mały rozgardiasz.

Caroline się uśmiecha.

- Ślicznie tu - mówi. - Szkoda, że nie mogę pani pomóc.

- A niby dlaczego? Masz małe zwinne ręce.

Caroline przecząco kręci głową.

- Nie mam czasu.

Kobieta ustawia miniaturowy stół. Wypada jej z rąk i małe dynie i kolby kukurydzy rozsypują się po podłodze.

Caroline zbiera je szybko. Ostrożnie układa wszystko na stole i podaje kobiecie.

- Ma pani beczki wina? - pyta. - Można by je ustawić koło ławek.

- O, proszę.

Po chwili Caroline klęczy na wystawie i ustawia beczki.

Szykują wspaniały bankiet. Połowa dorosłych lalek siedzi przy stole, pozostałe stoją z talerzami w dłoniach. Dzieci, białe i indiańskie, za sprawą Caroline bawią się wesoło, a pod stołem mały czarny piesek zajada porcję indyka z miniaturowego talerza. Caroline siedzi na piętach i z uśmiechem podziwia swoje dzieło. Jest szczęśliwa. Cieszy się, że może przygotować Święto Dziękczynienia dla lalek.

Nagle rozlega się pukanie w okno. Caroline podnosi głowę. Za szybą stoją szkolne koleżanki. Marigold płacze. Wychowawczyni zaciska usta w wąską linię.

Caroline przygląda się im przez szybę i powoli wstaje.

- Muszę już iść - mówi. - Dziękuję.

- To ja ci dziękuję - śmieje się kobieta. - Jesteś tu zawsze mile widziana.

Tego wieczoru Caroline zostaje wezwana do gabinetu dyrektorki.

Pani Talbot stoi przy oknie. Nie proponuje Caroline, żeby usiadła.

- Złamałaś dzisiaj bardzo ważną zasadę.

Caroline kiwa głową.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo wszystkich przestraszyłaś?

- Przepraszam. Nie chciałam. Ja tylko... wciągnęłam się i... i straciłam poczucie czasu.

Cisza.

Dyrektorka przygląda się jej uważnie.

- A co cię tak wciągnęło?

Caroline opowiada o sklepie z lalkami. Opowiada o wystawie, o bankiecie, i nawet o małym piesku pod stołem.

- A kiedy podniosłam głowę... wszyscy byli za oknem - kończy.

- Rozumiem - mówi pani Talbot.

Podchodzi do biurka, siada. Z namysłem przygląda się Caroline.

- Widzę, że nie miałaś złych zamiarów, ale postąpiłaś nierozsądnie i napędziłaś nam stracha. Niestety, w takich sytuacjach szkolne zasady są nieubłagane: masz zakaz wychodzenia przez dwa tygodnie i musisz przeprosić wychowawczynię.

Caroline zagryza wargę.

- Powie pani mojemu ojcu?

- Nie. Postąpiłaś bezmyślnie, ale nie naumyślnie. Nie ma sensu go o tym informować. I Wiesz co, Caroline, uważam, że to dobry pomysł, żebyś pomagała w tym sklepie. Wiem, że ostatnio... przechodzisz trudny okres. - Milczy przez chwilę. - Mam nadzieję, że znowu tam pójdziesz. Uprzedzę wychowawczynię, że masz moje pozwolenie.

- Dziękuję. - Caroline nie wierzy Własnym uszom.

Dyrektorka się uśmiecha.

- Już się nie mogę doczekać wystawy na Boże Narodzenie.

Grudzień jest rześki i słoneczny. Caroline stara się nie myśleć, gdzie spędzi Boże Narodzenie. Myśli za to o wystawie w sklepie z lalkami, planuje, co jeszcze trzeba przygotować. Jest w tym sklepiku częstym gościem, zagląda tam nie tylko w czwartki, ale też w soboty, za zgodą pani Talbot.

Jeszcze kilką poprawek i Caroline wychodzi na dwór, żeby podziwiać swoje dzieło. Na wystawie pełno jest sztucznego śniegu, są też choinki i renifery. W lewym rogu Święty Mikołaj ogląda długą listę prezentów, w prawym tłoczą się kołędnicy w wiktoriańskich strojach. A pośrodku króluje domek dla lalek, mnóstwo w nim jemioly, ostrokrzewu i skarpetek.

Caroline się uśmiecha. Święta na wystawie wyglądają cudownie. Lecz dni mijają i wkrótce nadejdzie prawdziwe Boże Narodzenie. Inne dziewczynki wyjeżdżają, znoszą walizki z poddasza, pakują się.

- Caroline, idę na górę - mówi koleżanka. - Przynieść ci walizkę?

- Nie - odpowiada. A widząc jej zdziwienie, poprawia się: - Jeszcze nie.

Czeka na wiadomość od ojca. Daremnie. Za to osiemnastego grudnia dostaje telegram:

CO TO ZA ŚWIĘTA BEZ MOJEJ CÓRECZKI STOP BILET W DRODZE STOP KOCHAM CIĘ ZOE

Uratowana. Teraz i ona znosi walizkę z poddasza. Teraz i ona biegnie do miasta po prezent dla mamy. Teraz to jej zazdroszcza, bo ona, jako jedyna, jedzie na święta do słonecznej Kalifornii.

Boże Narodzenie w Los Angeles jest niesamowite. Choć na dworze jest koło dwudziestu stopni, na wszystkich domach błyszczą świąteczne lampki, a surferzy ujeżdżają fale w czapkach Świętego Mikołaja.

Caroline świetnie się bawi. Nie myśli o Adamie, ojcu czy Meg. Idzie z Zoe po choinkę, ubierają ją razem, zawieszają złote bombki. Jadą do Pasadeny, idą na śniadanie do hotelu Beverly Hills, do teatru na Dziadka do orzechów. Zoe flirtuje ze wszystkimi napotkanymi Mikołajami.

W wigilię Bożego Narodzenia obie zostawiają skarpety przed kominkiem. Rano czekają wypełnione drobiazgami - w skarpecie Caroline są kosmetyki i spinki do włosów, w skarpecie Zoe butelka szampana i puszka kawioru.

Potem rozpakowują prezenty.

W pierwszej paczusce, którą otwiera Zoe, jest pozytywka od Caroline.

- Najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam - mówi cicho.

Caroline z radości dostaje wypieków.

Zoe podaje jej wielką paczkę.

- Od ojca. Przyszła wczoraj. Przesyłka ekspresowa.

W środku jest elegancki czerwony płaszcz, ale Caroline odkłada go na bok. Dzisiaj nie chce myśleć o ojcu.

Rozpakowuje prezenty od Zoe: spódnice i bluzki, sweter i dobrany beret, album płytowy z nowego show Hair, turkusowe kolczyki. W ostatnim pudle jest suknia - piękna suknia ze śliwkowego aksamitu.

- To właściwie prezent dla mnie - mówi Zoe. - W czwartek zrobimy ci w niej zdjęcie portretowe. Nie do wiary, masz już dwanaście lat, a ja nie mam nawet jednej porządnej fotografii.

W czwartek rano Zoe prowadzi Caroline do salonu Elizabeth Arden, żeby jej ostrzyć i ułożyć włosy.

- Roberto się tobą zajmie. Jest genialny - mówi.

Roberto całuje Caroline w rękę.

- Jesteś podobna do młodej Catherine Deneuve, tylko ładniejsza - mruczy i czesze ją w stylu lat pięćdziesiątych.

Zoe przyjeżdża po nią w południe. Suknia ze śliwkowego aksamitu leży w pudle na tylnym siedzeniu. Jadą do Hollywood. Zoe nie ukrywa podniecenia.

- Zapamiętasz ten dzień do końca życia - papie radośnie. - Nie każdą dziewczynę fotografuje sam Hans Lasky.

Caroline stara się wykrzesać z siebie odpowiedni entuzjazm. Zoe przygląda się jej bacznie.

- Chyba wiesz, kto to jest Hans Lasky? - No, nie bardzo.

Zoe wzdycha.

- Nic dziwnego, w końcu mieszkasz z Bartonem.

Opowiada Caroline, że Hans Lasky to bardzo znany fotograf, jego prace wiszą w muzeach, fotografował wielkie gwiazdy kina w okresie największej świetności Hollywood.

- Poznałam go na przyjęciu, zaraz po tym, jak tu przyjechałam. Wiesz, co zrobił, kiedy otwierałam własną agencję? Sfotografował wszystkich moich podopiecznych, i to za darmo! - Uśmiecha się z rozrzewnieniem. - Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, teraz mieszka w Bostonie. Kiedy się dowiedział, że będziesz tu w tym samym czasie co on, wiesz, co powiedział?: „Najwyższy czas, żebym sfotografował twoje prawdziwe dziecko”.

Przyjeżdżają do atelier; mieści się w niewielkim budynku z czerwonej cegły, niedaleko agencji Zoe. Hans Lasky już czeka. Jest stary, niski i pomarszczony. Zoe całuje go, przedstawia Caroline. Hans Lasky patrzy na nią mądrymi, zaczerwienionymi oczami. Caroline czuje się nieswojo. Zdaje sobie sprawę, że nie jest piękna, nie warto jej fotografować.

- Przebierz się tam, za zasłoną - mówi tylko fotograf.

Caroline wraca w sukni ze śliwkowego aksamitu. Hans Lasky sadzają na stołku, reguluje oświetlenie, poprawia jej włosy. W końcu zaczyna fotografować.

- Głowa na bok - szybko wydaje komendy. - W drugą stronę, o tak. Oczy do góry. Nie, nie tak wysoko. Ręce, ręce inaczej.

Caroline czuje się głupio. Rusza się niezdarnie, uśmiecha sztucznie. Patrzy na Zoe, która stoi z boku, i powtarza sobie, że to prezent dla matki.

Pod koniec sesji słyszy szcęk otwieranych drzwi; ktoś wszedł do atelier. Oślepią światem, nie widzi, kto to jest; dostrzega tylko

wysoką sylwetkę mężczyzny albo chłopca. Postać dotyka ramienia starego fotografa.

- Dziadku.

- Steven! - Starszy pan się odwraca. - To już czas?

Hans Lasky opuszcza aparat i obejmuje gościa ramieniem.

- To mój wnuk, Steven. - Klepie go po policzku i wraca do pracy. - Już prawie skończyłem, daj mi jeszcze chwilę.

Robi następne zdjęcie, i jeszcze jedno. Caroline czuje na sobie wzrok Stevena. Podchodzi bliżej i wtedy ona także go widzi. Ma trzysta albo czterysta lat i fascynujące włosy, kręcone i miękkie, jak lalka. Ma też jasną karnację, rumiane policzki, lekko skośne oczy i długie rzęsy Caroline czuje, że się czerwieni.

Hans Lasky w końcu gasi reflektor.

- Gorąco tu - mruczy.

Wychodzą wszyscy razem.

Zoe całuje fotografa w oba policzki.

- Dziękuję - szepcze.

Caroline jest tak speszona, że nic nie przechodzi jej przez gardło, zwłaszcza w obecności Stevena. Kiwa tylko głową i mruczy:

- Wesołych świąt.

Pò czym uprzytamnia sobie, że święta już minęły.

Wieczorem tego dnia Zoe idzie na kolację w interesach. Caroline przechadza się po pustym mieszkaniu, rozkoszuje ciszą i samotnością. Staje w korytarzu, przegląda się w dużym lustrze w srebrnej ramie. Długo patrzy na twarz, którą dzisiaj widział Steven Lasky. Wydaje się jej zwykła i nieciekawa, nijaka.

Podchodzi do szafki z płytami w gabinecie matki. Ku jej zdumieniu Zoe ma Pieśni Camelotu. Caroline nastawia płytę i Tristan śpiewa dla niej, a ona tańczy. Wyobraża sobie, że Tristan wygląda jak Steven. I że Steven śpiewa jak Tristan. Tańczy z nim; on śpiewa dla niej. Zatrzymuje się i wraca do lustra - tym razem jest zarumieniona i piękna. Zakrywa oczy.

W semestrze wiosennym Barton informuje ją, że postanowili z Meg się przeprowadzić. Zasugerował to lekarz w szpitalu specjalistycznym - uważa, że zmiana dobrze zrobi Meg. Już wkrótce przeprowadzają się do nowego mieszkania przy Sześćdziesiątej Drugiej ulicy. Caroline na pewno będzie zachwycona, kiedy je zobaczy w lecie. I on, i Meg już nie mogą się jej doczekać.

Caroline nie wierzy własnym oczom, gdy wchodzi do nowego mieszkania. Niczego nie poznaje. Wszystko jest nowe - dywany, meble, obrazy. Nawet książki w biblioteczce wydają się jakieś inne. A kiedy Barton prowadzi ją do jej pokoju - jest to pokój obcej osoby.

- Gdzie są moje rzeczy? - pyta, starając się zachować spokój.

- Schowane - odpowiada ojciec.

Caroline podchodzi do tego z filozoficznym spokojem. Jak u Śpiącej Królowej - jej rzeczy czekają, aż będzie miała własne życie i znowu obudzi je z uśpienia.

Jeszcze, raz rozgląda się po nowym mieszkaniu. Właściwie się cieszy, że jest w miejscu bez przeszłości.

Laury też już nie ma. Zastąpiła ją Koreanka, Kim, która nie zna angielskiego.

Meg czuje się lepiej. Przytyła, znowu ma długie włosy.

- Witaj! - mówi do Caroline. Obejmuje ją. - Jak to miło, że spędzisz z nami lato.

Dziwne uczucie, być gościem we własnym domu.

Lato bardzo się dłuży. Caroline nie wie, co robić całymi dniami. Jest za młoda, żeby iść do pracy, a nie chce się narzucać Meg. Wychodzi z domu, zwiedza parki i muzea.

Meg nigdy nie wychodzi. Śpi do późna, całymi dniami przesiaduje w swoim pokoju.

Najlepiej jest, kiedy Barton wraca z pracy.

Pewnego ranka Caroline wchodzi do kuchni na śniadanie i zastaje tam Meg. Siedzi przy stole, jakby na nią czekała.

- Zepsuł mi się zegarek - mówi do Caroline z oczami rozszerzonymi strachem.

Caroline nie rozumie, czemu Meg tak się denerwuje; przecież nigdzie nie wychodzi, po co jej zegarek?

- Muszę oddać go do naprawy.

- Nie martw się - pociesza ją. - Tu w pobliżu, na Lexington, jest zegarmistrz.

- To daleko - odpowiada cichutko Meg.

- Zaniosę go, jeśli chcesz.

- Nie. - Meg podnosi głowę po chwili milczenia. - Powinam częściej wychodzić.

- Może pójdziemy razem? - proponuje Caroline. Uśmiecha się. - Będzie fajnie.

Spacerują Lexington Avenue. Ilekroć mija je autobus, Meg się wzdryga. Caroline kraje się serce. Pamięta, jak dawniej Meg lubiła włóczyć się po Nowym Jorku.

Mijają sklep z używaną odzieżą. Na wystawie jest para staroświeckich jedwabnych trzewików zapinanych na guziki.

Meg się zatrzymuje.

- Kiedyś wszędzie takich dla ciebie szukałam.

- No właśnie, do sukni z Drzewa na Brooklynie.

- Tak.

- To była cudowna niespodzianka.

- Nigdy jej nie włożyłaś. - Meg marszczy brwi. - Pewnie ci się nie podobała.

Teraz Caroline śmieje się ze wspomnień.

- Podobała mi się, i to jak! Ale ktoś w szkole nabazgrał na niej: „Idź do diabła”.

Meg przygląda się jej uważnie i kiwa głową.

- No tak - mówi z namysłem. - Po tym, co zrobiłaś, na pewno pójdziesz do diabła.

Ukrywa twarz w dłoniach i krzyczy.

- Bardzo mi przykro, skarbie - mówi Barton, gdy tego samego dnia odprowadza Caroline na pociąg.

- Wiem.

- Na pewno spodobają ci się letnie zajęcia. A do nas przyjedziesz na Boże Narodzenie. Lekarz chce zmienić jej leki. Do tego czasu na pewno stan Meg się poprawi.

Caroline całuje go na pożegnanie.

Jest marzec. Caroline jest w przedostatniej klasie. Siedzi w bibliotece i pisze wypracowanie z angielskiego. Słyszy za sobą kroki.

- Tu jesteś! - To Pam Allbright z najstarszej klasy. - Pani Talbot cię wzywa.

Caroline odkłada książki i idzie do gabinetu dyrektorki. Nie ma pojęcia, co przeszkrobała.

- Usiądź, Caroline - pani Talbot uśmiecha się ciepło. Wskazuje krzesło naprzeciwko biurka. - Napisał do mnie twój znajomy, uroczy młody mężczyzna, Steven Lasky.

W pierwszej chwili Caroline nie ma pojęcia, kto to taki. A gdy sobie przypomina, jest bardzo zmieszana.

- Właściwie to nie jest mój znajomy... raczej mojej mamy. To znaczy, jego dziadek jest jej przyjacielem. Widziałam się z nim tylko raz.

- Cóż, napisał, że rozmawiał z twoją mamą i prosiła go, żeby się z tobą potkał. Będzie w okolicy. W przyszłą środę chce cię zaprosić na herbatę.

Pani Talbot przygląda się jej uważnie.

- Masz ochotę się z nim spotkać?

Caroline przypomina sobie jego włosy i rzęsy.

- Nie mogę - mówi szybko. - W środę po południu mam francuski.

- Napiszę ci usprawiedliwienie - Uspokaja pani Talbot.

- No, Caroline, jaki on jest?

Wszystkie dziewczyny są podekscytowane, że cicha, nieśmiała Caroline Andrews idzie na randkę.

- Nie mam pojęcia - mówi spokojnie. - Widziałam go, kiedy miałam dwanaście lat. Prawie go nie pamiętam.

W środę po południu przed szkołą zatrzymuje się taksówka. Wszystkie dziewczyny obserwują zza firanek, jak Caroline wita się ze Stevenem przy drzwiach. Rzęsy i policzki się nie zmieniły. Wydoroślał. Jest bardzo przystojny.

- Nie musiałeś tego robić - zaczyna Caroline.

- Nie ma sprawy. I tak byłem w okolicy, rozglądam się po college'ach w New Hampshire. To taka miła chwila przerwy. - Uśmiecha się. - To jak, pójdziemy gdzieś na herbatę? Widziałem po drodze cukiernię.

Idą do miasteczka. Steven jest przyjemnym kompanem. Przygląda się mijanym domom, dostrzega urocze detale - doniczkę w oknie, pięknie zdobione drzwi. Chce zostać fotografem, dlatego zwraca uwagę na szczegóły.

Nie sposób dobrze się z nim nie bawić. I nie śmiać się, gdy w kawiarni cały się umazał czekoladowym kremem.

- Twoja mama kazała cię uściskać - mówi. - I powiedzieć, że już nie może się doczekać, kiedy znowu przyjedziesz.

- Ja też nie - przyznaje Caroline.

- Chciałbym być w twojej sytuacji i co roku jeździć na wakacje do Kalifornii.

Nie, nie chciałbyś, myśli Caroline. Nie chciałbyś być w mojej sytuacji, nie chciałbyś, żeby ojciec trzymał cię z dala od domu, bo doprowadziłeś macochę do szaleństwa.

Zmienia temat:

- Może tam zamieszkać po studiach.

Rozmawiają o college'u, o planach Stevena, później - o swoich szkołach, nauczycielach, ulubionych przedmiotach. W końcu kelnerka przynosi rachunek.

- Zapłacę połowę - proponuje Caroline.

- Nie wygłupiaj się - oburza się Steven. - Było cudownie.

W drodze powrotnej mijają sklep z domkami dla lalek. Na wystawie - scena wielkanocna: miniaturowe lalki szukają kolorowych jajek, królik chowa się za krzakami.

Steven zatrzymuje się i długo przygląda wystawie.

- Szkoda, że nie wziąłem aparatu - mówi. - Piękne.

Caroline się uśmiecha.

- Dziękuję.

Patrzy na nią pytająco.

- Przygotowałam tę wystawę - wyjaśnia. - A przynajmniej znaczną część.

- Jestem pod wrażeniem.

To tak, jakby polał ją strumieniem szczęścia.

Steven żegna się na progu.

- Było mi naprawdę miło - mówi. - Jeśli będę studiował w okolicy, musimy to powtórzyć.

Wszystkie dziewczyny obserwują zza firanek, jak się pochyla i całuje Caroline w policzek.

Caro

Wciągu ostatnich dwóch lat interesy szły na tyle dobrze, że Zoe stać w końcu na mały domek w Beverly Hills. Co prawda jest na południe od Bulwaru Zachodzącego Słońca, nie na północ, jak chciała, ale na razie i tak jest zadowolona. Caro pójdzie do szkoły Beverly Hills High.

- Zacziesz od początku - tłumaczy Zoe. - I tym razem nie odpuszczę, jeśli nie będziesz miała samych piątek. Jesteś zdolna, tylko leniwa.

Caro jest leniwa, odkąd skończyło się Drzewo na Brooklynie.

Liczyły z Zoe, że zacznie się następny serial. Nic z tego. A Zoe nie chciała już, żeby Caro występowała w reklamach - to byłoby obniżanie poprzeczki.

- Przechodzisz trudny okres, skarbie - powtarzała. - Poczekaj tylko, za kilka lat, kiedy zdejmemy ci aparat z zębów i urosną ci piersi... po czekaj tylko.

Zdjęto jej aparat z zębów, urosły piersi, a roli nadal nie było. Caro ciągle miała w uszach słowa tamtego aktora na przyjęciu pożegnalnym: „Nie masz talentu. Za grosz.”

Ale teraz pójdzie do nowej szkoły. Ma mnóstwo planów: będzie się pilnie uczyć, zbierać same piątki, a po szkole dostanie się na dobry uniwersytet.

Wszyscy będą ją lubić. Zostanie wybrana przewodniczącą jakiegoś kółka. Znajdzie sobie przyjaciółkę od serca. I, co ważniejsze, chłopaka.

Pierwszego dnia szkoły Caro wstaje o szóstej rano. Ubiera się starannie, wkłada spódnicę w kwiaty i białą bluzeczkę, którą kupiły z Zoe w zeszłym tygodniu.

Idzie do sypialni matki, żeby się pożegnać.

- Zwal ich z nóg - mruczy Zoe przez sen.

Szkoła jest przy Moreno Drive, całkiem niedaleko. Zajęcia zaczynają się o ósmej dziesiąt, ale Caro jest na miejscu dobre czterdzieści minut wcześniej. Spaceruje po terenie szkoły, zagląda do hali krytego basenu znanego z filmu Cudowne życie. Myszkuje po stołówce, pomalowanej w jasne kolory tęczy. Znajduje swoją szafkę, szuka sal, w których będą zajęcia.

W końcu rozlega się pierwszy dzwonek. Caro biegnie do klasy i siada. Ukradkiem obserwuje inne dzieciaki wpadające do sali. Żadna z dziewcząt nie wygląda na taką, z którą mogłaby się zaprzyjaźnić. Żaden chłopak nie wygląda na materiał na narzeczonego. Ale to dopiero początek.

Caro słyszy dokoła jakiś dźwięk, monotony jak buczenie owadów.

Nagle rozlega się też chichot. Dźwięk jest coraz głośniejszy. Caro pojmuję, że to nie buczenie, to melodia. Melodia tak dobrze jej znana, że w pierwszej chwili nie wie nawet, skąd ją zna - ale zaraz sobie to uprzytamnia. To temat muzyczny z Drzewa na Brooklynie.

Rozbrzmiewa coraz głośniejszy, co chwila przerywa go głośny śmiech. Wchodzi nauczyciel.

- Co tu się dzieje? - krzyczy. - Cisza!

Patrzy na Cara, czerwona jak burak.

Caro nie wie, dlaczego nikt jej nie lubi.

- Dlatego, że jesteś od nich lepsza - pociesza Zoe. - Pamiętasz, co ci zawsze powtarzam? Jeśli wysuwasz głowę ponad tłum, ktoś na pewno w nią strzeli.

Tylko że Caro nie wysuwa głowy. I to od lat. Dzisiaj nikomu nie Chciałoby się do niej strzelać.

Jest miła i uprzejma, ale dziewczynki ją ignorują. Nigdy nie zapraszają na wspólną naukę przed klasówką. Nie proponują, by dosiadła się do nich w stołówce. Nigdy nie zabierają na weekend.

To trochę tak, jakby one były prawdziwe, a ona nie. Jakby znały specjalny tajemny kod, czytały instrukcje, jak być prawdziwą nastolatką. Caro nie próbuje już znaleźć sobie przyjaciółki.

Jeśli chodzi o chłopaka, żaden jej się nie podoba.

Aż nagle, w połowie października, do jej grupy na hiszpańskim przychodzi nowy uczeń. Wygląda jak bohater celtyckich mitów, jest blady i jasnowłosy. Nazywa się Brian Sheffield.

Siedzi przed Caro i uśmiecha się do niej. Od chwili, w której go zobaczyła, wszystko stało się łatwe. Znowu ma scenariusz, rolę do zagrania.

Jest zakochaną nastolatką.

Przez cały weekend myśli tylko o Brianie. Chodzi na długie spacery i wyobraża sobie, że on jest z nią. Kupuje sobie nową sukienkę i tańczy w ciemnościach.

W końcu nadchodzi poniedziałkowy ranek i lekcja hiszpańskiego. Caro znowu siedzi za Brianem. Podoba jej się jego koszula w różnych odcieniach błękitu. Obserwuje, jak robi notatki. Ma taki piękny charakter pisma. Wyobraża sobie, jak wyglądałby list miłosny od niego. Na oparciu jego krzesła wisi szary sweter. Caro celowo upuszcza długopis, żeby móc się pochylić i dotknąć go niby niechcący.

Wkrótce już wie, że Brian gra w koszykówkę. W piątek po lekcjach idzie na salę gimnastyczną, żeby popatrzeć, jak trenuje. Udaje, że odrabia lekcje, a w rzeczywistości obserwuje go czujnie. Podoba jej się, jak gra. Wyobraża sobie, jak po wygranym meczu podbiega do niego, rzuca mu się na szyję, a on całuje ją lekko.

Po tygodniu czy dwóch Zoe zaczyna coś zauważać,

- Co się z tobą dzieje? - dopytuje się. - Te cielece oczy, to milczenie... chodzi o chłopaka? No tak, na pewno. No cóż, skarbie, moje gratulacje - śmieje się. - Pytaj, o co chcesz. Służę doświadczeniem.

Caro nie może się powstrzymać i uśmiecha się wzgardliwie. Przypomina jej się Greg, który ją pobił w pokoju motelowym. Nie, nie poprosi matki o radę.

- Ale uważaj - ostrzega Zoe. - Facet obieca ci gwiazdkę z nieba i pomarańczowe łyżwy, byle dostać, czego chce.

Brian nie obiecał Caro gwiazdki z nieba, pomarańczowych łyżew ani w ogóle niczego. Wcale z nią nie rozmawia.

Ale Caro poczeka. Wie, że z czasem wszystko się ułoży. A póki co, rozmawia z nim w wyobraźni. Opowiada mu historie z dzieciństwa, o pracy na planie serialu. A Brian ją uspokaja, zapewnia, że jeszcze znowu będzie gwiazdą. Czasami tylko trzymają się za ręce i w ogóle nie rozmawiają. Są chyba najszczęśliwszą parą w szkole, a może nawet na całym świecie.

Ale czasami Caro doskwiera samotność. Czasami chciałaby, żeby wszystko działało się trochę szybciej. W końcu zdobywa podstępem telefon Briana; mówi nauczycielce, że potrzebuje jego pomocy przy pracy domowej. Wszystkie dziewczyny tak robią. Tak łatwo byłoby zadzwonić, a jednak koniec końców wyrzuca numer do śmieci. Nie tak ma się zacząć ich związek.

Czas płynie. Jest styczeń.

W piątkowe popołudnie Caro obserwuje Briana, jak gra. Zdobywa zwycięskie punkty i opuszcza boisko, niesiony na ramionach kolegów.

Jest wzruszona do łez. Jak w wierszu, który czytała na literaturze angielskiej: Na śmierć młodego atlety.

Atleta w wierszu dostał wieniec laurowy i Caro postanawia zrobić taki wieniec dla Briana. Przez cały wieczór męczy się z pędami bluszczu, drutem i złotą farbą.

- A to ciekawe - Zoe zagląda do jej pokoju. - Powiesz, co to będzie?

Caro tylko kręci głową.

Położy wieniec na biurku Briana w poniedziałek rano. Potem jednak zmienia zdanie - wręczy mu go osobiście. Już czas.

W poniedziałek rano podchodzi do niego po zajęciach. Stoi pochylony nad biurkiem, pakuje książki.

- Zrobiłam to dla ciebie - mówi, wręczając mu wieniec. - Takie wieńce dostawali greccy bohaterowie.

Sądząc po jego minie, nie ma pojęcia, o czym ona mówi, ale jest zadowolony..

- Dzięki - mówi. - Super.

Wychodzą razem na korytarz.

- Grałaś w serialu, tak?

Kiwa głową.

- Pewnie było fajnie. - Brian uśmiecha się do niej.

Uśmiecha się też, kiedy mija ją w stołówce, i jeszcze później, po szkole. Następnego ranka przed hiszpańskim rozmawiają o pracy domowej. A dzień później o klasówce.

W czwartek po południu Brian podchodzi do Caro, gdy chowa książki do szafki.

- Cześć - zaczyna. - Słuchaj, jeśli nie masz planów na jutro, może gdzieś razem wyskoczymy?

Caro nie słyszy własnych słów, tak głośno krew dudni jej w uszach.

- Dobrze - mówi ostrożnie.

W piątkowe popołudnie Caro biegnie po szkole do domu i robi to wszystko, co każda dziewczyna przed randką. Maluje paznokcie, myje włosy. Nakłada maseczkę na twarz. Podkrada Zoe perfumy.

- Co tu się dzieje? - dopytuje się Zoe.

- Mam randkę.

- Tak myślałam. Ja też. - Przygląda się Caro. - Ale dla mojego nie warto malować paznokci. Uważaj na siebie.

- Dobrze.

Ustalają, która kiedy wróci, kto zapali światło na ganku. Caro czuje się dorosłą kobietą, partnerką.

W końcu czas się ubierać. Ma nową sukienkę, w kwiaty w różnych odcieniach błękitu, jak koszula Briana.

Czeka przed domem. Nie chce, żeby wszedł do środka i rozmawiał z Zoe.

Kwadrans po siódmej jego zielony volkswagen staje przy krawężniku.

- Cześć - wita się Brian. Ma na sobie błękitną koszulę. - Umieram z głodu - mówi. - Chodźmy coś zjeść.

Jadą do Westwood. Caro patrzy na dłonie Briana na kierownicy. Wyobraża je sobie, zręczne i lekkie, na swoich ramionach.

Jadą do McDonalda. Caro jest zbyt przejęta, żeby jeść. Pije tylko wodę, a Brian pochłania hamburgera z frytkami. Rozmawiają trochę o szkole i nauczycielach, ale właściwie mają sobie niewiele do powiedzenia.

W końcu Brian odsuwa tacę i uśmiecha się lekko.

- Co teraz? - pyta.

W końcu idą do kina. Film zaczyna się o ósmej. Caro obiecała matce, że wróci najpóźniej o wpół do dziesiątej, ale nie będzie się teraz tym przejmować.

Wchodzą do sali. Jest niemal pełna.

- Nic nie szkodzi - mówi Brian. - Lubię siedzieć z tyłu.

Wskazuje najdalszy rząd. Siadają w czerwonych skórzanych fotelach.

Ledwie gasną światła, Brian bierze Caro za rękę. Ma ciepłą, silną dłoń.

Caro wtula się w fotel, zadowolona. Lecz nagle Brian zasłania jej ekran, pochyla się nad nią. A w następnej chwili wsadza jej język do ust.

Caro nieruchomieje. Serce bije jej niespokojnie. Nie chce, żeby wsadzał jej język do ust.

A Brian nie daje za wygraną. Jedną jego dłoń ścisną pierś Caro, drugą powoli unosi niebieską sukienkę i wsuwa się między uda.

Jęczy cicho. Caro stara się go odepchnąć, ale jego ręce zaraz wracają. Caro nie wie, co robić.

- Brian - szepcze - poczekaj. - Ręce nieruchomieją. - Muszę cię o coś zapytać. - Zaczyna się jąkać. - Czy, czy ty... mnie kochasz?

- Pewnie. Pewnie, że tak.

- Naprawdę?

- Jasne.

Caro uśmiecha się radośnie.

- Ja ciebie też.

A więc wszystko w porządku. Cudownie. Zamyka oczy i odwzajemnia jego pocałunek.

Film się skończył, wychodzą z kina. Wsiadają do samochodu. Milczą przez całą drogę do domu.

Zoe czeka na ganku.

- Obiecałaś, że wrócisz o wpół do dziesiątej. - Jej głos drży z niepokoju. - A dochodzi jedenasta.

- Przepraszam.

- Masz pojęcie, jak się martwiłam?

Caro obejmuje Zoe ramieniem.

- To już się nie powtórzy, obiecuję.

Dziwne uczucie, być przez chwilę matką, nie córką.

Następnego ranka Caro znowu wkłada niebieską sukienkę, chociaż jest pognieciona. To znak dla Briana.

Przed szkołą czeka na nią Mindy Peters i jej paczka.

- Podobno dobrze się wczoraj bawiłaś w kinie z Brianem.

- Bardzo dobrze, z tego co mówi Brian.

- Ej, Caro, może pójdziesz ze mną do kina?! - krzyczy za nią pryszczaty chłopak i głośno cmoka.

Wszyscy się śmieją.

Mindy obejmuje dwie przyjaciółki ramionami.

- Chodźcie, dziewczyny. - Patrzy znacząco na Caro. - To strefa skażona.

Caro jest tak czerwona, że boi się, że krew tryśnie jej z policzków.

Kiedy idzie korytarzem, towarzyszą jej głośne gwizdy i brawa. Na hiszpańskim Brian nie podnosi głowy znad podręcznika. Nie patrzy na nią.

Caro wychodzi z zajęć, biegnie do łazienki i wymiotuje, zanim zamknie za sobą drzwi kabiny.

Dzwoni do domu i prosi Zoe, żeby po nią przyjechała.

- Co się stało? - pyta Zoe, ale Caro milczy.

W domu biegnie do swojego pokoju. Drżącymi rękami ściąga niebieską sukienkę. Widzi, że ktoś napisał: SZMATA, na rąbku spódniczki. Pierze i pierze, ale atrament nie schodzi.

Caro wraca ze szkoły, ciska książki na kanapę, idzie do swojego pokoju i zamyka drzwi na klucz. Wkłada piżamę i puszcza Pieśni Camelotu. Gasi światło, kładzie się i w kółko słucha Tristana.

I tak od stycznia, a jest już marzec. Caro myśli, że to nigdy się nie zmieni. Po co w ogóle próbować? Nie ma sensu i już. Szkoła to koszmar, wszyscy mają ją za szmatę, Brian to kawał drania, jej życie to pasmo niepowodzeń,

- Nienawidzę cię - szepcze w poduszkę.

Nie czuje bólu, tylko gdy leży w ciemności, zasłuchana w Pieśni Camelotu.

Pewnego dnia wraca ze szkoły i widzi Zoe na ganku. Stoi z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Mam tego dosyć - oznajmia. - Mam po dziurki w nosie twoich szczeniackich wybryków. Mam po dziurki w nosie pizamy w środku dnia i w kółko tej samej ponurej muzyki. Posłuchaj mnie, młoda damo. - Celuje w nią palcem. Caro wie, że wypła kilka drinków. - Zabierasz się do pracy.

- O co ci chodzi?

- Będziesz grać.

Caro czuje naraz złość i głęboką ulgę, ale okazuje tylko złość.

- Oszalałaś? - cedzi lodowatym głosem. - Nigdy w życiu już niczego nie zagram. Wtedy wystąpiłam, bo mnie zmusiłaś, ale teraz jestem na to za stara. Daj mi spokój.

Zoe milczy przez chwilę. W końcu mówi jakby od niechcenia:

- Nic się nie dzieje ot tak, na zawołanie. Mam tylko jedną, jedyną prośbę. Zrób sobie nowe zdjęcia do portfolio. Ostatnie masz sprzed, nie pamiętam już, dwóch lat? Bardzo się zmieniłaś przez ten czas, jeszcze wyładniałaś.

Uśmiecha się do córki.

Caro marszczy brwi.

- Masz bzika - burczy, ale w głębi ducha cieszy się na nowe zdjęcia. - No dobrze - wzdycha w końcu. - Ale nie licz na nic więcej. Nie pozwolę, żebyś znowu zrujnowała mi życie.

Następnego dnia po powrocie ze szkoły Caro znajduje na swoim łóżku dużą torbę od Saksa. Otwiera ją, zaciekawiona: w środku jest wieczorowa suknia ze śliwkowego aksamitu, wykończona koronką przy dekolcie. Przepiękna.

Zoe zagląda do pokoju. Caro nie chce, żeby widziała, jak bardzo podoba jej się sukienka.

- Jutro o trzeciej jesteś umówiona w salonie Elizabeth Arden - informuje Zoe. - Sesja o wpół do piątej.

Caro się krzywi.

Krzywi się też następnego dnia w salonie piękności. Roberto pyta, co zrobić z jej włosami. Caro tylko wzrusza ramionami.

- Myślałam o czymś w stylu lat pięćdziesiątych - wtrąca się Zoe. Nie zwraca uwagi na Caro.

Roberto zabiera się do pracy. Kończy i klaszcze w dłonie.

- Młoda Grace Kelly! - krzyczy i kręci fotelem tak, żeby Caro mogła się przejrzeć.

Caro jest zachwycona nową fryzurą. Nie może się nie uśmiechnąć.
Czas na sesję zdjęciową.

- Mam dla ciebie niespodziankę - zapowiada Zoe. - Hans Lasky jest w Hollywood i to on cię sfotografuje.

- Ma już chyba ze sto pięćdziesiąt lat - prycha Caro, ale jest poruszona.

Jadą do atelier. Caro wkłada suknię ze śliwkowego aksamitu.

Hans Lasky jest mały, chudy i pomarszczony, jak zawsze.

- Jesteś jeszcze piękniejsza - mówi do Caro i całuje ją w rękę. Przypomina, że już się poznali, kilka lat wcześniej, gdy kręciła Drzewo na Brooklynie.

- Pamiętasz mojego wnuka Stevena? Był wtedy ze mną, zrobił ci zdjęcie.

Oczywiście, że pamięta. Słucha, jak Hans Lasky opowiada o tym dniu, a jej ściska się gardło. Powróciły wspomnienia. Przypomina jej się tamten dzień na planie, listy od fanów, uczucie, że jest kimś ważnym. Nie zawsze była samotną, lekceważoną, nielubianą uczennicą. Nie zawsze wkładała piżamę o trzeciej po południu tylko dlatego, że nie miała nic lepszego do roboty.

Fala wspomnień zalewa ją w trakcie sesji. Caro widzi Zoe, uśmiechniętą i dumną. Słyszy, jak Hans Lasky zapewnia, że wygląda jak anioł, że jest bardzo sexy. Nagle jej ciało przejmuje kontrolę; instynktownie wie, jak pozować, pod jakim kątem nachylić głowę. Jak mogła o tym zapomnieć? Niewiarygodne. Jak mogła bez tego żyć?

Przypomina sobie Briana i słowo „szmata” na sukience. Teraz to się wydaje takie trywialne, takie nieważne. Liczy się tylko pochylenie głowy i jej uśmiech w błysku flesza,

W drodze do domu Zoe proponuje, żeby Caro zgłosiła się na casting do szkolnego musicalu. Caro waha się tylko przez chwilę.

- Dobrze - mówi.

Szkoła wystawi Bye, bye, Birdie. Przesłuchania odbędą się w czwartek po lekcjach. Zoe natychmiast wkracza do akcji.

- Zgłoś się do roli Kim.

- Ale przecież Rosie jest lepsza.

- Jasne, dla dorosłej aktorki, nie dla ciebie. Nastolatka nigdy nie zagra przekonująco dorosłej kobiety. Ale będziesz cudowna jako uczennica. Zresztą popatrz tylko, co Ann - Margaret osiągnęła dzięki tej roli.

Więc Caro zgłasza się do roli Kim. Jej przesłuchanie zaczyna się za dziesięć czwarta, ale ona przychodzi wcześniej. Uczniowie wchodzą do sali pojedynczo, lecz drzwi otwierają się co chwila i Caro słyszy prawie wszystko, co się tam dzieje. Słyszy, jak Tessa Armbrister śpiewa *Somewhere Over the Rainbow*. Słyszy, jak Mimi Carruthers wygłasza monolog Rosie. Słyszy, jak Mindy Peters śpiewa *I Got Rhythm*, Te dziewczyny były dla niej okropne, a żadna z nich nie ma za grosz talentu. Nie do wiary, że kiedyś ją obchodziło, co sobie o niej pomyślą.

Jest za dziesięć czwarta.

- Caro Andrews! - woła pan Stein, instruktor teatralny.

Caro z szerokim uśmiechem wchodzi do klasy. Zoe poradziła jej, w co się ubrać. Ma na sobie kaszmirowy sweterek, spódnicę w kratę, skarpetki i buciki z paskiem - zupełnie jak Kim. I do tego nowa fryzura.

Śpiewa *Just the Way You Look Tonight*, śpiewa, patrząc na pana Steina.

Sądząc po tym, jak wyprostował się na krześle, osiągnęła zamierzony efekt.

Następnego ranka Caro podchodzi do tablicy ogłoszeń i sprawdza obsadę musicalu. Jej nazwisko jest na samej górze - zagra Kim.

Zaczynają się próby. Już po pierwszej Caro wie, że przedstawienie będzie fatalne. Chłopiec, który gra Alberta, przechodzi mutację. Rosie śpiewa na jednej nucie. Hugo sepleni. Ale to wszystko nieważne. Ledwie Caro wychodzi na scenę, wszystkie problemy zostają za nią. Tutaj wreszcie jest sobą i gra lepiej niż wszyscy pozostali.

Zoe już snuje plany.

- Wyślemy zaproszenia wszystkim specjalistom od castingów. Bardzo poważne i profesjonalne, napiszemy tylko, że występujesz. Załatwię więcej biletów. Zaprosimy Hanka Blooma z *Universalu* i Danę Fellows. O, i jeszcze niedawno spotkałam Marge O'Connor, wspominała, że w NBC mają scenariusz nowego serialu, w którym jest rola dla dziewczyny w twoim wieku. Tak, zaprosimy też ludzi z NBC. Nie zaszkodzi.

Premiera odbędzie się wieczorem dwudziestego trzeciego maja. Tego dnia po lekcjach Caro po raz ostatni przed występem wchodzi do auli.

Dookoła urwanie głowy. Scenografowie i pomocnicy uwijają się jak w ukropie. Rodzice męczą się z automatem do kawy. W holu powstaje bufet. A na tablicy ogłoszeń wiszą zdjęcia aktorów. Caro patrzy na siebie w sukni ze śliwkowego aksamitu.

Ktoś staje koło niej. Lindsey Sanders, która też starała się o rolę Kim.

Lindsay przygląda się jej uważnie.

- Niektóre to zrobią wszystko, żeby dostać rolę.

Caro marszczy brwi.

- Słucham?

- Wszyscy wiedzą o tobie i panu Stein.

Caro zamiera.

- Po próbach, no wiesz... - Lindsay kręci głową. - Ale z ciebie szmata. Ale i tak ci to nie pomoże - dodaje ze złośliwym uśmiechem - wszyscy mówią, że jesteś beznadziejna.

Odwraca się. Caro czeka, aż ona sobie pójdzie, i idzie do pustej auli.

Ciężko opada na fotel.

Rozgląda się, wyobraża sobie, jak wieczorem w sali będzie pełno widzów, którzy przyszli, by zobaczyć ją w roli Kim.

„Wszyscy mówią, że jesteś beznadziejna”.

Sala się zapełnia: przychodzą dzieciaki ze szkoły, te same, które się z niej nabijają, które jej nie znoszą, które nazywają ją szmatą. Będą zachwycone, gdy się pomyli, zapomni tekstu, zafalszuje, Wyjdzie na scenę po spektaklu i nie usłyszy oklasków.

Caro zdaje sobie sprawę, że to bzdura. Wie, że przez Lindsay przemawia zazdrość. Wie, że jest dobra. A jednak na jej skroniach pojawiają się krople potu. Powracają słowa aktora z tamtego przyjęcia: „Nie masz za grosz talentu. Za grosz. Miałaś tylko łut szczęścia”. „Wszyscy mówią, że jesteś beznadziejna”.

Caro zrywa się na równe nogi. Pójdzie do domu i opowie o wszystkim Zoe. Matka ją utuli i zapewni, że ma wielki talent. Pokonuje biegiem sześć przecznic do domu. Zoe nie ma.

Caro idzie do siebie. Puszczą płytę Tristana, ale to nie poprawia jej humoru. Kąpie się, lecz nie może się odprężyć. Siedzi w wannie i martwi się, jak zagra Kim.

W końcu wychodzi. Wyciera się i nago idzie do salonu. Podchodzi do barku Zoe, patrzy na kryształowe karafki ze złocistym płynem. Odkąd pamięta, Zoe robiła sobie drinka, żeby się uspokoić. Dzisiaj Caro ma premierę: chyba zrozumiała, że też chce się uspokoić?

Nalewa sobie whisky do kryształowej szklanki. Wygląda pięknie. Smakuje ohydnie. Ciekawe, czy kiedy wypije ją do dna, nadal będzie słyszała głos Lindsay? Sprawdza. Słyszy.

Dolewa sobie. Zamyka oczy i znów wypija do dna. „Wszyscy mówią, że jesteś beznadziejna”. „Nie masz za grosz talentu”.

Alkohol nie pomaga. Wściekła, dolewa sobie po raz trzeci. Tyle gadania, co to alkohol robi z człowiekiem, a tu nic. Kolejne kłamstwo dorosłych.

Podchodzi do kanapy i dopiero wtedy widzi liścik od matki:

- Skarbie, katastrofa w pracy, nie wrócą do domu przed premierą. Idź samą do szkoły i wypatruj mnie, pierwszy rząd, sam środek. Już nie mogą się doczekać, kiedy zobaczą moją małą gwiazdę. Połamania nóg.

Caro zastanawia się, która jest godzina. Odwraca się, żeby spojrzeć na zegarek, ale niewidzialni ludzie trzymają ją z całej siły. Próbuje jeszcze raz. Nagle żołądek podchodzi jej do gardła i Caro wymiotuje na stolik. Kręci jej się w głowie. Meble są chyba z papieru targanego wiatrem, bo dlaczego hulają po całym pokoju?

Kładzie się na plecach i oddycha głęboko. Po kilku minutach siada ostrożnie i patrzy na zegarek. Ma niecałe półtorej godziny do wyjścia na scenę.

Nie przypuszczała, że tak to jest, kiedy się człowiek upije. Nie wie, co robić. I wtedy przypomina sobie o kawie.

Wstaje powoli. Nie myślała, że to takie trudne. Człapie do kuchni, wyjmuje rozpuszczalną kawę z szafki. Gotuje wodę, wsypuje trzy, cztery łyżeczki kawy do kubka. Jeden łyk i znowu wymiotuje.

Wraca do salonu, kładzie się na kanapie. Nie pomaga.

Siada. Może woda. Woda na pewno jej pomoże. Pije. Nic z tego.

Idzie do swojego pokoju. Powtarza sobie, że jak się ubierze, to wytrzeźwieje. Wkłada sukienkę, ale nadal czuje się fatalnie. Szczotkuje włosy, lecz zaraz przestaje, bo kręci jej się w głowie.

Świeże powietrze. Oto czego jej trzeba. Wychodzi z domu i idzie do szkoły. Powtarza sobie, że każdy oddech przynosi ulgę. Przy każdej przecznicy jest jej lepiej, a zanim dojdzie do szkoły, wszystko będzie w porządku i zagra Kim.

Dochodzi do szkoły. Idzie za kulisy.

- Cześć, Caro. - Pan Stein się uśmiecha.

Caro przypomina sobie słowa Lindsay. Pan Stein ma wielki brzuch i rozczochrane włosy. Sama myśl, że miałaby się z nim całować, jest szalenie zabawna. Caro się śmieje. Nie może się opanować. Śmieje się coraz głośniej.

Pan Stein dziwnie się jej przygląda.

Podchodzi niebezpiecznie blisko. Caro myśli, że chce ją pocałować, ale on tylko wacha.

- Mój Boże - mówi. - Jesteś pijana. Zalana w trupa. Nie wystąpisz.

Caro kryje się za kulisami. Usłyszała, że jest zawieszona w prawach ucznia, może nawet wyleci ze szkoły. Nic jej to nie obchodzi. Przeraza ją myśl o Zoe, Zoe w pierwszym rzędzie, wśród przyjaciół z NBC i Universalu, Zoe czekającej na jej występ.

Ale do tego nie dochodzi. Ledwie Zoe pojawia się w holu, podbiega do niej pan Stein. Zoe dowiaduje się, co się stało. Ma natychmiast zabrać Caro do domu.

Zoe biegnie za kulisy. Nic nie mówi. Bierze Caro w ramiona i wyprowadza.

Lecz Caro do końca życia będzie śnić się ta scena: Zoe na widowni, czekająca na jej występ.

Caroline

Dorastałam w Nowym Jorku, pisze Caroline w podaniu na studia. To wielkie miasto, ale moje życie było małe. Małe życie to coś dla mnie. Może dlatego, że mój ojciec jest architektem. Przynosi do domu makiety z małymi domkami i ludzikami, takie małe światy.

Jako dziecko chodziłam do bardzo dobrej szkoły. Sprawdzano, czy mamy czyste paznokcie, nosiłyśmy mundurki i co wieczór czyściłyśmy buty. Potem byłam w bardzo dobrej szkole z internatem w New Hampshire. Wtedy czyszczenie butów weszło mi już w krew.

Po studiach pewnie zamieszkać w Nowym Jorku, pewnie zostanę architektem i będę przynosiła do domu makiety. Pewnie dobrze wyjdę za mąż i zamieszkać w schludnym mieszkaniu, i urodzę dziecko, któremu będę sprawdzać paznokcie.

I właśnie dlatego chcę studiować. Zanim dopadnie mnie ta przyszłość, chciałabym zakosztować innego, pełniejszego życia.

Wyjeżdża do Yale w ponury jesienny dzień. Ojciec odprowadza ją na stację.

- Na pewno nie chcesz, żebym cię zawiózł?

- Nie - zapewnia. - Pojadę pociągiem.

To jej własna decyzja. Nie jak szkoła z internatem, do której ją odesłano. Tym razem to ona wyjeżdża. Kiedy pociąg ruszy, będzie patrzyła, jak jej przeszłość maleje na peronie.

- Jesteśmy z ciebie dumni - mówi Barton.

Wyjmuje z kieszeni kartkę. Caroline jest zaintrygowana - napisał do niej list? Chowa karteczkę do portmonetki.

- Jeśli, czas pozwoli, odwiedzę cię - obiecuje ojciec - A na Święto Dziękczynienia ty przyjedziesz do nas.

- Świetnie.

Całuje go i wsiada do pociągu. Siedzi sama na wytartym siedzeniu, dwie walizki tworzą barykadę wokół niej.

Rozkłada karteczkę. To jednak nie list. Ojciec zapisał jej nazwisko znajomego profesora z Yale, z katedry iberystyki; gdyby chciała uczyć się hiszpańskiego, ma się zwrócić do tego pana. Caroline gniecie karteczkę i upuszcza na podłogę.

Staje przed nią pulchna kobieta w średnim wieku.

- Przepraszam, czy to miejsce jest zajęte?

Caroline kręci głową, zdejmuje jedną walizkę i kobieta siada.

- Dokąd się pani wybiera? - pyta.

- Na studia - odpowiada Caroline ostrożnie.

- Wspaniale! Pamiętam, kiedy po raz pierwszy wyjechałam z domu... - Udziela Caroline mnóstwo rad.

Caroline nie przyznaje się, że od dwunastego roku życia mieszkała w internacie.

- Ma pani szczęście - stwierdza kobieta. - Jest pani taka młoda.

Caroline długo nad tym myśli.

- Sama nie wiem - odpowiada w końcu. - Nie bardzo się cieszę. Właściwie jestem już zmęczona, a przecież jeszcze nawet nie zaczęłam studiów.

Opiera się wygodniej i zamyka oczy.

Yale nie jest złe, ale życie Caroline nie stało się wcale pełniejsze.

Studia niewiele się różnią od szkoły z internatem. Podoba jej się, że każdy dzień jest przewidywalny. Wstaje o siódmej i je śniadanie z Delores, koleżanką z pokoju. Delores jest czarna. Pochodzi z Wirginii. Rano jest wiecznie zaspana i niewiele mówi, ale miło jest mieć towarzystwo.

Później są zajęcia. Caroline wybrała francuski, psychologię, angielski, historię sztuki i seminarium z francuskiego impresjonizmu. Seminarium lubi najbardziej; studiowanie obrazów to dla niej uczta duchowa, co za rozkosz zapadać się w każdy barwny obraz, wymyślać historie o ludziach na płótnie. Czasami wychodzi z sali półprzytomna.

Po zajęciach chodzi do biblioteki. Ma prawie cały budynek dla siebie; na początku roku ostrzegano studentów, że biblioteka zagraża zdrowiu, bo w ścianach wykryto azbest. Póki problem nie zostanie rozwiązany, studenci przebywają w tym budynku na własną odpowiedzialność.

Caroline bawi myśl, że praca ją zabija, i to dosłownie. Czasami podnosi głowę znad książek i celowo, rozmyślnie, głęboko nabiera powietrza w płuca. Trzepotanie na krawędzi.

Po zajęciach idzie na spacer. Zazwyczaj przechadza się Connecticut Avenue. Studenci nie powinni, ze względów bezpieczeństwa, zapuszczać się zbyt daleko, ale Caroline ignoruje ostrzeżenia. Lubi wąskie uliczki. Dostrzega wysiłki mieszkańców, by upiększyć zaniedbaną okolicę: tu kwiaty w oknie, tam wesołe dziecięce zabawki. W poniedziałki idzie w przeciwną stronę. Niedaleko teatru odkryła mały sklepik z reprodukcjami. Co tydzień na wystawie są nowe dzieła. Caroline jest zachwycona: ktoś zadaje sobie tyle trudu dla marnej widowni. Postawiła sobie za punkt honoru chodzić tam i podziwiać.

W niedziele zagląda na cmentarz. Zatrzymuje się przy starych, zapomnianych grobach i studiuje inskrypcje. Przypominają jej sklep z reprodukcjami - tyle trudu dla marnej widowni.

A później jest już czas na kolację.

To najgorsza część dnia. Delores jada zazwyczaj z koleżankami z drużyny piłkarskiej. Caroline wchodzi do stołówki pierwsza, zanim zwałą się tłumy. Wsadza nos w książkę i je sama.

Delores nazywa ją ślimakiem.

- Jeszcze cię wykurzę z tej skorupy! - odgraża się i regularnie wyciąga Caroline do kina czy na studencki spektakl.

Caroline to lubi, ale najchętniej zostaje w pokoju. Ma wrażenie, że energia wycieka z niej powoli, ale stale, i trzeba ją oszczędzać.

Raz w tygodniu dzwoni do ojca. Zawsze go interesuje, czego się nauczyła, kończąc rozmowę, powtarza, jak się cieszy na ich spotkanie w Święto Dziękczynienia. Nie proponuje, żeby przyjechała wcześniej.

Caroline siedzi w bibliotece i przygotowuje prezentację, którą w przyszłą środę ma przedstawić na seminarium o impresjonizmie. Ma przeprowadzić analizę dowolnego dzieła.

Denerwuje się tak bardzo, że jeszcze nie wybrała obrazu. Ma coraz mniej czasu, dzisiaj musi się zdecydować.

Otwiera album z reprodukcjami, powoli przekłada kartki. I nagle zastyga w bezruchu. Patrzy na dziwny obraz Maneta: na peronie kolejowym siedzi młoda kobieta, tajemnicza i smutna. Obok niej, z twarzą zwróconą w stronę odjeżdżającego pociągu, mała dziewczynka, ubrana, podobnie jak kobieta, na niebiesko. Wygląda dziwnie - jest przygnębiona i jakaś ulotna, jakby tak naprawdę wcale jej tam nie było.

Caroline bardzo długo patrzy na ten obraz.

Stoi na środku sali, ze wskaźnikiem skierowanym na slajd.

- Wydaje mi się, że kobieta wspomina dzieciństwo. Poszła wtedy na stację kolejową i czekała na ojca. On jednak nie wrócił, zginął w katastrofie. Dziewczynka obok kobiety... wygląda tak nierealnie, bo jest tylko duchem.

Ciche parsknięcie.

Caroline spuszcza wzrok. Mówi coraz ciszej, coraz bardziej niepewnie. Otaczają ją sceptyczne, wrogie twarze.

Dostaje wypieków. Jest mokra od potu. Kończy ze wzrokiem wciąż wbitym w podłogę. Po prezentacji odkłada wskaźnik i wybiega z sali.

Jest szary listopadowy wieczór. Caroline je kolację w kącie stołówki.

- Mogę się przysiąc?

Podnosi głowę. Przy jej stoliku stoi ciemny blondyn w dżinsowej kurtce.

- Graham Moss - przedstawia się. Siada i wyciąga rękę. - Jesteśmy razem na impresjonizmie.

- Aha.

- Nie widziałem cię ostatnio na zajęciach.

- Wypisałam się.

Marszczy brwi.

- To błąd. Bardzo mi się podobała twoja prezentacja o Manecie.

Zagryza wargę, przekonana, że z niej żartuje. Ale chyba nie.

- Nie wiem do końca, czy się z tobą zgadzam, ale zauważyłaś kilka ważnych rzeczy. Tylko że tutaj wszyscy traktują wszystko śmiertelnie poważnie, a ty opowiedziałaś nam historię jak z bajki. - Uśmiecha się. - Chociaż, powtarzam, bardzo mi się podobała.

Caroline wzrusza ramionami.

- Dzięki.

- Zawsze jadasz sama - ciągnie. - Z wyboru?

- Chyba tak - przyznaje. - Ale jak chcesz, możesz się dosiąść.

Jeszcze nie skończyli jeść, a Caroline już wie wszystko o Grahamie. Jest na drugim roku, pochodzi z Filadelfii, jego ojciec nie żyje od dwóch lat i kiedy Graham tylko może, jeździ do matki. Po studiach chciałby zostać krytykiem sztuki, a jeśli to się nie uda, architektem.

- A ty? - pyta w końcu.

Caroline robi się słabo na myśl, co miałyby mu powiedzieć.

- Porozmawiamy o tym innym razem - wykręca się.

Chwila ciszy.

- Słuchaj, dzisiaj jest przedstawienie grupy teatralnej - mówi w końcu Graham. - Reżyser mieszka obok mnie, więc obiecałem, że przyjdę. Wybierzesz się ze mną?

- Dobrze.

Po spektaklu łązy napływają Caroline do oczu. Nie wiadomo dlaczego przypomniał jej się cementarz i sklep z reprodukcjami.

- To takie piękne - szlocha. - I smutne. Graham jest rozbawiony.

- Coś takiego - obejmuje ją ramieniem. - Co za beksa z ciebie. -

Przytula ją.

Dżinsowa kurtka jest ciepła i miła w dotyku.

Wychodzą z teatru w zimną noc. Wciąż obejmuje ją ramieniem.

- Co teraz? - pyta. I zaraz mówi: - Mieszkam tu. Mam pojedynczy pokój.

Caroline wbija wzrok w ziemię. Nie bardzo wie, co to znaczy, ale się zgadza:

- No to chodźmy.

Początkowo wydaje się, że Graham naprawdę chciał tylko, żeby zobaczyła, jak mieszka. Pokazuje jej zdjęcia rodziców i domu, w którym

się wychował, wyjmując swoje szkice. Caroline chwali co lepsze, ale sądzi, że on nie ma wielkiego talentu.

Siedzi na łóżku, bo tylko tam można rozłożyć jego prace. Graham składa je, siada koło niej i znowu obejmuje ją ramieniem.

- Mogę cię pocałować? - pyta.

Caroline sztywnieje.

- Nie.

Graham nie kryje zdziwienia.

- Ja... po prostu nie.

Graham marszczy brwi.

- Nie ma sprawy.

Caroline jest przykro, że tak to się kończy. To miły chłopak i chyba czuje się dotknięty. Sama nie wie, dlaczego tak zareagowała, zwłaszcza że jakaś jej część chciała się z nim całować.

Caroline jedzie do domu na Święto Dziękczynienia. Meg bardzo się stara: wita ją od progu, ściska, wypytuje o studia. Jednak Caroline wyczuwa, że mimo pogodnego głosu wołałaby, żeby jej tu nie było.

Caroline spędza jak najwięcej czasu poza domem. Chodzi do muzeów i do parku. Wszędzie widzi pary - siedzą na ławkach, trzymają się za ręce, całują się. Myśli wtedy o Grahamie i tamtej nocy w jego pokoju. Żałuje, że zachowała się tak, a nie inaczej.

W sobotę po południu ojciec woła ją do gabinetu.

- Nie mieliśmy właściwie okazji pogadać - zaczyna.

Caroline nieśmiało siada na fotelu.

- Podoba ci się w college'u? - pyta Barton. - Tak.

- Wiesz już, czym się zajmiesz po studiach?

Wie bardzo dobrze. Nie chciała jeszcze mówić o tym ojcu, ale skoro zapytał i tak miło się uśmiechnął. Głęboko nabiera tchu:

- Chciałabym zostać architektem. Jak ty.

Czeka na jego reakcję.

Barton milczy. Nie mówi, że to wspaniale. Nie mówi, że zawsze o tym marzył. Nie mówi, że kiedyś będą pracowali razem.

- Nie jestem pewien, czy to dla ciebie odpowiedni zawód - oświadcza w końcu. - Chyba jesteś za słaba z matematyki. Poza tym na tym rynku jest mordercza konkurencja, nie wiem, czy masz dość determinacji.

Caroline opowiada o bibliotece, żeby mu udowodnić, ile w niej determinacji. Mówi, jak uczy się tam dzień w dzień, mimo azbestu w ścianach.

Barton się uśmiecha.

- Nie przejmowałbym się tym za bardzo. Aż tak długo tam nie siedzisz.

- Wracam dzisiaj do New Haven - oznajmia ojcu i Meg przy kolacji.

- Tak szybko? - dziwi się Barton. - Myślałem, że zostaniesz do jutra.

- Wolałabym pojechać dzisiaj, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Mówią, jak im przykro, że nie zostanie dłużej, ale nie nalegają.

W Yale okazuje się, że jest niemal sama w kampusie. Jak duch włóczy się po opustoszałych uliczkach. Czuje pustkę: nici z planów, nie będzie architektem. Zresztą to i tak było bez sensu; chciała sprawić przyjemność ojcu, ale wcale się nie ucieszył. Siada na kamiennej ławce i obserwuje swój oddech, unosząc się w powietrzu białą chmurkę.

- Caroline?

Podnosi głowę. Idzie ku niej postać w zielonym sztruksowym płaszczu.

Graham.

Idą na kawę. Pyta ją o Święto Dziękczynienia. Łzy napływają jej do oczu. Opowiada o udającej przyjaźń Meg i o ojcu - jak się śmiał z azbestu w ścianach i jak skwitował jej plany.

- Nie chcą mnie, nie chcą mnie - powtarza.

Graham niewiele mówi, ale trzyma ją za rękę.

Dopili kawę. Patrzą sobie w oczy.

- Co teraz? - pyta Graham.

Cisza.

- Chciałabym pójść do ciebie - mówi w końcu.

Idą do jego pokoju, siadają na łóżku. Graham znowu pyta, czy może ją pocałować. Tym razem Caroline się zgadza. On nie wspomina, jak to było ostatnio, za co jest mu wdzięczna.

Po pewnym czasie pyta, czy chce się z nim kochać.

Caroline nie przychodzi do głowy żadna rozsądna wymówka.

Później pyta:

- Jak się czujesz?

Nijak. Ani winna, ani szczęśliwa, ani jakoś bardziej z nim związana.

Ale trzeba było coś zrobić, więc czemu nie to.

Być z kimś - to wcale nie jest tak, jak sobie wyobrażała. Myślała, że poczuje się inaczej. Myślała, że bardziej optymistycznie spojrzy na

świat. Nic z tego. Chyba popełniła błąd - po tym wszystkim, co się zdarzyło w jej życiu, jakby utraciła niewinność.

- Bzdura - burczy Delores. - Problem w tym, że to nieodpowiedni facet dla ciebie.

- Myślisz się - zapewnia Caroline. - Graham jest w porządku.

I jest. Ciepły, kochany, zabawny. Szczęściara z niej, że go ma.

Mijają tygodnie. Caroline coraz częściej zastanawia się, choć specjalnie się tym nie przejmuje, co dalej. Chyba powinna powiedzieć rodzicom o Grahamie, ale jakoś tego nie robi. On zresztą też nie zaprasza jej do Filadelfii.

Aż w marcu, ku jej zaskoczeniu, oznajmia, że jedzie z wizytą do matki i chciałby, żeby się z nim wybrała.

- Czas, żebyście się poznały - mówi uroczyście.

- A więc ty jesteś Caroline.

Nina Moss jest niska i szczupła. Zadbana.

- Caroline Grahama - dodaje powoli.

Klepie adamaszkowe obicie kanapy obok siebie.

- Siadaj - zaprasza syna. - Tak dawno cię nie widziałam.

Opowiada mu nowiny. Papele o sąsiadach, przyjęciach i kuzynach. Co chwila pojawia się imię Arlene. Graham wierci się wtedy niespokojnie. Pewnie to jego dawna dziewczyna.

- No dobrze - mówi wesoło Nina. - Tyle o mnie. A co u mojego synka?

Graham opowiada. Opowiada o egzaminie z ekonomii, o zabawnych wykładowcach, o sąsiadach z akademika. Nina słucha zafascynowana.

Caroline siedzi cała sztywna. Czeką, aż powie coś i o niej, aż jej imię pojawi się w tych jego opowieściach. Daremnie. Wygląda przez okno. Graham i jego matka śmieją się i nie przestają gadać.

Caroline i Delores piją piwo. Caroline kończy trzecią butelkę. Nigdy tyle nie wypila; w jej głowie wiruje szara mgła.

- To było okropne - powtarza w kółko. - Ledwie tam weszliśmy, przestałam istnieć.

Delores kiwa głową.

- Rzuć go. Co ci mówiłam?

Caroline kręci głową.

- Nie, Delores, on jest w porządku, naprawdę.

Delores sceptycznie przewraca oczami.

- Stać cię na kogoś lepszego.

Caroline dopija piwo. Długo milczy.

- Problem w tym - mówi w końcu - ze sama w to nie wierzę.

- Oszalałaś.

Caroline ostrożnie odstawia pustą butelkę.

- Coś ci opowiem - zaczyna. Jakoś trudno jej się wysławić. - Kiedy miałam siedem lat, pojechałam do matki, do Kalifornii. Bardzo chciałam mieć taką lalkę. Małego Skarba.

- Ja miałam!

- Super, ale posłuchaj. Poszliśmy do sklepu z zabawkami. Lalka była, ale ostatnia, i ktoś ukradł łóżeczko i krzeselko. Mama chciała, żebyśmy poszły do innego sklepu, tylko że ja bałam się, że tam w ogóle jej nie będzie, i wy błagałam, żeby kupiła mi tę wybrakowaną. Potem poszliśmy do innego sklepu z zabawkami i na wystawie było tych kompletów ze sto, wszystkie idealne. Pamiętam, co wtedy powiedziała: „To dobra lekcja. Niektórzy mogliby się z niej wiele nauczyć”.

Delores kręci głową.

- Cóż, mała, najwyraźniej lekcja poszła na marne. - Lekko szturcha Caroline w bok. - Tym razem lepiej poczekaj.

Siedzą w milczeniu.

- Kiedyś znałam jednego chłopca - mówi nagle Caroline. - Poznałam go, kiedy miałam dwanaście lat. A później, kiedy miałam piętnaście, zabrał mnie na herbatę. Nie widziałam go od tego czasu, ale do dzisiaj czasem o nim myślę.

Delores unosi brwi:

- I?

Caroline wzrusza ramionami.

- I nic.

Caroline kończy przedostatni rok studiów. Nadal jest z Grahamem. Zrobił już dyplom i pracuje w Nowym Jorku, ale na weekendy przyjeżdża do niej.

Zmierzają ku małżeństwu. Wie o tym nawet jego matka. Kiedy ostatnio pojechali do Filadelfii, wypytywała Caroline o jej rodzinę i studia. A kiedy dzwoni do Grahama, przekazuje pozdrowienia dla Caroline.

W maju Graham się oświadcza. Zaprasza Caroline na uroczysty niedzielny obiad i prosi, żeby za niego wyszła. Nie jest pewna, co odpowiedzieć, ale „tak” wydaje się prostsze.

Nie wiadomo skąd na stole pojawia się szampan, kelnerzy biją brawo.

Caroline jest zła, że Graham był taki pewny swego.

- Pobieramy się z Grahamem - oświadcza następnego ranka ojcu i Meg.

- Nasze gratulacje. - Są szczęśliwi, ale nie zaskoczeni.

- Zaopiekuje się tobą - dodaje Barton.

Caroline ostatnio rzadko widywała Delores, lecz po powrocie do Yale biegnie powiedzieć jej o wszystkim.

- Cześć, mała! - Delores obejmuje ją serdecznie. - Co słychać?

- Wychodzę za Grahama.

Delores powoli siada na kolorowej narzucie.

- Jesteś pewna?

I Caroline odkrywa, że tak.

- Tak. Chyba będzie dobrze. Świetnie się rozumiemy.

Delores kręci głową.

- W takim razie trzymam kciuki, żebyś któregoś dnia nie straciła głowy dla innego faceta.

Ona miałaby stracić głowę dla innego faceta? - śmiechu warte.

- Obiecuję, że do tego nie dojdzie.

Cisza.

- Jestem zaproszona na ślub? - pyta Delores.

- Pytanie!

- A będą hot dogi?

Caroline ją obejmuje.

- Specjalnie dla ciebie.

Caroline jedzie pociągiem na weekend do Nowego Jorku. Ktoś zostawił „New York Timesa” na siedzeniu obok i od niechcienia przegląda gazetę. W kronice towarzyskiej jest zdjęcie ładnej blondynki i podpis: Marjery Chatmers wychodzi za Stevena Lasky'ego.

Caroline odkłada gazetę. A więc tak. Steven Lasky się żeni. A ona wychodzi za męża. Ciekawe, które z nich będzie szczęśliwsze.

Caro

Zoe wchodzi do pokoju Caro i siada na łóżku. - Dzwonił dyrektor szkoły - mówi. - Zawiesili cię.

Caro tylko kiwa głową. Jest rano po premierze. Wymiotowała całą noc. Nie wiedziała, że głowa może aż tak boleć.

- Będzie dochodzenie - ciągnie matka. - Ten kretyn od zajęć teatralnych chce cię wyrzucić. - Zapala papierosa. - Może to i lepiej - dodaje, wzruszając ramionami. - Pójdiesz do szkoły teatralnej.

- Nie chcę iść do szkoły teatralnej - burczy Caro. - Mam dopiero piętnaście lat. Chcę tylko chodzić do szkoły.

Caro i Zoe umawiają się z panem Steinem. Spotkają się po południu. Caro szlocha i przeprasza. Zoe zapewnia, że do wczoraj Caro nie miała alkoholu w ustach. Caro płacze coraz głośniej.

W końcu pan Stein zgadza się, żeby została w szkole.

- Ale nie waż się więcej startować w moich spektaklach - mówi na pożegnanie.

Wreszcie nadchodzi lato. Caro jedzie do Nowego Jorku, do ojca, Meg i Adama. Nie mogła się doczekać, żeby się wyrwać z Los Angeles. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zapomni o spektaklu. W Nowym Jorku wszystko się ułoży.

Ale ledwie wysiadła z samolotu i zobaczyła ojca, zrozumiała, że to nie takie proste.

Podczas jazdy do domu Barton prawie się nie odzywa. Nie porusza drażliwego tematu i Caro zaczyna mieć nadzieję, że nigdy tego nie zrobi. Lecz już w domu, gdy rozpakowuje się w swoim pokoju, on wchodzi i siada na łóżku.

- Caro, musimy porozmawiać.

Godzinna przemowa. O tym, jak bardzo go rozczarowała, jak sprawiła zawód całej szkole, okazała się nieodpowiedzialna, a przecież alkohol niejednemu już zrujnował życie...

Caro wzdycha i patrzy w okno.

Wchodzi Meg, ale to niewiele zmienia.

- Co ty, Barton! - kładzie mu rękę na ramieniu. - Caro nie musi tego wysłuchiwać. Jestem absolutnie pewna, że to się już więcej nie powtórzy. No, a teraz cieszymy się wakacjami. - Lecz mówi to wysokim, nerwowym głosem.

Nawet Adam się zmienił. Ma już siedem lat, interesują go zabawy z kolegami, potwory z kosmosu i telewizja.

Początkowo wszyscy się starają. Barton wraca wcześniej z pracy. Chodzą do kina i po zakupy, jadą na wycieczkę do Southampton. A jednak, nie wiadomo dlaczego, nie jest dobrze.

Z czasem przestają się wysilać. Barton pracuje coraz więcej. Meg udziela się w schronisku dla maltretowanych kobiet. Adam wraca do telewizora i potworów.

Caro jest najczęściej sama, włóczy się po Nowym Jorku. Widzi, jak bardzo miasto się zmieniło. Kiedyś było ekscytujące, teraz jest tylko zatłoczone i brudne. A może to ona jest inna.

Nie chce siedzieć sama w mieszkaniu, ale nie wie, co ze sobą zrobić. Najczęściej myszkuje po budynku, biega po schodach, zagląda do piwnicy, przesiaduje na balkonie.

Pewnego dnia wychodzi na dach i odkrywa, że nie jest tam sama. Widzi chłopaka mniej więcej w jej wieku, może trochę starszego, w podartych dżinsach, z długimi jasnymi włosami.

- Cześć - on odzywa się pierwszy. Wyciąga rękę z papierosem. - Zapalisz?

Caro siada koło niego i bierze papierosa. Choć jego ubrania są brudne, pachnie czystością.

- Mieszkasz tu? - pyta ją.

- Moja rodzina.

Kiwa głową.

- Wiem, o co ci chodzi. Oni, ale nie ty. - Znów kiwa głową. - Pyskam stąd jak najszybciej. Może już pod koniec wakacji.

- Dokąd?

- Do Montany. Zatrudnię się na ranczu.

Milczą oboje, wyobrażają sobie zachody słońca, rdzawe tumany kurzu i ryk krów.

- Jak ci na imię?

- Caro.

- Nie widziałem cię tutaj.

- Jestem tylko czasami.

- Szczęściara z ciebie.

- Tak. Wakacje tu są okropne.

Głęboko zaciąga się papierosem.

- Jeśli chcesz, mogę ci coś dać.

- Jak to?

- Żeby nie było tak okropnie.

- Aha.

Caro nigdy nie brała narkotyków. Boi się stracić kontrolę. Z drugiej strony, jeśli spróbuje tutaj, nikt jej nie zobaczy, poza tym chłopcem. Wzrusza ramionami.

- A ty jak się nazywasz? - pyta.

- Jordan -

Caro się śmieje. Jordan. Jak pan Stein.

- Dobra - mówi.

Regularnie spotykają się na dachu.

- Na co masz ochotę? - pyta Jordan za drugim razem.

- Nic, co mi rozwali mózg - zastrzega się. - Jestem aktorką.

Daje jej marihuanę.

Caro jest zadowolona. Odpowiadają jej cienkie, słodkie papierosy. A jeśli ma szklisty wzrok i plecie bzdury, trudno.

Kiedy pali, Nowy Jork znów staje się piękny. Na nowo dostrzega styl i klasę. Pewnego dnia zabiera na dach przenośny adapter i nastawia płytę Tristana Pieśni Camelotu. Muzyka jest delikatna, smutna i piękna. Caro płacze.

Jordan mówi, że kończy mu się gotówka, więc jeśli Caro chce dalej palić, musi skombinować pieniądze. To żaden problem. Kiedy nikogo nie ma w domu, idzie do gabinetu ojca i wyjmuje pięćdziesiątkę z szuflady.

Na początku lipca Jordan zapowiada, że wyjeżdża na długi weekend.

- Rodzice zabierają mnie pod namiot - krzywi się.

- Baw się dobrze - mówi Caro.

- Mam coś dla ciebie. - Podaje jej dwa skręty. Powinno ci wystarczyć do mojego - powrotu.

Caro chowa skręty w pokoju, na półce za grą w monopol. Nie wypali ich; kiedy nie ma Jordana, będzie jak dawniej. Pójdzie po zakupy z Meg, zagra z ojcem w szachy, poogląda telewizję z Adamem. Nawet nie zajrzy na dach.

Rano, przy śniadaniu, Barton przypomina Meg:

- Dzisiaj wrócę wcześniej, mamy być u Abbotów o wpół do ósmej.

- Tak, tak. - Meg się uśmiecha, ale Caro widzi, że na śmierć o tym zapomniała.

I rzeczywiście, zaraz po śniadaniu Meg wpada do jej pokoju.

- Boże, Caro - zaczyna. - Na śmierć zapomniałam o tej imprezie u Abbotów. Nie zdążę znaleźć opiekunki dla Adama. Posiedzisz z nim? Błagam! Wrócimy wcześniej, obiecuję.

- Nie ma sprawy.

Pierwsza godzina upływa całkiem przyjemnie. Zamówili sobie pizzę i oglądają stare seriale w telewizji.

Kiedy któryś tam się kończy, Adam zrywa się błyskawicznie z błyskiem w oku.

- Pobawimy się w potwory z kosmosu?

Caro wzdycha.

- No, dobra.

Stara się, jak może. Piszczy, kwiczy i wrzeszczy, wyskakuje ze statku kosmicznego i goni Adama we wszechświecie, wymachując galaktycznym mieczem. Po czterdziestu pięciu minutach ciężko opada na kanapę.

- Już dość.

- Proszę, proszę! - Adam ciągnie ją za rękaw. - Jeszcze raz, proszę!

Caro się wrywa.

- Nie - protestuje. - Mam dość.

Adam jest zdruzgotany.

Caro wzdycha.

- No, dobrze, dobrze - mówi już spokojniej. - Pobawimy się. Ale daj mi pięć minut.

Idzie do swojego pokoju, zamyka drzwi. Podchodzi do półki, odsuwa grę w monopol, po omacku szuka skrętów, zapala. Zaciąga się głęboko.

Od razu ogarnia ją spokój, czuje, że jej ciało się odpręża. Jak mogła nakrzyczeć na Adama? Ale teraz jest już zrelaksowana, spokojna. Poradzi sobie ze wszystkim. Może się bawić w potwory z kosmosu do białego rana.

Słyszy szcęk klamki, ale dopiero kiedy się odwraca, widzi, że Adam wszedł do pokoju.

- Caro? - pyta miękko.

Szybko chowa skręta za plecami.

- To marycha? - pyta dalej spokojnie.

Caro ma łzy w oczach. Niesamowity dzieciak. Żadnych pisków i szlochów, tylko konkretne pytanie: „To marycha?”

- Tak.

Podchodzi bliżej.

- I jak?

- Nieważne. - Caro się śmieje. - Niedługo sam zobaczysz.....

Adam też się śmieje.

- Oj, Caro, proszę. Tylko jeden raz. Odrobinę.

Udaje, że pali, i Caro chichocze. Jest taki cudowny, jak może mu odmówić?

Spogląda na niego czule. Jedno sztachnięcie nie zrobi mu krzywdy, wręcz przeciwnie, chłopiec odpręży się i wyluzuje. A kosmiczne potwory będą jeszcze fajniejsze.

- Dobra - mówi.

I podaje mu skręta.

Kolejne kilka minut to niewyraźne plamy. Otwierają się drzwi. W progu staje Meg. I wszyscy krzyczą. Następnego dnia Caro siedzi w samolocie do Los Angeles.

Zoe posyła ją na terapię. Prowadzący zadaje mnóstwo pytań. Po co Caro spróbowała narkotyków? Czego brakuje jej w życiu? Czasami odpowiada szczerze, czasami, dla zabawy, zmyśla.

- Pani córka nie umie zmierzyć się z wieloma problemami - orzeka terapeuta po trzeciej sesji. - Uda mi się jej pomóc, dopiero kiedy będzie na tę pomoc gotowa.

- I co ja mam z tobą zrobić?! - krzyczy Zoe.

Caro wzrusza ramionami.

- Niczego od ciebie nie chcę.

W szkole zadaje się z dziećmi, na które dotychczas nie zwracała uwagi. Palą w szatni. Palą za stołówką. Caro pali rzadko, nie chce tracić kontroli, ale trzyma się z nimi. Co za ulga przebywać z ludźmi, którzy niczego od niej nie oczekują.

- Wyrzucą cię ze szkoły: - złości się Zoe. - Wiesz o tym, prawda? I co potem? Jaki college cię przyjmie?

- Może wcale nie chcę iść do college'u.

Zoe prycha.

- Ojciec cię zamorduje.

- Lepiej później przeproszać, niż najpierw pytać o pozwolenie - przypomina jej Caro z uśmiechem.

Tego lata nie jest zaproszona do Nowego Jorku.

W lutym ostatniego roku szkoły Caro siedzi w stołówce, gapi się na tęczę na ścianie i słucha, jak uczniowie za nią rozmawiają o college'u: kto się gdzie wybiera, kto stara się o stypendium, kto już został przyjęty.

Caro nie zgłasza się do college'u. Dowiedziała się, że miałyby szanse w małych lokalnych uczelniach, a to jej nie interesuje. Jeśli już studiować, to na Harvardzie, Yale albo Princeton. Albo tam, albo nigdzie.

- Robię sobie rok przerwy mówi do Zoe.
- Ach taak? - cedzi matka. - Więc lepiej rozejrzyj się za pracą. Nie będę cię utrzymywała do końca życia.

- Nie martw się - odpowiada Caro wyniośle. - Nie będziesz musiała.

Powinna poszukać pracy. Obserwuje sprzedawczynie i kelnerki. Ciekawe, czy za pół roku będzie jedną z nich.

Przytłacza ją świadomość, że najbardziej ekscytującym wydarzeniem w jej życiu było Drzewo na Brooklynie, sześć lat temu. Może tak już zostanie.

Do stołówki wchodzi nowy uczeń. Caro często go widuje. Nie wie, dlaczego zwróciła na niego uwagę - nie jest specjalnie przystojny; może dlatego, że wydaje się wiecznie zły.

Widzi, że na niego patrzy. Po chwili wahania podchodzi do niej.

- Cześć - zaczyna. - Jestem Daniell. Przez dwa „I”.

- Twój pomysł?

Kiwa głową.

- Caro.

Siada koło niej.

- Nie wiem, co tu, do cholery, robię.

Caro wzrusza ramionami.

- Jeszcze tylko cztery miesiące.

- I wtedy zacznie się prawdziwy syf.

- College?

Daniell przewraca oczami.

- Mój ojciec ufundował budynki w prawie każdej uczelni w tym kraju, żebym miał z czego wybierać.

Caro uśmiecha się kwaśno.

- Bomba. I co wybrałeś?

- Nie college.

Podnosi głowę, zainteresowana.

- Naprawdę?

- Tak. Chcę zrobić coś niezwykłego. Wstąpić do Korpusu Pokoju. Albo wyjechać. Zamieszkać w komunie.

Caro kiwa głową, choć doskonale wie, jak będzie wyglądała przyszłość Daniella. Pójdzie do college'u. Pewnie zostanie bankierem. I zanim do bije do trzydziestki, w jego imieniu zostanie tylko jedno „I”.

Caro nie chce iść na uroczyste rozdanie świadectw.

- Idziesz i już - decyduje Zoe. - To nie byle co.

Caro prychna pogardliwie.

- A właśnie że tak.

- Dla mnie nie - mówi Zoe z godnością. - Ja nigdy nie ukończyłam szkoły.

Caro idzie na uroczystość.

Barton i Meg nie przyjechali.

Caro czeka w kolejce po dyplom i przypomina sobie pierwszy dzień w tej szkole i radosne słowa Zoe: „Zaczniesz wszystko do nowa”.

Jakim cudem wszystko schrzaniła?

Patrzy na koleżanki z klasy. Niektóre płaczą, bo nie chcą zegnać się ze szkołą, inne ufnie patrzą w przyszłość: we wrześniu czeka na nie dobry college. Caro spuszcza głowę.

Dyplom wydaje jej się nieprawdziwy, jak teatralny rekwizyt.

Przez całe lato siedzi w domu.

- Boże! - Zoe nie wytrzymuje. - Doprowadzasz mnie do szału. Ciągle tylko siedzisz i siedzisz. Wstawaj! Zrób coś! Zagraj w czymś! Może w teatrze? Mam się postarać coś załatwić?

- Nie! - wrzeszczy Caro.

„Wszyscy mówią, że jesteś beznadziejna”.

„Nie masz za grosz talentu. Za grosz”.

Nigdy więcej nie zagra. Po prostu jest za kiepska, i tyle.

- A agencja? - Zoe nie daje za wygraną. - Może popracujesz ze mną?

Caro zatyka uszy dłońmi i wybiega z domu.

Łapie okazję i jedzie do parku w Beverly Glen. Biegnie na plac zabaw i przez całe popołudnie siedzi na huśtawce.

- Hej! - słyszy.

Odwraca się - Daniell. Nie widziała go od rozdania świadectw.

- Cześć. Co tu robisz?

- Przejeżdżałem i cię zobaczyłem. Jak ci leci?

Krzywi się w odpowiedzi.

- A tobie?

Danieli się uśmiecha.

- Wspaniale. Mój znajomy z San Francisco organizuje komunę. Nie daleko Oakland.

- Super - mówi Caro.

- I jadę do niego.

Caro nie wierzy własnym uszom.

- Naprawdę?

- Tak.

- A nie wybierałaś się do college'u?

Wzrusza ramionami.

- Już nie.

Caro przygląda mu się z podziwem.

- Nie pomyślałabym, że zdecydujesz się na coś takiego.

Daniell się uśmiecha.

- Ja też nie.

Chwila milczenia.

- Więc jak tam będzie w tej waszej komunie?

Daniell się zastanawia.

- Jak w raju - odpowiada w końcu.

Caro się huśta, coraz wyżej i. wyżej. A gdy jest już bardzo wysoko, woła:

- Ja też mogę pojechać?!

Caroline

Caroline i Graham wyznaczają datę ślubu - pierwsza sobota czerwca.

Potem pojadą w podróż poślubną na Hawaje, na dwa tygodnie, a po powrocie Graham zacznie pracę w firmie Steiner & Ross. Caroline jeszcze nie ma pracy; właściwie nie wie, co chciałaby robić. Graham mówi, że nie musi się spieszyć z decyzją.

Planują skromną uroczystość w urzędzie stanu cywilnego na środkowym Manhattanie. Caroline kupuje białą suknię do kostek. Nie wygląda jak suknia ślubna.

Zaprosili tylko najbliższą rodzinę i przyjaciół.

Zoe zjawia się w Nowym Jorku, zapłakana i objuczona prezentami, w samą porę na ostatnią próbę ceremonii.

- Kochana! - zamyka Caroline w uścisku.

Całuje Meg w policzek.

- W końcu się spotykamy.

Patrzy na Bartona.

- Wiesz, jesteś nieprzyzwoicie przystojny.

Caroline po raz pierwszy widzi rodziców razem.

Zoe zaprasza wszystkich na drinka do hotelu Waldorf - Astoria, gdzie się zatrzymała. Później chce zabrać Caroline i Grahama na kolację do rosyjskiej herbaciarni.

- Mieliliśmy spędzić dzisiejszy wieczór z mamą Grahama - zaczyna Caroline.

- Więc odwołajcie - mówi Zoe. - Muszę lepiej poznać przyszłego zięcia.

Zoe jest czarująca. Opowiada przeróżne ciekawe historie i pije mnóstwo wódki.

Po kolacji pieszczotliwie klepie Grahama po ramieniu.

- Wracaj do matki - mówi. - I to szybko. - Całuje go w policzek. - Chcę pogadać chwilę z moją córką w cztery oczy, póki jeszcze jest moją córką.

Zoe i Caroline idą na piechotę do hotelu Waldorf - Astoria. Rozmawiają o ślubie, o Nowym Jorku, o podopiecznych Zoe. W hotelowym pokoju Zoe opada na kanapę. Zapala papierosa.

- Twój Graham jest cudowny - mówi. - Taki kochany.

- Wiem. - Caroline się uśmiecha.

- Ale zupełnie dla ciebie nieodpowiedni.

Caroline gapi się na matkę. Zoe wzdycha i przygląda się swoim paznokciom.

- Jeśli za niego wyjdiesz, zmarnujesz sobie życie.

Caro

Chyba zwariowałaś - mówi Zoe stanowczo. - Nie - odpowiada Caro.

- Właśnie tego chcę.

- Chcesz grać - nalega matka. - Tego chcesz.

- Nie - cedzi Caro przez zaciśnięte zęby.

- Jesteś tchórzem, To jest twój problem. A ta bzdura z komuną to tylko gra na zwłokę.

Caro zatyka uszy dłońmi.

- Nie chcę tego słuchać! - krzyczy. - Zrozum wreszcie, zrobię, co ze chcę, czy ci się to podoba, czy nie.

Zoe wzdycha. Milczy przez dłuższą chwilę!

- Cóż - mówi w końcu. - Masz osiemnaście lat. Jeśli naprawdę tego chcesz, ja cię nie powstrzymam.

- Dziękuję - mówi Caro sztywno.

Zoe ma łzy w oczach.

- Ale kochanie, serce mi pęka, gdy widzę, jak marnujesz sobie życie.

Część 4
Pieśni Camelotu

Caroline

Caroline, w czerwonym bikini, leży na leżaku przy basenie hotelowym. Poza nią nie ma prawie nikogo, tylko zabawna para, także nowożeńcy. Graham wymyślił dla nich przezwisko: Śledź i jego żona. Mąż jest niski i chudy, żona - potężna. Caroline ich lubi. Wymieniają uśmiechy w holu i w restauracji.

Graham jest w basenie. Caroline sący pina coladę i obserwuje go. Świetnie pływa. Po jego równych, miarowych ruchach od razu widać lata nauki w elitarnych klubach.

Przepłynął ostatnią długość basenu, podciągnął się na brzeg i uśmiechnął do niej.

Jestem mężatką, powtarza sobie Caroline, a ten przystojny mężczyzna to mój mąż.

Caroline nie lubi tropików. Marzył jej się miesiąc miodowy w Paryżu czy Londynie, ale Graham wolał coś spokojniejszego. Nina zaproponowała Maui - była tam w podróży poślubnej z jego ojcem i Graham podchwycił ten pomysł.

Wychodzi z wody i opada na leżak obok Caroline.

- Daj mi dwadzieścia minut; wezmę prysznic, wrzucę coś na siebie i jedziemy do Lahaina.

Caroline kiwa głową i uśmiecha się pod nosem. Graham nie umie odpoczywać. Codziennie planuje wycieczki - na krater wulkanu, do oceanarium, do rybackiej wioski. Nurkował, grał w golfa, pływał motorówką. Teraz nie ma już prawie nic do roboty. Może to dobrze, że już za dwa dni wyjeżdżają.

- Oj, nie przesadzaj! Wcale nie jest taka zimna!

Caroline podnosi głowę. Śledź chce zaciągnąć żonę do basenu.

- Mam nową fryzurę! - piszczy grubaska.

Są na brzegu basenu, tracą równowagę i wpadają do wody z wielkim pluskiem. Wynurzają się, roześmiani. Kobieta żartobliwie zamachuje się na męża. On robi unik. Ona się przybliża. Przez chwilę patrzą sobie w oczy, a potem się całują.

- Boże - mruczy Graham. - Wolałbym tego nie widzieć.

Ale Caroline przechodzi dreszcz, gdy widzi, jakim wzrokiem gruba kobieta patrzy na swojego chudzielca męża.

Miesiąc miodowy dobiegł końca. Caroline i Graham wracają na kontynent. Caroline płucze czerwone bikini, w którym zostały resztki piasku z Maui.

Zatrzymują się na kilka dni u Niny w Filadelfii. Dopiero teraz, po tylu latach, Caroline i Graham śpią w tym samym pokoju.

I dopiero teraz Caroline uświadamia sobie, że naprawdę wyszła za mąż,

W niedzielę po południu jadą pociągiem do Nowego Jorku i taksówką do nowego mieszkania przy Pięćdziesiątej Czwartej ulicy.

Graham je znalazł. Na wiosnę poprosił Caroline, żeby poszukała mieszkania, i przez całą przerwę wielkanocną biegała po mieście. Znalazła je w ostatni dzień.

- Jest cudowne - opowiadała Grahamowi. - W Bay Ridge, na Brooklynie. Właściciele to uroczy staruszkowie. Powiedzieli, że...

- No, ja mam coś lepszego - nie dał jej dokończyć. - To się okazało dzisiaj w pracy. Jeden z kolegów zaproponował, żebyśmy wynajęli mieszkanie w budynku, który dopiero co skończyliśmy. Na West Side, świetny adres, i do tego odnowione przez najlepszą firmę w okolicy. - Uśmiecha się szeroko. - I co ty na to?

- Świetnie - odparła lekko.

Nie podoba jej się nowe mieszkanie.

Jadą windą na górę, Graham przenosi Caroline przez próg. Ich dobytek stoi w pudłach w salonie. Caroline zaczyna je rozpakowywać, ale Graham ją powstrzymuje.

- Nie tak sobie wyobrażałem pierwszą noc w naszym wspólnym domu. - Całuje ją w kark.

Jest pierwsza w nocy. Caroline nie może zasnąć. W końcu cichutko wstaje.

- Co robisz? - pyta Graham w ciemności.

- Szukam papieru i długopisu.

- Po co?

- Muszę coś zapisać.

- Co?

- Wszystko, co muszę zrobić.

Śmieje się.

- A niby co takiego?

Caroline nie podoba się jego śmiech.

- Kupić kanapę, zasłony, wezwać hydraulika, wybrać komplet do jadalni...

- O rany.

- Chciałabym też rozejrzeć się za pracą.

- Wiesz, co mi przypominasz? - Graham siada na materacu, Caroline widzi jego ciemną sylwetkę. - Taką zabawkę, wiesz, nakręcanego bąka, który wiruje po całym pokoju.

Caroline podoba się to porównanie. Pochlebia jej taka wizja: jak wiruje tak szybko, że kolory zlewają się w intrygującą mgiełkę.

- A teraz wracaj do łóżka - mówi Graham.

Bąk wiruje. Caroline przepada na całe dni. Kupuje miesięczniki o dekoracji wnętrz, studiuje katalogi, albumy, ogląda wystawy. Znosi do domu próbki tapet, farb, tkanin obiciowych. Nie umie jednak podjąć decyzji. Nie ma wizji mieszkania.

Graham powoli traci cierpliwość. Ma dosyć życia na kartonach.

- Wyobraź sobie, że to domek dla lalek - jęczy.

Od tej chwili wszystko jest proste. Caroline wie dokładnie, który zestaw kupić do jadalni, jaki wybrać dywan, jak pomalować ściany.

W końcu zostało już tylko jedno. Caroline dzwoni do ojca i załatwia transport jej dawnych skarbów.

W przedpokoju piętrzą się jej stare meble i oklejone pudła. Caroline przechadza się między nimi powoli, lekko muska dłonią starą sfatygowaną komódkę, mały stołeczek. Klęka przy pudłach. Przez dłuższą chwilę nie może zdobyć się na to, by je otworzyć, w końcu jednak zdecydowanym ruchem przecina taśmę i wyjmuje zawartość. Oto lalczyzny serwis do herbaty. Jej książki. Jej szachy, jej lalki. Zdjęcie jej i Zoe, jak jedzą lody. Pluszowy miś. Pluszowy słonik. Malowany żółw z papieru, dzieło Adama.

Siada na dywanie i tuli skarby do piersi.

Mieszkanie urządzone. Caroline nie ma już powodu, żeby całymi dniami oglądać próbki tapet i farb.

Teraz czas poszukać pracy, ale nadal nie wie, co chciałaby robić. Może za rok, dwa wróci na studia i zdobędzie tytuł magistra ale jeszcze nie teraz. Na razie chciałaby tylko dołożyć się do czynszu. Nie szuka niczego ambitnego.

Pewnego dnia spaceruje Pięćdziesiątą Dziewiątą ulicą i widzi napis: DAM PRACĘ, na wystawie niewielkiej specjalistycznej księgarni. Napis wykonano ręcznie, pięknym staroświeckim pismem. Caroline wchodzi do środka. Pół godziny później ma pracę.

Pracuje w księgarni cztery razy w tygodniu. Kataloguje książki, ustawia nowe pozycje na półkach, służy pomocą nielicznym klientom. Właściciel, Laszlo, to Europejczyk w średnim wieku, o smutnym spojrzeniu szarych oczu. Jest miły; czasami zaprasza Caroline do

swojego kantorku na herbatę i twarde ciasteczko. Zastanawia się rozbawiona, czy czasem się w niej nie podkocha.

Świetnie rozumie się też z Giną i Peterem, którzy także pracują w księgarni. Gina często jest roztargniona, ciągle myśli o swojej pracy magisterskiej, za to Peter jest świetnym kompanem. Zabija tu tylko czas, opowiada Caroline, że czeka na spadek po niewiarygodnie bogatym dziadku. Często chodzi z Caroline na lunch do knajpki za rogiem.

Caroline lubi swoją pracę. Księgarnia jest przytulna i senna, jak biblioteka w Yale.

Bąk kręci się dalej. Ponieważ mieszkanie jest już urządzone, Graham przyprawia znajomych z pracy. Odwiedzają ich Mike i Oliver, Glenn i Sandra. Wpadają na obiad w niedziele, w piątki razem chodzą na wernisaże. Młodzi państwo Moss prowadzą intensywne życie towarzyskie.

Caroline szykuje półmiski przekąsek, miesza drinki, odmraża miniaturowe serowe ciasteczka.

Zauważa, że wszyscy mężczyźni to sobowtóry Grahama. A ich żony i przyjaciółki przypominają do złudzenia jej koleżanki ze szkoły z internatem. Cóż za ironia losu. Myślała, że jej życie posunie się do przodu, a nie zatrzyma wśród tego samego typu ludzi.

Nadchodzi jesień. Zeszłego roku chyba też nadeszła, lecz Caroline była tak zajęta, że w ogóle tego nie zauważyła. Za to w tym roku zauważa. Wszędzie, we wszystkich sklepach, jesienne wyprzedaże, napisy: „Czas do szkoły”, zatemperowane ołówki, czyste zeszyty. Kupuje sobie segregator, tylko że nie ma co do niego włożyć.

- Chciałabym, żeby dla mnie też był czas do szkoły - zwierza się Peterowi z zawstydzonym uśmiechem. - Chociaż właściwie sama nie wiem, co to dla mnie znaczy. Mam wrażenie, że zdałam maturę i nie wiem, co dalej.

- Boże, przez ciebie wpadnę w depresję - mruczy Peter.

Caroline stara się czymś zająć. Kupuje przewodniki po Nowym Jorku i bawi się w turystkę. Wyszukuje ukryte zakamarki. Zostaje członkinią organizacji sprzeciwiającej się budowie elektrowni atomowych. Później chodzi na zajęcia. Zapisuje się na kurs kaligrafii, akwareli, kuchni chińskiej. Rozważa, czy nie zapisać się też do siłowni.

Pewnego dnia po pracy idzie Lexington Avenue i przechodzi obok antykwariatu z zabawkami. Zagląda do środka. Właściciel demonstruje klientowi staroświecką zabawkę. Bąk wiruje głośno na ladzie; Caroline uśmiecha się, widząc intrygującą mgiełkę kolorów. Potem jednak

zabawka zwalnia, a kiedy zatrzyma się zupełnie, widać popękane drewno i wyblakłe smugi farby.

Przy porannej lekturze gazety Caroline dowiaduje się, że na Broadwayu wystawiają Drzewo na Brooklynie.

- Chciałabym to zobaczyć! - krzyczy.

- Ma fatalne recenzje - odpowiada Graham.

- Nic mnie to nie obchodzi. Kiedy byłam mała, to był mój najukochańszy serial.

Przypomina sobie czwartkowe wieczory i godzinę błogości i szczęścia w skórzanym fotelu ojca. Obejrzała tyle słodkich historii, kończących się happy endem.

- Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczył.

Graham widzi, że bardzo jej na tym zależy, a zbliżają się jej urodziny. Kupuje dwa bilety.

Krytycy mieli rację. Przedstawienie jest kiepskie, reżyseria nijaka, aktorzy mdli i cikliwi.

- Zmarnowany wieczór - mówi Graham, gdy wychodzą z teatru.

- Nie dla mnie - Caroline wzdycha. - To było... pouczające. Ze wszystkich ról na świecie najchętniej zagrałabym Katie Nolan.

Graham przygląda się jej ze zdziwieniem.

- Ze wszystkich ról na świecie? - powtarza.

Caroline się czerwieni.

- Dziwne, prawda?

Kilka dni później Caroline robi remanent. Do księgarni wchodzi młody mężczyzna z wypchaną aktówką.

- Przepraszam, czy mogę wywiesić ulotkę na wystawie?

- Zależy, co pan reklamuje.

- Nową trupę teatralną, którą zakładamy z przyjaciółmi: Eastside/Westside Playhouse. Pierwsze spotkanie w czwartek.

- Pewnie - zgadza się Caroline. - Proszę wywiesić.

Po wyjściu nieznanego Peter podnosi głowę.

- Papa Laszlo będzie zły - mówi. - Wiesz, co sądzi o ulotkach na wystawie.

Caroline go nie słucha. Czyta ulotkę.

W czwartek po południu dzwoni Graham i zapowiada, że wróci dopiero późnym wieczorem, bo klient zaprosił go na kolację.

Caroline robi sobie kanapkę, bierze gorącą kąpiel, wkłada koszulę nocną i szykuje się do długiej wieczornej lektury. A potem,

nieoczekiwanie, odkłada książkę. Wstaje, ubiera się i jedzie taksówką na pierwsze spotkanie nowej trupy teatralnej.

Spotkanie odbywa się w dawnej sali tanecznej. Wszędzie tłoczą się kobiety i mężczyźni w dzinsach i golfach. Wszyscy rozprawiają z przejęciem. Są bardzo młodzi - Caroline jest zaskoczona, bo większość jest mniej więcej w jej wieku. Widzi mężczyznę, który wywiesił ulotkę na ich wystawie, i macha mu dyskretnie.

Ciemnowłosy brodacz klaszcze w dłonie, prosząc o uwagę. Wszyscy siadają - na składanych krzesłach i na podłodze.

- Po pierwsze, dzięki za przybycie - pospiesznie zaczyna brodacz. - Nazywam się Chad Levitt i jestem dyrektorem nieistniejącej jeszcze trupy Eastside/Westside Playhouse.

Przedstawia cele przedsięwzięcia: chce wystawiać głębokie, znaczące sztuki, dzieła symbolistów i zdolnych współczesnych dramatopisarzy. Chce je wystawiać w duchu prawości i tolerancji. Wszyscy - Caroline też - biją brawo. Cele wydają się jej naiwne i dziecinne, ale do niej przemawiają. Podobają jej się, podoba się jej też młody człowiek.

- Na początek zdecydowaliśmy się wystawić Boso w parku Neila Simona.

Jęki rozczarowania wśród zebranych.

Chad uspokaja ich ruchem dłoni.

- Powoli - mówi. - To część naszej strategii. Jesteśmy nową trupą, chcemy, żeby nasz teatr zaistniał. Musimy zdobyć wierną publiczność. Ściągnąć ludzi, grając hity. W następnym sezonie zaserwujemy im Strindberga.

Kilkanaście osób wstaje i wychodzi.

Caroline siedzi spokojnie. Nie ma nic przeciwko Boso w parku. Widziała już tę sztukę i uważa, że jest sympatyczna - o nowożeńcach, którzy przekonują się na własnej skórze, że małżeństwo wcale nie jest takie, jak się spodziewali.

Chad rozdaje zadrukowane kartki.

- To teksty do przesłuchań - mówi. - Nie jest to zbyt skomplikowane. Do ról Corie i Paula - pierwsza scena. Valesco i Matka: druga. Postacie drugoplanowe: scena trzecia.

Caroline też bierze plik kartek. Łatwiej jest wziąć, niż tłumaczyć, że przyszła tu tylko z ciekawości.

Przegląda pierwszą scenę, między młodymi małżonkami. Uśmiecha się pod nosem.

- A zatem - Chad przekrzykuje szum odsuwanych krzeseł - przesłuchania jutro wieczorem, tutaj, o tej porze. Niech zainteresowani wpiszą się na listę. Na razie nie musicie decydować, kogo chcecie grać, macie czas do jutra.

Caroline wstaje i kieruje się do wyjścia. Ludzie tłoczą się przy liście, wszyscy rozprawiają z ożywieniem.

Podchodzi do niej mężczyzna z księgarni.

- Cześć.

- Przepraszam, nie wiem, jak się nazywasz.

- Tim.

Oficjalnie podają sobie rękę.

- O jaką rolę się starasz? - pyta.

- O żadną - odpowiada Caroline. - Nie jestem aktorką, przyszedłam tu tylko z ciekawości.

- Ja startuję na mechanika - chwali się Tim!

- Powodzenia.

Przygląda się jej.

- Naprawdę nie spróbujesz?

- Nie. Nie wybraliby mnie, a nawet gdyby, nie miałabym na to czasu. Mam za dużo spraw na głowie.

Tim wpisuje się na listę i odchodzi, a Caroline rozmyśla o tych licznych sprawach na głowie. Praca na pół etatu w księgarni. Czekać, aż Graham wróci z pracy. Weekendy z jego przyjaciółmi.

Waha się. Podchodzi do listy. Fajnie byłoby się wpisać, iść na przesłuchanie.

Przypomina sobie, co powiedziała Zoe dawno, dawno temu, gdy ojciec się nie zgodził, żeby wystąpiła w reklamie: „Nie martw się. Twój talent rozbłyśnie”.

Ciekawe, czy naprawdę ma talent.

Sięga po długopis i zaczyna pisać. Wpisuje swoje imię i zamiera. Nie chce się wpisywać jako Caroline Moss. Caroline Moss nie poszłaby na przesłuchanie. W końcu wpisuje Caroline Andrews.

I podpisuje się zamasyście.

Następnego dnia dobija targu z własnym sumieniem. Jeśli Graham nie zadzwoni, że się spóźni, nie pójdzie na przesłuchanie. O piątej telefon - Graham ma kolejną kolację z klientem. O szóstej Caroline wchodzi do sali tanecznej.

Startuje do roli Corie. Chad daje znak, żeby zaczynać. Po skończonej scenie prosi, żeby powtórzyła fragment o teściowej, tylko z większym zaangażowaniem. Caroline stara się, jak może.

- Dziękujemy - słyszy na koniec.

Wieczorem nikt do niej nie dzwoni, Choć powtarza sobie, że to nic, jest rozczarowana. Dopiero następnego ranka, gdy wychodzi do księgarni, dzwoni telefon. To Chad z informacją, że dostała rolę Corie.

Caroline odkłada słuchawkę i siada na kanapie. Oczami wyobraźni widzi siebie, jak, z pełną świadomością, wkłada ogromny czarny pręt w szprychy swojego życia. Ale i tak wie, że zagra tę rolę.

W pracy w ogóle nie może się skupić. Myśli tylko o sztuce. Dzieli się nowiną z Peterem, który żartobliwie szturcha ją w bok.

- Zawsze wiedziałem, że będzie z ciebie gwiazda.

Po pracy jest zbyt nakręconą, żeby iść do domu. Włóczy się po centrum, zagląda do Central Parku. Mija bar Pod Papugą. Przechodziła wtedy już wcześniej, ale nigdy nie wstąpiła do środka - nie chodzi sama po barach. Lecz tego popołudnia wydaje jej się jasny i przytulny. Poza tym bolą ją nogi.

Podchodzi do baru, siada na wysokim stolku.

Barman się uśmiecha.

- Co podać?

Podoba jej się. To potężny mężczyzna w średnim wieku, ma szpakowate kręcone włosy i ciepły uśmiech.

- Kieliszek białego wina. - Caroline śmieje się trochę zakłopotana. - Właściwie nie piję, ale dzisiaj jest wyjątkowa okazja. Dostałam rolę w teatrze.

- Ho, ho. Gratulacje. - Nalewa jej wina. - Na koszt firmy.

Caroline podnosi kieliszek.

- Bardzo pan miły. Ale nie wiem, czy zasługuję na takie świętowanie; to tylko przedstawienie amatorskie. Pewnie i tak zrobi klapę.

- Nic nie szkodzi.

Opowiada mu o wszystkim: o Chadzie, o trupie, o sztuce. Barman słucha i kiwa głową. Kiedy dopiła wino do końca, zaprasza, żeby wpadała częściej.

- Chętnie posłucham, jak idą próby. Jestem Mike, a to moja knajpa.

Uśmiecha się do niej.

Caroline nagle łapie się na myśli, że bardzo chętnie tu wróci i opowie mu o próbach.

Wstaje szybko.

- Tak naprawdę, to ja tu nie mieszkam - mówi. - Ale i tak dzięki. Za wino też.

Graham jest już w domu. Caroline całuje go serdecznie.

- Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt? - pyta.

- Usiądź - prosi. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. - I opowiada mu całą historię o trupie, przesłuchaniu i o tym, że dostała rolę Corie w Boso w parku.

Graham milczy. Caroline nie może niczego wyczytać z jego twarzy.

- Wspaniale - mówi w końcu. - Zawsze wiedziałem, że w głębi duszy chcesz grać.

Caroline wyczuwa jednak, że on udaje dobrego męża, ale w gruncie rzeczy wcale się nie cieszy.

- Naprawdę się zgadzasz? - pyta wieczorem w łóżku. - Wiesz, zawsze mogę odmówić.

- Oczywiście, że się zgadzam - zapewnia szybko. - Moim zdaniem to cudownie.

- Próby nie będą takie czasochłonne, raptem kilka razy w tygodniu. Będę wracać przed dziewiątą. Tylko tydzień przed premierą będzie ciężki.

- Nie martw się. - Klepie ją po ramieniu. - Posłuchaj, okazałaś się bardzo wyrozumiała, jeśli chodzi o moje późne powroty; byłbym draniem, gdybym w tej sytuacji nie służył ci wsparciem. Przyprowadzę całą firmę na premierę.

Caroline jest mu wdzięczna za te słowa. Przytula się do niego i muska dłonią ramię. Ale Graham odwraca się na drugi bok.

- Muszę jutro wcześniej wstać - mówi.

Zaczynają się próby. Kłócą się co wieczór. Chad wrzeszczy. Caroline nie pozostaje mu dłużna. Kłócą się o wszystko. Kiedy Caroline myśli o tym po powrocie do domu, nie mieści jej się w głowie, że tak ją poniosło. A jednak na następnej próbie wszystko się powtarza.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje - mówi któregoś wieczoru do Tima.

Przygląda się jej ze zdumieniem.

- Nic się nie dzieje - mówi. - Jesteś aktorką, i tyle.

Caroline nie wierzy własnym uszom. Aktorką? „Nie martw się. Twój talent rozbłyśnie”.

Tygodnie płyną, próby są coraz częstsze i dłuższe. Coraz częściej Graham już śpi, kiedy Caroline wraca do domu. Chad nalega też na

próby w weekendy, nie może więc chodzić na wernisaże i lunche ze znajomymi Grahama.

- Przepraszam - powtarza w kółko. - Nie miałam pojęcia, że to takie czasochłonne. Ale po premierze będzie lepiej, naprawdę.

Graham tylko kiwa głową.

W końcu premiera. Caroline słyszała, jak Graham dzwonił do kwiaciarni - zachował się jak prawdziwy dobry mąż.

- Nie oczekuj zbyt wiele - powtarza mu po raz piąty. - Pamiętaj, to trupa amatorska.

- I tak wiem, że będziesz wspaniała - zapewnia żywo.

Kiedy Caroline wychodzi na scenę, widzi męża w drugim rzędzie. Sądząc po jego minie, coś jest nie tak. Pewnie nie podoba mu się mała salka i prosta scenografia. Uprzedzała go, ale nie słuchał. Wstydzi się za nią. Przyniosła mu wstyd wobec jego znajomych.

Caroline nabiera głęboko tchu, patrzy w drugą stronę i zaczyna grać.

Po spektaklu Graham i jego kumple przychodzą za kulisy. Mike, Oliver, Glenn i Sandra zapewniają Caroline, że była wspaniała. Graham milczy. Trzyma bukiet kwiatów, ale go jej nie daje.

Żegnają się ze wszystkimi i wychodzą.

- Co się dzieje? - pyta w końcu Caroline.

Graham milczy.

- Uprzedzałam cię, że to nie jest profesjonalny spektakl.

- Mam w nosie, czy jest profesjonalny, czy nie - odpowiada chłodno.

Wyjmuje z kieszeni pognieciony program i otwiera na informacji o aktorach.

- „Caroline Andrews - czyta na głos - debiutuje na scenie, lecz teatr ma we krwi; jej matka, Zoe Andrews, prowadzi agencję dla dzieci - aktorów”. Nie dość, że o mnie nie wspomniałaś, że nie miałaś dla mnie ani chwili, odkąd zaczęłaś te cholerne próby, to jeszcze nawet nie użyłaś mojego nazwiska!

Caroline nie wie, co powiedzieć. Obejmuje go mocno.

- Kochany - mówi w końcu. - Przepraszam. Myślałam, że tak będzie lepiej. Jutro napiszę nową notkę. I będę występowała jako Caroline Moss. Bo jestem bardzo, bardzo dumna z tego nazwiska, naprawdę.

Graham wysuwa się z jej objęć.

Idą w milczeniu. Po pewnym czasie przeprasza, jeśli przesadził, i sztywno wręcza jej kwiaty.

Wystawiają sztukę jeszcze przez sześć weekendów. Caroline oddycha z ulgą, gdy spektakl schodzi z afisza. Pochłaniał za dużo czasu, za dużo uwagi. W pewnym sensie, pochłaniał nawet jej osobowość. Czasami podczas rozmów z Grahamem łapie się na tym, że odpowiada mu nie Caroline, tylko Corie.

No, z tym już koniec. Nigdy więcej nie wystąpi.

Po ostatnim spektaklu jest przyjęcie pożegnalne. Chad zabiera głos.

- Dobre wieści. Świat dowiedział się o naszym istnieniu i teraz czas na sztukę Wymagającą myślenia. Wystawimy Shawa Żołnierza i bohatera.

Wszyscy biją brawo.

- Wypijmy za to.

Wszyscy krzyczą:

- Za Żołnierza i bohatera!

- Za Żołnierza i bohatera - wtóruje Caroline, ale sama nie bije brawa.

W maju Zoe zjawia się z nieoczekiwaną wizytą. Szuka w Nowym Jorku nowych talentów.

Caroline chwali się matce swoim jakże czynnym życiem. Zabiera ją do księgarni, przedstawia Laszlo, Petera i Ginę, przygotowuje chińszczyznę, pokazuje dumnie mieszkanie. Zoe wszystko chwali - ale nudzi się jak mops.

Rano, przed odlotem, przychodzi się pożegnać.

- Nie napijesz się herbaty? - pyta Caroline.

- Niestety, skarbie, czas, czas...

- Ale kupiłam twoje ulubione ciasteczka petit écolier!

Zoe się uśmiecha.

- W takim razie zostanę.

Caroline idzie do kuchni. Wraca po kilku minutach z zastawioną tacą.

Zoe stoi przy biurku. Ma w dłoni pognieciony program Boso w parku.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Caroline stawia tacę.

- Właściwie nie było o czym - mruczy. - To tylko amatorskie przedstawienie.

Zoe kiwa głową.

- Masz tekst? - pyta.

Caroline śmieje się zakłopotana.

- Zoe, o co ci chodzi?

- Przynieś tekst.

Caroline idzie do sypialni po swój egzemplarz sztuki.

Zoe siada na kanapie i wkłada okulary.

- Pierwsza scena - mówi.

- Nie wygłupiaj się. Musisz zdążyć na samolot.

- Zaczynaj - rozkazuje Zoe. - Wchodzisz do pokoju, kładziesz kwiaty na stole, kiedy dzwoni domofon.

Caroline podchodzi do wymagowanego domofonu. - Halo?

Zoe czyta replikę. Odgrywają całą scenę.

Zoe odkłada pognieciony egzemplarz, zdejmując okulary. Jest zamyślona. Mówi smutno:

- Mogłaś zostać aktorką.

Wkrótce potem wychodzi. Caroline zostaje w pustym salonie. Łzy cieką jej po policzkach.

„Mogłaś zostać aktorką”.

Sięga po torebkę i idzie na Pięćdziesiątą Ósmą ulicę, do baru Pod Papugą.

Caro

Caro zwinnie bierze z półki dwie puszkę zupy jarzynowej i wrzuca je do przepastnej torby. Po czterech miesiącach życia w komunie świetnie kradnie.

Podchodzi do tego jak do roli. Jest młodziutką żoną, która uczy się prowadzić dom. Powoli, z wahaniem, bierze puszkę czy owoc i waży je w dłoni, jakby nie wiedziała, czy dokonała właściwego wyboru, a potem, kiedy nikt nie patrzy, zręcznie wrzuca wszystko do torby.

Idzie do kasy, żeby zapłacić za sok pomarańczowy, soczewicę i ciasteczka petit ecolier w wózku. Nelle znowu urządza awanturę o ciasteczka i uzna, że Caro nie można wysyłać po zakupy, ale to ulubione ciasteczka Zoe.

Caro wychodzi z supermarketu. Przy krawężniku czeka sfatygowana niebieska półciężarówka.

- Strasznie długo to trwało - burczy Nelle, siedzi za kierownicą i przesadnie trze ręce. - Zimno tu.

- Przepraszam.

Nelle bawi ją najbardziej ze wszystkich. Nelle kocha się w Daniellu, a on z kolei w Caro.

Właściwie mogłaby powiedzieć Nelle, że nie ma powodu do niepokoju, że Daniell wcale jej nie interesuje, ale nie robi tego. Po pierwsze, ideą komuny jest wspólnota; po drugie, Nelle to suka, dobrze jej zrobi, jak trochę pocierpi.

Caro nuci melodię z serialu Mission Impossible. Brakuje jej telewizji.

- Przestań - warczy Nelle.

- Przepraszam - powtarza Caro i milknie.

- Wkurza mnie to. Zmęczyło mnie szykowanie domu dla twojego gościa.

Caro przypomina sobie stary kawał: Co to za dama, z którą cię widziałem? To nie żadna dama, to moja żona.

- To nie żaden gość - mówi do Nelle. To moja matka.

Nelle się nie śmieje.

- Nadal uważam, że nie powinna przyjeżdżać - syczy. - Nasza główna zasada to żadnych obcych.

Skrecają na podjazd. Caro patrzy na mały, wyblakły domek, zardzewiałe ogrodzenie, chwasty na trawniku.

- Moja matka szybko wyjedzie - zapewnia. - Zobaczysz, rozejrzy się tu i ucieknie, gdzie pieprz rośnie.

Pociąg Zoe przyjeżdża o wpół do czwartej. Caro nie może sobie znaleźć miejsca. Sprząta w saloniku, zbiera bieliznę Nelle i Colleen z podłogi. Idzie do łazienki, szoruje muszlę klozetową.

Joey parska śmiechem.

- Co ty wyprawiasz? Chcesz zaimponować mamuśce?

Caro się czerwieni.

- Skądże. Ale kibel trzeba czasem wyczyścić.

Joey rozpina rozporek i się załatwia. Caro patrzy na żółty zaciek. Zmyje go później.

Wychodzi na dwór. Dzień jest szary i posępny. Boli ją głowa. Jest zła, że Zoe przyjeżdża.

- Ależ skarbie, jesteś moim dzieckiem - perswadowała. - Muszę się przekonać, że u ciebie wszystko w porządku.

- Przecież mówię, że tak.

- Ale ja muszę się przekonać na własne oczy. Nie masz telefonu, nie słyszałam twojego głosu od kilku tygodni. Chcę cię tylko zobaczyć. Proszę. Tylko na weekend. Na jeden dzień. Przyjadę pociągiem. Proszę.

- Muszę to ustalić z innymi. Mamy tu pewne zasady.

Najważniejszą zasadą jest zasada „żadnych obcych”, ale Daniell powiedział, że mogą zrobić wyjątek. Teraz Caro tego żałuje - matka przyjedzie tu za niecałą godzinę.

Będzie okropnie. Zoe będzie przerażona. Nie zrozumie, co Caro widzi w brudnym domku z zarośniętym trawnikiem. Nie zrozumie, jak Caro może mieszkać w takim miejscu.

Ale Caro położy jej dłoń na ramieniu i powie:

- Posłuchaj, Zoe, nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa.

Bo to prawda. W tym brudnym domu, pracując w małym ogródku, wśród ludzi, których nie obchodzą pieniądze i sława, znalazła szczęście.

Przeciąga się na chłodnym powietrzu. Ból głowy powoli mija. Myśli o dziewczynie, która tu przyjechała cztery miesiące temu - była zgorzkniała, nie szczęśliwa, nikomu niepotrzebna. A teraz? Umie uprawiać warzywa, jeździć półciężarówką, szyć na maszynie. Nauczyła się gotować i kraść.

Matka musi to zrozumieć - Caro wreszcie dorosła.

Zoe pierwsza wysiada z pociągu. Caro oczekiwała, że włoży, jak zwykle, jedwabną suknię i buty na obcasach, tymczasem Zoe ma na sobie dzinsy i sztruksową marynarkę. Obejmuje córkę i całuje ją serdecznie.

- Takie życie ci służy - stwierdza. - Ślicznie wyglądasz.

Nie wiadomo dlaczego jej komplementy sprawiają Caro zawód.

Zoe wsiada do wiekowej półciężarówki.

- Super! - wykrzykuje, klepiąc porysowaną tablicę rozdzielczą. -
Mój wujek Oliver miał taką samą! Mogę poprowadzić? Proszę!

Prowadzi dobrze, lepiej niż Caro. Zachwyca się wszystkim dokoła.

- Widziałas tamten wiaz? Przepiękny. U was też rosna? O Boże,
spójrz, ten płot! Czysty Norman Rockwell!

Caro znowu boli głowa. W końcu przyjeżdżają na miejsce. Zoe
wysiada powoli.

- A więc tutaj mieszka moja córeczka. - Rozgląda się w milczeniu i
kiwa głową. - Rozumiem - mruczy. - Naprawdę rozumiem.

Caro zaprasza ją do środka. Zoe nic nie dziwi - ani dziury w suficie,
ani brudne materace na podłodze.

- Wspaniałe powietrze - klepie się w pierś i uśmiecha promiennie. -
Każdy oddech to tydzień życia więcej.

O piątej zawsze jedzą obiad. Rozlega się gong. Wszyscy
członkowie komuny zasiadają przy długim sosnowym stole.

- Moja mama, Zoe Andrews - przedstawia ją Caro oficjalnie.

Danieli, Frank i Colleen się uśmiechają. Nelle, Joey i Marcia tylko
kiwiają głowami.

Zoe patrzy na zupę.

- Wygląda bardzo apetycznie.

- Sami się obsługujemy - informuje Nelle. - Żadnej służby. Nie
uznajemy wyzysku.

Zoe bierze poobijany talerz i nalewa sobie do pełna.

- Pycha! - krzyczy po pierwszej łyżce. - Błagam o przepis! Kto
gotował?

- Caro - mówi Daniell.

Zoe patrzy na córkę.

- Ty? Skarbie, coś takiego! Robisz się coraz bardziej
wszechstronna. Gdybyście znali ją pół roku temu - mówi. - Nawet
herbatę przypalała.

Caro się czerwieni.

Zupa zjedzona. Talerze zebrane.

- Na deser mamy tylko owoce - mówi Nelle, zanim Caro zdąży
powiedzieć o ciasteczkach petit écolier. - Nie uznajemy przetworzonego
cukru.

- Doskonale - zapewnia Zoe. - Od dawna staram się ograniczać
cukier.

Nagle odzywa się Joey:

- Zoe... naprawdę jesteś agentką w Hollywood?

- Tak.

Nieśmiało spuszcza wzrok.

- Pewnie fajnie jest pracować z gwiazdami.

Zoe się zastanawia.

- Nie wiem, czy „fajnie” to odpowiednie słowo. Nie dalej jak wczoraj miałam spotkanie z ludźmi z ABC, i nawet sobie nie wyobrażacie, co się stało! - I opowiada.

Opowiada i opowiada, o Hollywood, o aktorach, o rozpuszczonych małych gwiazdach, z którymi pracuje. Caro wstydzi się coraz bardziej - dlaczego ona się nie zamknie?

Ale kiedy ukradkiem rozgląda się po twarzach, stwierdza ze zdziwieniem, że wszyscy uważnie słuchają. Nawet Nelle.

- Znasz Clinta Eastwooda?

- Pewnie. - Zoe wzrusza ramionami. - Kiedyś nawet się spotykaliśmy, chociaż z zasady nie wiążę się z aktorami. No, ale Clint też ma rozum, trzeba mu to przyznać.

- A Robert Redford? Z nim też chodziłaś?

- Niestety nie. Facet jest zbyt wierny, to się jeszcze źle dla niego skończy. A teraz opowiem wam o Richardzie Burtonie!

Pochylają się do przodu, żeby lepiej słyszeć. Caro wstaje gwałtownie.

Nie wytrzyma tego dłużej.

Idzie do sypialni. To jest rzeczywistość, niewygodne łóżka i zardzewiałe krzesła, to jest prawdziwe życie, a nie blichtr Hollywood, o którym rozprawia matka. Siada, oddycha głęboko i czuje się lepiej.

Wraca do saloniku. Matka siedzi za Nelle i upina jej włosy w kok.

- Masz piękne rysy - mówi Zoe. - Nie myślałaś nigdy o pracy modelki?

- No cóż - przyznaje Nelle - zawsze chciałam być aktorką.

- Coś takiego! - wykrzykuje Zoe. - I dlaczego, z twoim wyglądem, z tego rezygnowałaś?

Caro wybiega na dwór, siada na schodach i płacze. Zoe wszystko popsowała. Daniell zaśmiewa się z jej opowieści. Nelle siedzi u jej stóp. Colleen wypytuje o Steve'a McQueena. Koszmar.

Rozpadł się etos grupy. Uwiodła ich, upokorzyła.

I Caro nagle zdaje sobie sprawę, że już nigdy nie będzie patrzyła na nich z takim podziwem.

Wstaje. Wraca do domu świadoma, że jej dni w komunie są policzone. Świadoma też czegoś jeszcze - to nie oni się zmienili. Syreni śpiew Zoe uwiódł nie ich, tylko ją, Caro.

Żegnają ją domową szarlotką, ale wątpi, żeby bardzo im jej brakowało. Zwłaszcza Nelle, siedząca obok Daniella, nie wygląda na szczególnie poruszoną jej odejściem. Obiecują pisać, ale Caro w to nie wierzy.

Wsiada do pociągu z jedną torbą i przez całą drogę do Los Angeles gapi się w okno. Powtarza sobie, że wcale nie zmarnowała ostatnich miesięcy, że komuna wcale nie była pomyłką. Pomyliła się tylko co do swoich celów. Znowu grała, tym razem dziewczynę na marginesie społeczeństwa. A teraz sztuka zeszła z afisza.

Matka czeka na dworcu w białym mercedesie.

- Musisz się wykapać - mówi.

We wrześnie Caro oznajmia Zoe, że chce się przenieść do Nowego Jorku.

- A co? - pyta Zoe ostrożnie. - Czeka tam nowa komuna?

- Nie - odpowiada Caro. - Broadway.

Zoe klaszcze w dłonie i ściska ją mocno.

- Długo to trwało, ale dobrze, że wreszcie poszłaś po rozum do głowy.

Zoe natychmiast rusza do akcji. Kupuje Caro garderobę na Wschodnie Wybrzeże, zabiera do salonu Elizabeth Arden, do Roberto, żeby jej zrobił bardziej wyrafinowaną fryzurę. Przegląda przewodniki teatralne. Wydzwania do agentów. W końcu trzeba jeszcze tylko wykupić bilet na samolot.

- W jedną stronę czy również powrotny?

- W jedną - decyduje Caro.

Zoe jest zadowolona.

- Chyba traktujesz to poważnie.

- Bardzo.

- I dobrze.

Na lotnisku Zoe daje jej pieniądze na półroczny czynsz.

- Zwal ich z nóg.

Ściska ją na pożegnanie i Caro idzie do bramki.

- Kiedy dostaniesz główną rolę, przylecę na premierę! - woła za nią Zoe. - Ale na ogon się nie pofatyguję.

- W interesach? - zagaduje siedząca obok kobieta. Ma koło siedemdziesiątki i ręce powykręcane artretyzmem.

- W pewnym sensie - odpowiada Caro. - Przenoszę się na Manhattan. Chcę grać.

- Wspaniale. Ma pani tam rodzinę?

- Tak - odpowiada Caro po dłuższej chwili. - Ojca, macochę i przyrodniego brata.

- Pewnie się cieszą, że pani przyjeżdża.

- Właściwie nic o tym nie wiedzą.

- Niespodzianka?

- Tak jakby.

Nie zadzwoniła do ojca, że przylatuje, i wymusiła na Zoe obietnicę, że ona też tego nie zrobi. Chciała sama podbić Nowy Jork, a poza tym kiedy ostatnio wyjeżdżała, ojciec się odwrócił i nawet z nią nie pożegnał.

Samolot ląduje. Z góry miasto wygląda imponująco i tajemniczo.

- Powodzenia - mówi starsza pani. - Będę pani wypatrywała na Broadwayu.

Caro wysiada. Lotnisko tętni życiem. Oczekujący na pasażerów machają i krzyczą.

Caro czeka, aż ktoś ją zawoła. Śmieszne, ale spodziewała się, że ojciec po nią wyjdzie. Czeką jeszcze chwilę i idzie po walizkę.

Zatrzymuje się w hotelu przy Szóstej Alei. Jej pokój jest brązowy, ponury i bezosobowy jak trumna. Rozpakowuje się szybko i kładzie spać.

Następnego ranka idzie na Park Avenue. Zatrzymuje się przed budynkiem, w którym mieszkają ojciec, Meg i Adam. Przed wejściem rosną inne rośliny, zmienił się odzwierzy. Nie wchodzi.

Wie, że mogłaby. Wie, że pewnie dawno już jej wybaczyli - w końcu to było trzy lata temu. Gdyby weszła na górę, Meg zaproponowałaby herbatę i pomogła jej szukać mieszkania. Jakby nic się nie zmieniło.

Ale ona już nie jest dawną Caro. I tyle. Nie jest niczyją córką, niczym dzieckiem. Jest kobietą, która zaczyna nowe życie.

Tak jest o wiele lepiej.

A mimo to przechodzi na drugą stronę ulicy i siada na ławce. Czeką kwadrans. Ojciec i Meg nie wychodzą, za to za piętnaście ósma pojawia się Adam.

Wyrósł, ma kręcone, niesforne włosy, takie same ruchy jak dawniej. I jak dawniej wąskie delikatne dłonie.

Caro ma ochotę mu pomachać. Przebiec przez ulicę. Wie, że cisnąłby na ziemię tornister i objął ją tak, jak obejmują się ludzie na lotnisku. Powiedziałyby mu, że tylko on wie, że jest w Nowym Jorku, że to ich sekret.

Ale nie robi tego, a po chwili przyjeżdża szkolny autobus i zabiera Adama. Caro wstaje i wraca na Park Avenue. Za rok się odezwie. Za rok wyśle im bilety na swoją premierę na Broadwayu. Na razie wystarcza jej świadomość, że Adam nadal tu jest i nadal ma wąskie delikatne dłonie.

Najważniejsze to znaleźć mieszkanie. Caro nie chce mieszkać z kimś, miała tego po dziurki w nosie w komunie. Woli raczej najgorszą rudere, ale tylko dla siebie. W końcu znajduje, czego szuka, w Hell's Kitchen. Pokój, wąski jak tunel, ma tylko jedno małe okno, na dodatek zasłonięte schodami przeciwpożarowymi. Mikroskopijna kuchnia pełni zarazem rolę łazienki - deska zmienia wannę w stół, a cienka zasłonka oddziela ubikację. Gorzej być nie może. Caro jednak bawi ta ponura atmosfera i od razu podpisuje umowę najmu. Cieszy się, że nie ma telefonu, i nie chce tego zmieniać.

To mieszkanie to idealna scenografia do aktu drugiego: droga do sławy, a Caro zaczyna karierę.

Z trudem taszczy walizkę na czwarte piętro. Błyskawicznie się rozpakowuje. Ustawia fotografie Zoe i Adama na parapecie. Książki na razie leżą na podłodze, póki nie dorobi się szafki. Układa ubrania w zniszczonej komodzie. Najniższa szuflada nie chce się otworzyć. Caro nie daje za wygraną, otwiera ją w końcu i widzi, czemu było to takie trudne - z tyłu zaczepiła się fioletowa skarpeta.

Przygląda się jej i rozmyśla. Ciekawe, kto ją tu zostawił. Pewnie ostatnia lokatorka - chyba tancerka. Która na pewno też wierzyła, że któregoś dnia będzie sławna.

Caro nagle ogarnia niepokój. Wsiada do metra i jedzie do Bloomingdale'a. W kojąco jasnym sklepie panuje tłok. Idzie do działu ze strojami wieczorowymi i mierzy czerwoną mini od Armaniego. Wygląda rewelacyjnie. Obiecuje sobie, że kiedyś ją kupi. Tymczasem, kupuje sobie solidne tenisówki, bo zauważyła już, że noszą je wszystkie kobiety w mieście.

Kiedy wychodzi ze sklepu, zapada zmierzch. Choć zmęczona, nie chce jeszcze wracać. Idzie przed siebie. Przy Pięćdziesiątej Ósmej ulicy widzi bar Pod Papugą. Wchodzi do środka.

Barman się uśmiecha, gdy Caro siada na wysokim barowym stolku. To potężny mężczyzna w średnim wieku, o gęstych szpakowatych włosach. Wygląda, jakby nic nie mogło go zaskoczyć.

- Witam. - Ma niski głos, mówi powoli.

- Dlaczego Pod Papugą? - pyta Caro.

- Bez powodu.

- To najlepsze wyjaśnienie. - I ona się uśmiecha. - Poproszę białe wino.

Nalewa jej kieliszek i wskazuje torbę od Bloomingdale'a:

- Zakupy?

- Musiałam poprawić sobie humor.

- Chyba się udało.

- Dzięki.

Opowiada mu, że dopiero co przeprowadziła się do Nowego Jorku, że chce zostać aktorką.

- Powodzenia - mówi barman. Nie dodaje, że będzie wypatrywał jej na Broadwayu.

Caro dopija wino i sięga po portmonetkę.

- Nie trzeba - słyszy. - To na koszt firmy.

Nie jest zaskoczona.

- Dzięki - mówi.

- Jestem Mike, a to moja knajpa.

- Caro.

- Cóż, Caro, wpadaj częściej. Chętnie posłucham, jak sobie radzisz.

Caro wyobraża sobie siebie i Mike'a w jej ciasnym pokoiku. Co prawda widziała na jego palcu szeroką złotą obrączkę, ale wie, że to nie była by przeszkoda.

- Dzięki - mówi.

Wkrótce w jej życiu pojawia się rutyna. Wstaje o szóstej. Idzie do kawiarenki na rogu, pije kawę i czyta ogłoszenia. Chodzi na przesłuchania. Czeka. Wieczorami pracuje jako kelnerka we włoskiej knajpie. Nuda, choć zdarzają się ciekawe chwile. Udane przesłuchanie. Fajny klient.

Mija prawie rok. Sukces nie przychodzi tak szybko, jak sądziła. Ma agenta - Zoe go jej poleciła - ale jak na razie niewiele dla niej zrobił. Ma też, dzięki dwutygodniowemu zastępstwu w musicalu Oklahoma, legitymację Związku Aktorów, ale nic więcej. No i kończą się jej pieniądze.

Jeszcze dwukrotnie była przed apartamentowcem na Park Avenue, ale nie weszła do środka.

- To głupota - powtarza Zoe co tydzień, gdy dzwoni z automatu na rogu. - Bóg jeden wie, że nie przepadam za Bartonem, ale to co innego. Ogranicza się tylko do telefonów, wtedy pyta, co u ciebie. Tamto lato było tak dawno, skarbie. Idź do niego.

- Pójdę - zapewnia Caro. - Kiedy będę gotowa.

Lecz miesiące mijają i jest jej coraz trudniej. Problem nie tylko w tam tym lecie - Caro nie chce stanąć przed ojcem jako nieudacznica.

Mimo wszystko idzie jeszcze raz pod jego dom. Czeka. Dobija targu sama ze sobą: jeśli zobaczy Bartona, Meg albo Adama, podejdzie do nich. Ale nikt nie pojawia się w drzwiach.

Caro często włóczy się po Nowym Jorku. Czasami zagląda Pod Papugę. Jej włoska knajpka jest niedaleko, a tutaj może się odprężyć.

Klienci, przeważnie stali goście, nie zaczepiają jej. Nikt jej nie podrywa. Początkowo ją to dziwi, ale szybko zrozumiała - uważają, że jest dziewczyną Mike'a.

Caro to pochlebia - taki przystojny mężczyzna. Ilekroć wchodzi do baru, wita ją ciepłym uśmiechem. Ma piękne zęby, białe i mocne. Caro siada na wysokim barowym stolku i opowiada, jak minął tydzień, Mike zawsze pamięta, na jakie przesłuchania się wybierała, i o wszystko pyta.

O sobie mówi niewiele, ale pewnego dnia otwiera portfel i pokazuje jej zdjęcie trzytygodniowej wnuczki. Caro intryguje, że nigdy nie pokazał jej fotografii żony.

Pewnego dnia Caro mija sklep z męską odzieżą. Na wystawie leży niebieski szal, gruby i szorstki. Przywodzi jej na myśl Mike'a, więc go kupuje.

- To dla ciebie - mówi, kiedy znów jest Pod Papugą.

Mike rozpakowuje prezent. Wyjmuje szal, pokazuje wszystkim w barze. Wychodzi zza kontuaru i zamyka Caro w niedźwiedzim uścisku.

Caro wie, że jeśli chce Mike'a, teraz może dać mu to do zrozumienia. To kusząca myśl - jest w nim tyle ciepła. Dochodzi jednak do wniosku, że nie. Lepiej jest, jak jest. Całuje go w policzek i wysuwa się z jego objęć. Uśmiechają się do siebie. Nie ma to jak przyjaciele.

Caroline

Caroline i Graham wchodzą do ciemnego mieszkania. Caroline zapala światło i ciska torebkę na kanapę.

- Jak dobrze być w domu - mówi. - Ledwo żyję.

- Nie wiem dlaczego - zauważa cierpko Graham. - Chyba nie bardzo się wysilałaś.

Caroline stara się odpowiedzieć spokojnie:

- Ależ tak.

- Czyżby? Przecież widziałem, że przez cały wieczór byłaś myślami gdzie indziej.

- Przykro mi.

- Wiesz, mogłabyś się trochę postarać - wybucha. - To są moi przyjaciele. Pracuję z nimi.

Caroline jest spięta.

- Cóż, gdybyśmy nie spotykali się w kółko z tymi samymi ludźmi, może byliby dla mnie ciekawszym towarzystwem.

- Nie wiedziałem, że tak ich nie lubisz.

Wzdycha znużona.

- Graham, to nie tak, że ich nie lubię. Tylko że widujemy się z nimi co tydzień.

- Świetnie - prycha. - Niech będzie, jak chcesz.

Idzie do salonu. Caroline biegnie za nim, szarpie kłamkę.

- Graham?

Cisza.

Jest druga nad ranem, a Caroline nie może zasnąć. Pochyla się nad Grahamem i dotyka jego pleców. Są ciepłe i twarde. Dobrze, że chociaż ich ciała nadal się rozumieją.

Pogodzili się, jak zawsze, ale samotność daje się jej we znaki. Chciała by obudzić Grahama i zapytać, co się dzieje, lecz takie pytania wywołują najgorsze kłótnie.

Chyba już w ogóle nie potrafią rozmawiać. Ostatnio kłócą się coraz częściej. Graham krytykuje w niej wszystko: to jak się ubiera, jak się zachowuje na przyjęciach, jak rozmawia z jego matką przez telefon, jak traktuje jego przyjaciół.

Jakby szukał w niej wad.

A Caroline nie jest lepsza. Coraz ostrzej mu się odcina. I nienawidzi siebie za to.

Sama nie wie, kiedy to się zaczęło - chyba po Boso w parku. Wiedziała, że Graham nie chciał, żeby zagrała, a jednak postawiła na swoim. A może zaczęło się już wcześniej.

Co się stało? Na studiach było zupełnie inaczej. Wtedy trwali przy sobie. Byli przyjaciółmi. Ale też wtedy wszystko było inne: mieli tyle wspólnych zajęć, tyle tematów do rozmów. Myślała, że tak będzie zawsze, a tym czasem z chwilą ich ślubu wszystko się zmieniło.

Wstaje cicho i idzie do salonu. Powtarza sobie, że jest przemęczona i wszystko wyolbrzymia. Każde młode małżeństwo przechodzi taki ciężki okres, wystarczy spojrzeć na Corie i Paula z Boso w parku. Ale dobija ją to posłuszeństwo.

Od ślubu minęły już prawie dwa lata - może czas na dziecko? Ale kiedy ostatnio poruszyła ten temat mimochodem, na wesoło, Graham nagle spoważniał:

- Żartujesz chyba - powiedział. - Jeszcze długo nie będziemy na to gotowi.

Czyżby w ten sposób chciał jej powiedzieć, że ich związek nie przetrwa?

A przetrwa? Robi jej się zimno na myśl, że może nie. Przypomina sobie, co Zoe powiedziała o Grahamie w noc przed ślubem: „Zupełnie dla ciebie nieodpowiedni”.

Caroline wzdycha. Rano musi zrobić remanent. Powinna się wyspać. Wspomina, jak jechała do Yale i starszka w pociągu powiedziała jej, że ma szczęście. Caroline odparła, że jest zmęczona - a przecież wtedy nic się jeszcze nie zaczęło. Wtedy miała osiemnaście lat, teraz ma dwadzieścia cztery.

Zastanawia się, czy z wiekiem będzie coraz bardziej zmęczona.

Caroline zagląda do baru Pod Papugą w czwartkowe popołudnie. Wypija lampkę białego wina, żeby uczcić zbliżający się koniec tygodnia. Mike, zajęty za barem, zawsze wyczuwa, kiedy się zjawi. Prostuje się, odwraca, lekko kiwa głową. Zauważyła, że robi wszystko powoli, z leniwą pewnością siebie.

- Cześć - mówi.

- Cześć. - Caroline wspina się na swój stółek.

- Jak leci?

- W porządku.

Ani słowa o problemach z Grahamem.

Opowiada za to zabawne historyjki. Dzisiaj na przykład o klientce, którą okradziono dwukrotnie jednego dnia. Mike odrzuca głowę do tyłu

i się śmieje. Caroline podoba się jego basowy, leniwy śmiech, podoba jej się cały Mike.

- Wiesz co - mówi - syn przysłał mi zdjęcie mojej malutkiej wnuczki. Chcesz zobaczyć?

- Pewnie.

Wyjmuje portfel. Ma wielkie dłonie. Caroline łapie się na tym, że patrzy na nie, a nie na zdjęcie. Czerwieni się, świadoma, że gapiała się zbyt długo.

- Śliczna - mówi szybko.

- Chcesz zobaczyć inne?

Szuka zdjęć w portfelu. Caroline obserwuje jego silne palce. Mike pokazuje fotkę po fotce.

Caroline nie przygląda się zdjęciom, ale i tak zauważyła, że nie było ani jednej fotografii żony.

Latem zagląda do baru dwa razy w tygodniu. Jesienią - nawet trzy. To tak blisko pracy, tak miło jest trochę odpocząć.

Mike nie komentuje tego, że przychodzi coraz częściej. Wita ją jak zawsze, uśmiechem i skinieniem głowy. Stołek przy barze też zawsze na nią czeka.

Nie rozmawiają o niczym szczególnym. Caroline opowiada o ostatnio przeczytanej książce, Mike o kwiatach na parapecie. Nie pada ani jedno słowo, którego nie powinien usłyszeć jej mąż.

A jednak nigdy mu nie wspomniała, że często wpada do tego baru.

Wigilia Bożego Narodzenia. Graham wziął tydzień wolnego, więc to ostatnia okazja dla Caroline; żeby zajrzeć do baru Pod Papugą w starym roku. Ma prezent dla Mike'a - niebieski szal, gruby i szorstki. Nie dołączyła bilecika.

- Cześć - zaczyna i wspina się na swój stołek.

- Jak leci? - pyta Mike.

- W porządku. - Sięga do torebki i wyjmuje paczuszkę. - Od Mikołaja.

Mike bierze prezent. Odkłada go na moment, wyciera ręce i dopiero rozpakowuje.

- No coś takiego. - Wyjmuje szal. Pieści szorstką wełnę szorstkimi palcami. - Piękny - mówi. - Chodź tutaj.

Wychodzi zza baru. Caroline zsuwa się ze stołka. Po raz pierwszy widzi go całego. Podchodzi do niej i zamyka ją w niedźwiedzim uścisku. Caroline nie może złapać tchu. Nie wraca na stołek.

- Muszę lecieć - mówi. - Wpadłam tylko dać ci prezent.

Kiedy wychodzi, drżą jej ręce, a serce szamocze się jak ptak w klatce.

Caroline bardzo się stara na Boże Narodzenie. Dekoruje mieszkanie jemiolą i ostrokrzewem, kupuje bombki na choinkę, piecze ciasteczka.

Graham docenia jej wysiłki. Jest im razem dobrze, włączają się po mieście, idą na obiad, do kina. Jest jak dawniej, w college'u.

W świąteczny, rano Graham obdarowuje ją prezentami w stylu kochającego małżonka - bielizna, zegarek i staroświecki naszyjnik z opalami. A Caroline ma dla niego równie wymyślne prezenty od wzorowej żony. Wszystko układa się dobrze.

Do pewnego momentu.

Wieczorem Graham niespokojnie kręci się po mieszkaniu.

- Gdzie postawiłaś wazę od mojej matki?

- W łazience.

Milczy przez chwilę.

- Lepszego miejsca nie znalazłaś?

- Ale przecież tam pasuje - tłumaczy szybko Caroline. - To identyczny odcień.

- Daj spokój - prycha Graham. - Nie znosisz niczego, co dostaliśmy od mojej matki. - Wskazuje szkatułkę z macicy perłowej na stoliku w holu. - Za to prezent od twojej, chociaż koszmarny, stoi na honorowym miejscu.

Caroline się czerwieni.

- Zabiorę go, jeśli ci się nie podoba.

- Rób, co chcesz. Ale uświadom sobie, co tobą kieruje.

Idzie do salonu i zamyka za sobą drzwi.

Caroline wybiega na dwór. Jest zimno. Tak długo spaceruje ulicami, aż się zmęczy.

Przez miesiąc nie zagląda do baru Pod Papugą. Aż któregoś pochmurnego, śnieżnego popołudnia nie może dłużej wytrzymać.

Wchodzi do środka. Po mroźnym powietrzu szczypie ją twarz. Zatrzymuje się w szatni, powoli zdejmując płaszcz. Wchodzi do baru. Mike'a nie ma.

W ułamku sekundy, gdy czuje rozczarowanie, uświadamia sobie, jak daleko to zaszło. Chce wyjść, i w tym momencie ktoś ją woła. Mike. Był na zapleczu. Po raz pierwszy porusza się szybko.

Podchodzi do niej.

- Myślałam, że cię nie ma.

- Myślałem, że już nie przyjdiesz.

Prowadzi ją do jej stołka. Ma ciepłą pewną dłoń. Stawia przed nią kawę po irlandzku.

- Zaraz wracam - mówi. Podchodzi do stolika, wita nowego gościa.

Caroline odprowadza go wzrokiem - to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziała. Przypomina sobie słowa Delores: „Żebyś któregoś dnia nie straciła głowy dla innego faceta”. Śmiała się wtedy. „Obiecuję, że do tego nie dojdzie”.

Przeszywa ją dreszcz. Odrywa wzrok od Mike'a, patrzy w telewizor. Akurat idą wiadomości. Młody ciemnoskóry prezenter mówi coś, czego Caroline nie słyszy. Na ekranie pojawia się zdjęcie - twarz wydaje się jej znajoma, ale nie może sobie przypomnieć, kto to jest. Aż nagle olśnienie: Tristan.

Stuka w ramię mężczyznę obok niej.

- Czy mógłby pan zrobić troszkę głośniej?

On bierze to za próbę podrywu.

- Nie słyszałaś? - dziwi się. - Przedawkował.

- ...w łazience, w pokoju hotelowym - mówi prezenter. - Tristan, gwiazda muzyki rockowej, miał zaledwie trzydzieści siedem lat.

Mówi coś jeszcze, ale Caroline nie słyszy. Spuszcza głowę, wbija pusty wzrok w podłogę. Tristan nie żyje.

Ma dwanaście lat i w szkolnym internacie słucha Pieśni Camelotu.

Dotyka twarzy Tristana na okładce płyty. Wyobraża sobie, że kiedyś go pozna. A teraz on nie żyje. Chowa twarz w dłoniach. Mike obserwuje ją z drugiego końca sali. Kończy rozmowę, wraca za bar, pochyla się.

- Co się stało?

Caroline podnosi głowę.

- Dowiedziałam się, że Tristan nie żyje.

Mike kiwa głową.

- Szkoda. Fajny był z niego gość. W lecie zajrzał tu kilka razy.

Caroline zatkało. Tristan tu był. Tu, Pod Papugą. Gdyby częściej zaglądała, poznałaby go. Podeszłaby do niego, dotknęła jego dłoni, powiedziała, ile dla niej znaczyły jego piosenki.

Przegapiła taką szansę.

Ma łzy w oczach.

- Przepraszam... wiem, że to idiotyczne - szepcze. - Kiedy byłam w internacie... nawet nie masz pojęcia... on był... jedynym jasnym punktem.

Mike woła Johna, drugiego barmana.

- Zastąp mnie na parę godzin, dobrze?

Wychodzi zza baru i wyciąga rękę. Caroline powoli zsuwa się ze stołka. Razem wkraczają w mroczne popołudnie. Patrzą sobie w oczy.

- Mój brat wyjechał na kilka miesięcy do Kanady - mówi Mike. - Mieszka tu niedaleko.

Caroline nie przypuszczała, że romans to taka skomplikowana sprawa. Pierwszego dnia nic na to nie wskazuje. Wychodzi od Mike'a pełna czułości, wdzięczna, odmieniona. Biegnie do domu i czeka na Grahama. Cieszy się na jego widok. Jak mogła się złościć, jak mogła warczeć? Szykuje mu kolację, słucha opowieści o biurze i całuje, jakby dawała mu siebie w prezencie; tak jak Mike dał jej siebie.

Jest w dobrym humorze aż do rana, kiedy się budzi i widzi u swego boku nie tego mężczyznę.

Praca ciągnie się w nieskończoność. Caroline nie może się doczekać, kiedy pobiegnie Pod Papugę. Pędem pokonuje półtorej przecznicy. Wchodzi. Mike podnosi głowę. Uśmiecha się i pozdrawia ją jak zwykle, jakby nie stało się nic szczególnego.

Stawia przed nią kawę po irlandzku i podchodzi do innego klienta.

Caroline nie może w to uwierzyć. Siedzi na stołku, chłodna i sztywna.

Kiedy dopiła do końca, Mike wraca.

- Zastąp mnie, dobrze, John?! - woła i znowu wyciąga do niej rękę.

Razem idą do mieszkania jego brata.

To trwa już od miesiąca. Caroline jest wiecznie zirytowana, wiecznie na krawędzi. Myli się przy remanencie w księgarni. Nie może się skoncentrować. Doprowadzają ją do szału własne nerwy. Nie wie, co robić, wie za to, że nie lubi siebie.

Obsesyjnie analizuje możliwe rozwiązania:

Rzucić Mike'a. Nigdy więcej nie zajrzeć do baru Pod Papugą. Ratować małżeństwo.

Tak byłoby najrozsądniej, ale zdaje sobie sprawę, że to nierealne. Nie wytrzyma z Grahamem, już nie. Za późno. Między nimi wszystko się zepsuło, ich związek to wyschnięte jezioro, został tylko muł i martwe ryby.

Mogłaby od niego odejść. Rozwieść się dla Mike'a. Ale Mike jest o tyle lat od niej starszy. Zbyt dużo przeżył bez niej. Nawet gdyby rozstał się z żoną, odciął do przeszłości, dla Caroline zostałoby bardzo niewiele. Puste miejsca w jego portfelu, których ona nigdy nie zapełni.

Szuka trzeciego, idealnego wyjścia, lecz w głowie ma tylko coraz większy zamęt.

Graham coś zauważył. Obserwuje zachodzące w niej zmiany. Widzi nowe bluzki, dostrzega coraz większą nerwowość. Pewnego ranka okazuje się, że ma wolną godzinę. Postanawia sprawić żonie niespodziankę i zabrać ją na lunch.

- Nie ma jej - mówi Gina. - Wyszła godzinę temu.

Graham włóczy się po ulicach, szuka jej w sklepach i knajpach, ale nigdzie jej nie ma.

- Jak minął dzień? - pyta, gdy Caroline wraca o piątej do domu.

- Wspaniale - zapewnia szybko. - Przepraszam za spóźnienie, siedziałam cały czas w księgarni, musiałam uzupełnić księgowość...

Następnego dnia Graham zwalnia się z pracy i idzie pod księgarnię. Czeka po drugiej stronie ulicy. Widzi, jak Caroline wychodzi. Idzie za nią do baru Pod Papugą czeka, patrzy, jak wychodzi z jakimś facetem, idzie za nimi.

Caroline wraca do domu o szóstej. Graham siedzi w salonie.

- Ty szmato - mówi. - Ty bezwstydna szmato. - Płacze.

- Jesteś pijany - wydusza z siebie Caroline.

- Jak mogłaś mi to zrobić?

Patrzy na niego bezradnie, z litością.

- Jesteś nienormalna. Z takim starym dziadem.

Caroline wzdycha.

- Być może.

- Nie będziesz miała wszystkiego, nie zgadzam się. Musisz wybrać, ten staruch albo ja.

I wtedy, po raz pierwszy od miesięcy, cichnie zamęt w jej głowie. Znalazła trzecie wyjście z sytuacji. Nie Graham i nie Mike. Będzie sama.

Jest trzecia nad ranem. Graham wyniósł się do hotelu. Powiedział, że porozmawiają, jak wróci.

Caroline siedzi sama w salonie z filiżanką herbaty. Śmieje się i płacze.

Przestaje płakać, podchodzi do okna. Noc jest jasna. Miasto mruga tysiącami okien. Zdaje się nieść jakieś przesłanie, lecz Caroline nie umie go odczytać.

Zdaje sobie sprawę, że nie wróci do Grahama i że on nie będzie długo cierpiał. Nim upłynie rok, znajdzie sobie inną kobietę, taką, którą

naprawdę będą bawiły weekendowe obiady i spotkania z jego przyjaciółmi.

Nie ma pojęcia, co z nią będzie. Ale wie, że teraz już poczeka do następnego sklepu z zabawkami.

Podchodzi do wieży stereo, nastawia Pieśni Camelotu i tańczy.

Caro

Ma za sobą fatalny dzień. Wybrała się na casting do sztuki Shawa, ale już w teatrze dowiedziała się, że całe to zamieszanie to pic na wodę, bo rolę Rainy i tak dostanie dziewczyna reżysera.

Wychodzi z teatru i idzie przez duszny, zakurzony park. Od kilku miesięcy nie grała; przeraża ją świadomość, że jest w Nowym Jorku już od czterech lat. Czasem przypomina jej się fioletowa skarpeta, którą znalazła pierwszego dnia w ciasnym mieszkanku. Ile jeszcze wytrzyma?

- Uda ci się - zapewnia Zoe w cotygodniowej rozmowie telefonicznej. - Na to trzeba czasu. - Ale i w jej głosie pojawia się nuta rozczarowania.

Dni mijają, szare i puste jak obłoki kurzu. Tak niewiele dokonała, nie rozwija się, nie ma przyjaciół. Widuje się z matką, kiedy Zoe zjawia się w Nowym Jorku w interesach, ale sama ani razu nie pojechała do Kalifornii. Boi się, że wtedy zrezygnuje i tam zostanie.

Wpada do restauracji. Spóźniła się do pracy. Szef ostrzega, że jeszcze raz i będzie musiała poszukać sobie innej roboty. Caro wkłada mundurek kelnerki.

Dzień wreszcie się kończy. Caro zagląda do portfela. Ma zaledwie siedemdziesiąt pięć dolarów, a to dopiero połowa miesiąca. Nie da rady. Musi sobie poszukać dodatkowej pracy albo poprosić Zoe o pożyczkę.

Postanawia wracać do domu na piechotę i oszczędzać na biletach.

Idzie Pięćdziesiątą Ósmą ulicą, mija bar Pod Papugą. Wygląda ciepło i przytulnie, dobiega z niego muzyka. Caro się zatrzymuje. Dawno tu nie była. Nie musi niczego kupować, posiedzi tylko chwilę i pogada z barmanem.

Mike stoi za barem, szykuje drinka. Caro siada na swoim stołku.

- Cześć - mówi.

- Cześć - Mike cieszy się na jej widok. - Dawno cię nie było. Jak tam role?

- Kiepsko - mówi Caro. - I nie mam kasy na drinka.

- To na koszt firmy - uspokaja. - Zwrócisz mi, kiedy zostaniesz gwiazdą. A skoro już o gwiazdach mowa - dodaje - mamy tu dzisiaj jedną.

- Kobieta czy mężczyzna?

- Mężczyzna.

- Kto? - pyta Caro. - Zobaczymy, czy warto się za nim oglądać.

- No, mnie nie pytaj - żartuje Mike. - Kilka lat temu był bardzo popularny. Teraz już nie.

Caro się odwraca.

Krew dudni jej w uszach.

Siedzi z dwójką innych - są w cieniu, ale na twarz Tristana pada jasny strumień światła.

Mike parska śmiechem, widząc jej minę.

- Ach, więc to tak!

Caro się czerwieni.

- Kiedy byłam w szkole średniej, był dla mnie bardzo ważny.

Leży w ciemnym pokoju o trzeciej po południu i w kółko słucha Pieśni Camelotu.

- Podejź do niego - radzi Mike. - Przedstaw się.

- Nie mogę.

- Oczywiście, że możesz.

Caro zsuwa się ze stołka i podchodzi do stolika Tristana. Staje i nic nie mówi. Tristan czujnie podnosi głowę. Na widok Caro wyraz jego twarzy się zmienia, czujność ustępuje zdumieniu.

Caro przygląda mu się uważnie.

- Chciałam tylko... - urywa.

Tristan się uśmiecha.

- Jak się nazywasz?

- Caro Andrews.

Wstaje.

- Tristan Michaels - kłania się. - A to Zak Petrie i Rob Levinson.

Zak chrząka.

- Przepraszam panią, ale to spotkanie służbowe.

- Ja też przepraszam. - Caro nie odrywa wzroku od Tristana. - Chciałam tylko powiedzieć - zaczyna znowu - że znaczysz bardzo wiele w moim życiu.

Tristan się uśmiecha.

- Dziękuję.

Caro odwraca się na pięcie.

- Poczekaj - słyszy.

Zatrzymuje się.

- Będziemy tu do piątku. Mieszkamy... - patrzy na Roba. - W jakim hotelu?

- Helmsiey Palace.

- W Helmsiey Palace - powtarza. - Może wpadniesz.

Caro przecząco kręci głową.

- Proszę - Tristan nalega. - Postaraj się. Będziesz na liście gości. -
Uśmiecha się. - Caro Andrews.

Na dworze jest jeszcze jasno. Caro idzie do Central Parku. Babcie z wnukami karmią kaczkę, mali chłopcy wspinają się na skały, młodzi prawnicy jeżdżą na rolkach. Nie zwraca na nic uwagi.

Waha się przez dwa dni. Chodzi na długie spacerunki i myśli.

Zdaje sobie sprawę, co oznaczałaby wizyta w hotelu Helmsiey Palace. Znała kiedyś dziewczynę, kelnerkę, która pojechała w trasę z The Doors. Wszystko jej opowiedziała.

Caro nie interesuje coś takiego. Nie jest dziewczyną na jedną noc.

Ale chce jeszcze raz zobaczyć Tristana.

Wchodzi do holu Helmsiey Palace.

W recepcji pyta:

- Przepraszam, w którym pokoju mieszka Tristan Michaels?

Recepcjonista zbyt dobrze zna swój zawód, by obrzucić ją spojrzeniem, które, jak wyczuwa, by jej się spodobało.

- Pani?

- Caro Andrews.

Jeśli Tristan zapomniał, będzie po ptakach. Caro się z tym liczy. Recepcjonista zerka na listę.

- A, tak, pani Caro Andrews. Proszę bardzo. Pokój 2104.

Winda jedzie tak szybko, że Caro kręci się w głowie. Idzie długim eleganckim korytarzem i staje przed pokojem 2104.

Puka lekko. Jeśli drzwi się nie otworzą, zanim doliczy do dziesięciu, odejdzie. Raz, dwa, trzy, cztery - i w progu staje Zak.

Obrzuca Caro spojrzeniem, na które profesjonalizm nie pozwolił recepcjoniście.

- Ej, Tris! - woła falsetem.

Tristan wynurza się z głębi pokoju.

- A jednak przyszłaś - mówi.

Obok niego stoi chudy, ciemnowłosa mężczyzna. Jest wyraźnie niezadowolony.

- To Harper, Harper Joely. Harper, poznaj Caro Andrews.

Harper rzuca na nią okiem.

- Jesteśmy gotowi, Tris. Idziesz?

Tristan patrzy na Caro.

- Chcesz iść na przyjęcie?

- Nie.

- Nie - zwraca się do Harpera. - Ale idźcie beze mnie.

Harper wzrusza ramionami.

- Allen będzie zły.

- Przeproś go ode mnie.

Tristan i Caro są sami w hotelowym pokoju. Stoją w milczeniu. W końcu Caro robi kilka kroków do przodu i muska dłonią obicie kanapy.

- Spodobałaby się mojemu Ojcu. Powiedziałaby, że ma czystą linię. Jest architektem.

- A ty?

- Aktorką.

Tristan się uśmiecha.

- Mogłem się tego domyślić. Masz na koncie jakieś sukcesy? A może nie powinienem o to pytać?

- Nie mam. No, chyba że jako dziecko. Miałam wtedy dużo szczęścia, zagrałam w serialu Drzewo na Brooklynie.

- Drzewo na Brooklynie - powtarza Tristan. - Brzmi uroczo.

- I było uroczo.

Caro opowiada o serialu. Opowiada, co czuła, kiedy się skończył, o latach, gdy w ogóle nie grała. Chciała, żeby wyszła z tego zabawna opowieść, a tymczasem ma łzy w oczach.

- Jeszcze zagrasz - mówi Tristan.

Caro kiwa głową.

- Chyba jest mi to pisane. Zresztą, bardzo wcześnie złapałam bakcyła; kiedy miałam siedem lat, po raz pierwszy wystąpiłam w reklamie.

- Pewnie byłaś zachwycona.

Caro się śmieje.

- Jasne. Zagrałam aniołka. Zrzucałam z chmurki papier toaletowy, który zamieniał się w tęczę. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam się w telewizorze, byłam przekonana, że to jakaś sztuczka.

Tristan przygląda się jej dziwnie.

- To byłaś ty?

- Jak to?

- W tej reklamie? Ty?

- Tak. Ale w amerykańskiej telewizji.

- Widziałem ją - mówi. - Byłem wtedy na wakacjach w Nowym Jorku. Widziałem cię w telewizji.

- Coś takiego.

- I napisałem o tym piosenkę.

Caro się śmieje.

- Co?

- Tak. Wiele lat później. Nimbus. Jest tam taki fragment: „Anioły wśród obłoków...”

-niosą tęczę" - kończy Caro.

- Tak. To o tobie.

Patrzą sobie w oczy.

Caro pierwsza odwraca wzrok. Krąży po pokoju, delikatnie dotyka różnych przedmiotów. Zatrzymuje się przed zdjęciem kobiety w srebrnej ramce.

- Kto to?

- Moja matka, Margaret. Zginęła w wypadku samochodowym, kiedy miałem dwanaście lat.

Ktoś puka do drzwi. Wchodzi pokojówka. Na widok Tristana wytrzeszcza oczy i omal nie upuszcza ręczników.

- Bardzo przepraszam, panie Tristan - mówi. - Nie chciałam panu przeszkadzać.

Wybiega, przyciskając ręczniki do piersi.

Tristan zerka na Caro. Jest rozbawiony i zarazem smutny.

- Obiecaj mi, że nigdy tak na mnie nie spojrzysz.

Caro się uśmiecha.

- Nie ma sprawy.

Podchodzi do niej. Dotyka jej policzka. Całuje ją.

Minęła północ. Pozostali członkowie zespołu wracają z przyjęcia.

Zak jest pijany; zatacza się na Caro, obejmuje ją ramieniem. Tristan ostrzega go spojrzeniem; Zack ją puszcza. Rob jest naćpany, otępiały. Harper nerwowo krąży po pokoju, wyrządza same szkody; dziurawi abażur, brudzi obicie krzesła podszwą...

- Przestań - prosi Tristan, ale bez skutku.

- Pójdę już - mówi Caro.

Czuje, że muzycy chcą, żeby sobie poszła.

Tristan odprowadza ją do drzwi.

- Zobaczymy się jeszcze?

- Tak.

Podaje mu numer telefonu na rogu ulicy.

- Czy o dziesiątej nie będzie za wcześnie?

- Nie.

Całuje ją jeszcze raz.

Caro nie śpi tej nocy. O dziesiątej rano czeka przy telefonie. Jest przygotowana na to, że Tristan nie zadzwoni. Rozlega się dzwonek.

Umawiają się w pobliskiej kawiarni. Caro już czeka, obserwuje, jak Tristan przechodzi przez ulicę. Inni goście udają, że go nie zauważyli, ale Caro słyszy urwane szepty. Tristan siada naprzeciwko niej.

Uśmiechają się do siebie.

- Nie mogłem zasnąć - mówi.

Caro nie przyznaje się, że też nie zmrużyła oka.

- Chciałbym ci coś dać. - Tristan sięga do kieszeni. - Pomyślałem, że ci się spodoba.

Podaje jej małe pudełeczko, a w nim - osiemnastowieczna porcelanowa broszka. Miniaturowa dama w różowej sukni siedzi na ławeczce, u jej stóp trubadur gra na mandolinie.

- Dziękuję - Caro odzywa się dopiero po dłuższej chwili. - Zachowam to do końca życia.

Nie wiadomo dlaczego te słowa brzmią groźnie, smutno. Tristan wyciąga portfel.

- Chciałem ci też coś pokazać. - Wyjmuje zdjęcie. - Tu mieszkam.

Wielki wiktoriański dom o szarych ścianach i granatowych okiennicach i framugach. Z przodu duża weranda, w oknach na najwyższym piętrze - witraże. Z tyłu zaniedbany ogród.

- Piękny.

- Na wyspie.

- Jeszcze lepiej.

- Jest malutka, niedaleko Maidenhead, mniej więcej godzinę drogi od Londynu. Jest na niej tylko ten dom. To prawda, cudowne miejsce, ale trochę niewygodne. Można się tam dostać tylko łodzią.

- Naprawdę?

- Tak. Mam małą motorówkę, ale wolę wiosłować.

Caro się uśmiecha.

- I nawet dobrze sobie radzę - chwali się Tristan. - Gorzej mi to idzie, kiedy wiozę torby z zakupami.

Caro się śmieje.

- Chciałbym ci to wszystko pokazać. Chybaby ci się spodobało. - Tristan chrząka, spuszcza wzrok. - Pojutrze wracam do Anglii. Pomyślałem sobie, że... że może pojechałabyś ze mną.

- Caroline Jane Andrews! - Zoe wrzeszczy do słuchawki. - Kompletnie oszalała! Nie zgadzam się na taki idiotyzm.

- Ale ja już zdecydowałam - mówi Caro spokojnie.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, w co się ładujesz? Mój Boże, że też dożyłam takiej chwili, moja jedyna córka wybiera się w trasę z muzykami... I to akurat teraz, kiedy twoja kariera wreszcie ruszyła z miejsca! - jęczy.

- To nie tak, Zoe, naprawdę. Nie ruszam w trasę z muzykami. Ja po prostu jadę z Tristanem. - Chwila ciszy. - Zoe... rozumiesz?

- Rozumiem, rozumiem - przyznaje Zoe niechętnie. - W końcu przez lata wisiał u nas w domu na ścianach. Ale jak to się skończy, skarbie? Co po trasie?

- Nic mnie to nie obchodzi - mówi Caro.

Zoe wzdycha.

- Cóż, nie mam wyboru. Zrobisz, co zechcesz, zresztą jak zwykle. - Milczy przez chwilę. - Jeszcze jedno - dodaje w końcu. - Gdyby miał wystąpić w pałacu Buckingham, włóż ten biały kostium, który ci kupiłam.

Zespół zatrzymał się w hotelu Marcliffe w Pitfodels. Jutro koncert w Aberdeen. Tristan, Zak i Harper pojechali obejrzeć salę. Caro wołała zostać w hotelu.

Pokój jest uroczy, staroświecki i przytulny. Rozpakowuje walizki, wieszka ubrania w szafie. Wsypuje suszone kwiaty do popielniczek. Wyjmuje zdjęcie Margaret i czyści srebrną ramkę.

Tristan kilkakrotnie wspominał, że chciałby też mieć fotografię Caro. Odmawia. Jest pod tym względem przesadna. Jeśli Tristan będzie miał jej zdjęcie, jej samej już przy nim nie będzie.

Siada na kanapie, przymyka oczy. Nagle czuje się bardzo szczęśliwa. Lecz jest to dziwne szczęście - bez związku z jej dawnym życiem. Caro rzadko wspomina przeszłość. Czasem kobieta w jaskrawym szalu przypomni jej Zoe. Stare plakaty z musicalu Bye, Bye, Birdie - szkołę, mężczyzna w średnim wieku spotkany w parku - Mike'a z baru Pod Papugą. I tyle. Nowe życie zmasowało przeszłość.

Za to jest bardzo męczące. A trasa koncertowa wydaje się nierzeczywista. Caro widzi tylko wnętrza: pokoje hotelowe, autokary, limuzyny, sale koncertowe.

Tristan i jego zespół nie wychodzą na dwór, grają w karty, udzielają wywiadów, oglądają telewizję. Caro tak nie potrafi. Ona wychodzi codziennie, włóczy się po mieście, chłonie rześkie powietrze. Zagląda do kościołów, kupuje kwiaty i chleb. Mimo to dni są do siebie podobne i coraz nudniejsze.

Ale kiedy występują, jest inaczej. Przed koncertem wszyscy są nerwowi. Kłóćą się bez powodu. Caro za wszelką cenę unika wtedy Zaka. Tristan bardzo wycisza się przed koncertem. Caro siedzi z nim za kulisami, dopiero w ostatniej chwili idzie na widownię.

Kiedy Tristan wychodzi na estradę, tłum szaleje, wszyscy zrywają się z miejsc i wrzeszczą. Caro widzi wtedy, że jest szczęśliwy.

Pierwszą piosenką jest zawsze Nimbus.

„Anioły wśród obłoków niosą tęczę”. Przy tych słowach zawsze patrzy a nią.

Caro nie może uwierzyć, że on jest taki subtelny, taki delikatny. To promień światła na scenie.

Po koncercie idą gdzieś wszyscy razem. Caro siedzi koło Tristana, ale to Zak do niego mówi. Omawiają cały koncert, analizują błędy, planują następny występ.

Caro rozmawia wtedy z Robem i Harperem. Zdaje sobie sprawę, że za nią nie przepadają, ale się tym nie przejmują. Gorzej z Zakiem - on jej nienawidzi.

Otwierają się drzwi. Zespół wchodzi do pokoju. - Śliczna mała Caro.

Od razu wie, że Tristan jest naćpany. To wszystko wina Zaka. To on podsuwa mu narkotyki. Nie może patrzeć w błyszczące oczy Tristana. Odwraca głowę.

Jadą do Francji, Holandii, Włoch, Niemiec, Finlandii. Czasem lecą samolotem, czasem podróżują pociągiem. Czasem, przemieszczając się między miastami, wsiadają do autokaru. To chwile spokoju. Caro bezmyślnie gapi się na krajobraz za oknem. Bywa, że Rob się do niej dosiada. Wypytuje o Hollywood. Caro opowiada, jak to jest kąpać się na plaży w Malibu, spacerować po Bulwarze Zachodzącego Słońca. Pewnego dnia opowiada mu o Zoe. Wyobraża sobie, jak Rob i Zoe jedzą razem obiad w Bistro Gardens - palą jak smoki i śmieją się głośno.

- Znaleźlibyście wspólny język.

Ta rozmowa sprawiła, że zatęskniła za Zoe. Wysłała do niej kartkę z Antwerpii. Tristan, Rob i Harper się dopisują.

Tristan pisze nowe utwory w autokarze. Któregoś dnia prosi, żeby Caro zanuciła melodię.

- Jeszcze raz.

Nuci jeszcze raz.

Patrzy na nią uważnie.

- Masz ładny głos.

- Wiem - mruczy. - W końcu mało brakowało, a zagrałabym Kim z Bye, Bye, Birdie.

- Teraz drugi wers.

Śpiewa, a Tristan coś notuje.

- Ej, chłopcy! - woła do kolegów z zespołu. - Posłuchajcie tego.

- Nie - mówi Caro.

Ale śpiewa piosenkę razem z nim.

- Zgódźcie się - prosi Tristan. - Niech Caro zaśpiewa z nami na koncercie.

Zak gwałtownie odchodzi na przód autokaru.

- Nie - powtarza Caro.

- Daj spokój. Będzie - super.

Następny koncert - w Brukseli. Caro wystąpi z zespołem. Czeka za kulisami, zamiast jak zwykle pobiec na widownię. W połowie koncertu Tristan daje jej znać, żeby wyszła na estradę.

Po koncercie przytula ją.

- Byłaś fantastyczna.

Caro kręci głową.

- Nigdy więcej.

- Dlaczego?

- Wstydzi się - mówi Rob.

Caro się uśmiecha.

To nie tak. Kiedy występuję, chcę być gwiazdą, a nie częścią zespołu. Tristan tego nie pojmuje, chyba jest mu nawet trochę przykro. Zoe zrozumiałaby na pewno.

Po koncertach mnóstwo dziewczyn kręci się koło zespołu. Fanki czatują przy tylnym wyjściu, wracają z Robem, Zakiem i Harperem na noc do hotelu. Caro nie ma z nimi nic wspólnego.

Pewnego wieczoru widzi młodziutką dziewczynę, ma nie więcej niż piętnaście lat. Czeka na Harpera, który przebiera się w garderobie.

- Nie mogę w to uwierzyć - papie radośnie do Caro. - Harper obiecał, że po trasie załatwi mi rolę w filmie.

- Wracaj do domu - radzi Caro. - Sama nie wiesz, co robisz.

Dziewczyna przygląda się jej.

- Ale ty tu jesteś - mówi w końcu.

- Ja to co innego.

Dziewczyna się czerwieni.

- Zazdrościsz mi.

Caro wyjmuje kilka banknotów z portfela.

- Na taksówkę.

Dziewczyna wybucha płaczem, ale bierze pieniądze i wychodzi.

Harper wraca.

- Ej, gdzie ta mała?

- Wysłałam ją do domu.

Trasa się skończyła. W nowym roku będzie kolejna, ale na razie Caro i Tristan są wolni.

Zabiera ją do szarego wiktoriańskiego domu na wyspie. Caro najchętniej zostałaby tam, w zarośniętym ogrodzie, na zawsze. Cisza. Słychać tylko kaczki, kurki i strumyk. Caro zajmuje się domem z troską, na jaką zasługuje. Prasuje wiekowe lniane obrusy, poleruje ciężkie srebrne lichtarze.

Kiedyś nie uwierzyłaby, że to może być takie przyjemne.

Stara się nie opuszczać wyspy. Nie lubi nawet przeprowiać się na drugi brzeg po zakupy. Póki pogoda na to pozwala, godzinami przesiaduje w zacumowanej łódce, patrzy na wierzby odbijające się w wodzie i doświadcza absolutnego szczęścia.

Za tydzień następna trasa. W czwartkowe popołudnie Caro przeprowia się do Windsoru po zakupy. Kiedy wraca nad rzekę, słyszy

ciche miauczenie. Bezdomny kotek siedzi przy łodzi. Jest malutki jak kocię.

Caro zabiera go ze sobą na wyspę. Niesie go do domu, do biblioteki, gdzie Tristan pracuje.

- Zobacz, co przyniosłam.

Po raz pierwszy się na nią gniewa.

- Co za bezmyślność - mówi. - Za kilka dni wyjeżdżamy w trasę. Kto się nim zajmie?

Caro w milczeniu bierze kociaka i wychodzi. Idzie do sypialni, siada na łóżku, patrzy w okno. W końcu wstaje i wraca do biblioteki.

- Chciałabym go zatrzymać - mówi. - Na razie oddamy go do weterynarza na przechowanie, a później... chcę, żebyś przestał koncertować. Chcę, żebyśmy tu zostali. - Urywa na moment. - I chcę mieć dziecko.

Tristan tylko na nią patrzy. Caro nie ma pojęcia, jak zareaguje.

Podczas rozmowy przez ocean słyszalność jest fatalna.

- Zoe?! - woła Caro. - Zoe?!

- Caro? - Wreszcie. - Gdzie jesteś?

- Wciąż w Anglii.

- Co się stało? Wszystko w porządku?

- Zoe, mogłabyś tu przyjechać? Za dwa tygodnie?

- Dlaczego? Co się dzieje?

Caro się uśmiecha.

- Nic się nie dzieje. A, i zabierz sukienkę, która nadaje się na ślub.

- Co?! - wrzeszczy Zoe. - Wychodzisz za mąż?

- Otóż to.

- Kochanie, to wspaniale! Super!

- Ale to tajemnica, Zoe. Nikt nie może się dowiedzieć.

- Rozumiem, nie pisnę ani słowa. Chyba jeszcze jest gdzieś w domu podwiązka, którą miałam podczas ślubu z twoim ojcem - papple Zoe radośnie. - Wiesz, coś pożyczonego. Och, jestem taka...

Połączenie jest coraz gorsze i Caro słyszy już tylko radosne okrzyki.

W przeddzień trasy Caro nie może zasnąć.

- Co jest? - pyta Tristan.

- Nic, tak tylko myślałam... jeśli będziemy mieli dziecko, nazwiemy je po tobie.

Tristan kręci głową.

- Nie, narodzi się przecież nowy człowiek.

- A jak masz na drugie?

- Alexander.

- Więc nazwiemy go Alexander.

Caro wyobraża to sobie: leżą w łóżku, Tristan z jednej strony, mały Alexander z drugiej, a ona obejmuje ich obu.

Trasa dobiega końca. Jeszcze tylko cztery dni. Przejadą przez Midlands, wystąpią w Liverpoolu i Manchesterze, a potem ostatni koncert w Londynie. W następnym tygodniu Tristan i Caro się pobiorą. Udało im się utrzymać to w tajemnicy - nadal wie tylko Zoe. Tristan uważa, że bez sensu byłoby informować o tym pozostałych, wprowadzać zamieszanie podczas trasy. Po ostatnim koncercie powie wszystkim - najpierw muzykom, potem prasie.

Jeszcze trzy dni.

Są w hotelu Chester - Grosvenor w Chester. Zapada zmrok. Caro odsuwa zasłony, patrzą na rynek. Jest tu zakaz ruchu samochodowego i ciszę przerywają tylko kościelne dzwony. Caro stoi w ramionach Tristana i przymyka oczy.

- Pójdziemy dzisiaj na kolację? - pyta. - Tylko we dwoje?

- Chętnie.

Caro dzwoni do recepcji. Rezerwują stolik w Blue Bell, najstarszej restauracji w mieście.

Pukanie do drzwi. Zak. Ignoruje Caro, zwraca się do Tristana.

- Wskoczmy do pubu?

Tristan patrzy na Caro.

- Mamy stolik na ósmą - przypomina mu.

Uśmiecha się do niej.

- Wrócę o wpół do.

Caro idzie do łazienki. Szykuje sobie kąpiel w staroświeckiej edwardiańskiej wannie. Dotyka wiekowej mydelniczki, porcelanowych kurków. W małym pomieszczeniu naliczyła osiemnaście pięknych przedmiotów.

Wkłada sukienkę z niebieskiego jedwabiu. Ze sto razy szczotkuje włosy i czeka na Tristana.

Nie wraca. Jest wpół do ósmej, za piętnaście, wpół do dziewiątej.

Zjawia się za pięć dziewiąta.

- Przepraszam - mówi. - Na pewno jeszcze znajdziemy wolny stolik.

Prawie się nie odzywa w drodze do Blue Bell.

- Co jest? - pyta Caro.

- Nic.

Ale ona się domyśla. Powiedział Zakowi, że się pobierają.

Restauracja jest urocza, bardzo stylowa, ale żadne z nich nie zwraca na to uwagi. Tristan stara się, jak może, ukryć przed Caro, że jest zdenerwowany. Trzyma ją za rękę, gładzi delikatnie. Caro nie zmusza go do rozmowy.

Wracają do hotelu. Idą do pokoju, rozbierają się w milczeniu i kładą spać. Caro tuli się do Tristana, ale on nie reaguje.

W końcu Caro zasypia. I nagle się budzi. Tristana nie ma w łóżku. W łazience pali się światło. Caro wstaje i powoli idzie przez ciemność.

Leży na podłodze. W jego ramieniu tkwi igła. Caro od razu wie, że on nie żyje. Stoi bez ruchu. Wyszukuje wzrokiem osiemnaście pięknych przedmiotów. Klęka przy Tristanie. Dotyka jego włosów, policzków, ust. Otula go szlafrokiem. Był skromny, nie chciałby, żeby obcy ludzie widzieli go w takim stanie,

W końcu wstaje i dzwoni po dyrektora hotelu.

Caroline

Kilka dni po odejściu Grahama euforia opada.

Atak paniki. Caroline nie wie, co robić. Myśli i myśli całymimi dniami. Nie zostanie w tym mieszkaniu; nie stać jej na czynsz. Nie wie nawet, czy nadal chce mieszkać na Manhattanie. Może się przenieść? Brooklyn? Albo Los Angeles. Zamieszkałaby z Zoe i spróbowała swoich sił w jakimś małym teatrze.

Po pracy wraca prosto do domu. Od wtedy nie była Pod Papugą. Ona i Mike już się nie widują.

Na początku marca zaczyna coś podejrzewać. Idzie do lekarza. Każe jej zadzwonić następnego dnia.

Pielęgniarka prosi, żeby poczekała przy telefonie. W końcu podchodzi do aparatu.

- Tak, pani Moss - oznajmia radośnie. - Tak, będzie pani miała dziecko.

Caro

ROCKMAN PRZEDAWKOWAŁ. PIOSENKARZ UMIERA W HOTELU.

Ciągle ma przed oczami krzykliwe nagłówki. Dziennikarze są koszmarni. Nie dają jej spokoju.

- Ej, Caro, wiedziałaś, że bierze?

- Też bierzesz?

- Czy to był złoty strzał?

- Jakie były jego ostatnie słowa?

Rozmawia z lekarzem, który wystawia akt zgonu. Opowiada policjantom, jak to było. Pyta, czy może wrócić do Ameryki. Może.

Caro wychodzi z posterunku; kręci jej się w głowie. Siada i widzi krew na spódnicy.

Zabierają ją do szpitala.

- Przykro mi - mówi lekarz. - Nie wiem, czy to panią jakoś pocieszy, ale to był dopiero początek ciąży.

Caro wraca do hotelu. Dzwoni do weterynarza i prosi, żeby znalazł dom dla kociaka. Pakuje walizkę: zabiera tylko swoje ubrania, zdjęcie Margaret i broszkę z trubadurem.

Część 5

Małe światy

Caroline

Codziennie przed pracą Caroline chodzi na spacer do Central Parku. Ma swoje ulubione drzewa, ulubione klomby. Dzień w dzień obserwuje, jak się rozwijają. Mija czas.

Musi coś zrobić, musi podjąć decyzję. Co rano obiecuje sobie, że podejmie ją dzisiaj. Pójdzie na spacer do parku i tam, nad stawem czy pod drzewem, zdecyduje, co robić. Lecz dni mijają - i nic.

W parku jest mnóstwo dzieci w lekkich wiosennych kurteczkach. Caroline zatrzymuje się i patrzy na nie. Wszystko sprowadza się do podstawowego pytania: czy chce dziecka? Próbuje sobie wyobrazić swoje dłonie na poręczy wózka, dziecko w ramionach, I nie może.

Codziennie mija szyld reklamowy poradni planowania rodziny. Odwraca wzrok, ale łapie się na tym, że zapamiętała numer telefonu.

Nikomu nie powiedziała o dziecku. Zastanawia się, czy nie powiedzieć Grahamowi. Co prawda mówił, że nie są gotowi na dziecko, ale skoro jest już w drodze, postąpiłby właściwie. Może nawet byłby zadowolony. Caroline wie, że wróciłby do niej ze względu na dziecko. Nadal mieszkaliby w eleganckim apartamencie, kupowałiby dziecku ubranka w drogich sklepach. Nie, do tego nigdy nie dojdzie, tłumaczy sobie.

Liczyła i liczyła.

Dziecko jest Mike'a.

Pewnego ranka, ubierając się, zauważyła, że nie dopina się na niej spódnica. Naprawdę nie ma już czasu.

Tego samego dnia idzie do baru Pod Papugą, zanim zjawi się wieczorny tłum. Nie była tu, odkąd Graham się wyprowadził. Stoi w szatni i obserwuje Mike'a. Wszędzie go pełno, jak dawniej. Jej nieobecność wcale go nie przytłoczyła.

Dostrzega ją.

- Proszę, proszę - zaczyna powoli.

Caroline podchodzi do swojego stołka, siada.

- Cześć.

- Dawno tu nie byłaś.

- To prawda. Sporo się wydarzyło. - Głęboko nabiera tchu. - Moje małżeństwo się... - Macha ręką.

- Przykro mi.

- Mike, muszę ci coś powiedzieć. - Czuje, jak pod pachami spływają jej strużki potu. Nie myślała, że to może być takie trudne. - Jestem w ciąży.

Mike powoli odstawia szklankę. Patrzy na Caroline, Nigdy nie widziała tak zimnych oczu.

- No to gratuluję - mówi i uśmiecha się szeroko. - Pewnie twój mąż nie posiada się ze szczęścia.

Caroline się czerwieni.

- To nie jest jego dziecko.

- Na pewno jego. - Nadal się uśmiecha.

- Posłuchaj, Mike...

- Tak, dziecko to cudowny dar od losu - mówi głośno. - Mam wnuki, więc wiem, co mówię.

Wychodzi zza baru, podaje Caroline rękę i pomaga jej zejść ze stołka.

- Nie powinnaś tu przychodzić - mówi. - Alkohol i dzieci to kiepska kombinacja.

Usłyszał to klient przy sąsiednim stoliku. Podnosi kieliszek.

- Proszę słuchać Mike'a - radzi. - To fantastyczny facet.

Caroline powoli idzie do domu. W uszach gra jej stara piosenka, Mężczyzna w moim dziewczęcym życiu. Nagle uświadamia sobie, że w jej życiu nie ma już żadnych mężczyzn.

Zatrzymuje się na środku chodnika. Nie wiadomo skąd wie, że jej dziecko to chłopiec. Czuje w ramionach jego ciężar.

Graham przychodzi następnego wieczoru. Dziwnie jest tak nagle znowu mieć go w domu. Podsuwa mu jego ulubiony fotel, ale on nie siada. Przycupnął na niewygodnym krześle.

- Jak się masz? - pyta oficjalnie.

- Dobrze, dziękuję.

Caroline właściwie nie wie, po co przyszedł. Nic nie mówi o rozwodzie. Przez kilka minut opowiada o pracy.

- Chciałem ci tylko powiedzieć - w końcu przechodzi do rzeczy - że za kilka miesięcy wygasa umowa najmu tego mieszkania i muszę wiedzieć, jakie są twoje plany.

Caroline kiwa głową.

- Rozumiem. Dam ci znać.

On też kiwa głową.

Nagle wygląda bardzo młodo, jak wtedy, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Chce mu powiedzieć o dziecku, ale w ostatniej chwili gryzie się w język.

Graham wyszedł. Caroline krąży po mieszkaniu. Oczywiście nie zostanie tutaj, wie to od dawna, lecz odsuwała od siebie wszelkie decyzje.

I nagle zalewa ją fala strachu. Ma oszczędności z pracy w księgarni, ale to wystarczy tylko na kilka miesięcy. A przecież dziecko.... Musi teraz zdecydować. Przede wszystkim znaleźć tańsze mieszkanie, może na Brooklynie albo w Hell's Kitchen. I inną pracę, żeby utrzymać siebie i dziecko. Ale co umie? Codziennie widuje studentki w okolicy - ich młodość i pewność siebie ją przerażają. Powinna była iść do pracy zaraz po studiach, do porządnej pracy, do pracy z przyszłością. Ale teraz jest za późno, żeby zaczynać od nowa. Chociaż, z drugiej strony, będzie miała dziecko, czyli wszystko zacznie się od nowa.

Następnego dnia przechodzi obok budynku Citicorp. Dostrzega nieduży szyld na rogu ulicy: MAŁE ŚWIATY, strzałka wskazuje sklepik w suterenie.

Caroline podoba się ta nazwa. Ostrożnie schodzi metalowymi schodkami.

Małe Światy to sklep z domkami dla lalek. Caroline wpatruje się w wystawę z wiosenną dekoracją. Wchodzi do środka, ogląda półki pełne miniaturowych mebelków i uśmiechniętych lalkowych rodzin.

Właścicielka, kobieta po pięćdziesiątce z kręconymi siwymi włosami, wychodzi z zaplecza.

- Szuka pani czegoś konkretnego?

Caroline przecząco kręci głową.

- Nie, już nie. Ale kiedyś, dawno temu, godzinami przesiadywałam w takim sklepiku. I teraz powróciły wspomnienia.

Kobieta się uśmiecha.

- Cieszę się.

Caroline bierze do ręki mały plastikowy telewizor. Pamięta podobny, który ukradła Yvette, gdy miała cztery lata. Przypomina sobie swój domek dla lalek, Laura zrobiła go z pudełek po butach. Były tam firanki ze skrawków koronki, dywaniki obszyte niebieską tasiemką. A Meg i Adam siedzieli razem z nią na podłodze i bawili się godzinami.

Stawia sobie na dłoni miniaturową kołyskę i patrzy na nią w zadumie.

- Chciałabym znów mieć domek dla lalek - zwraca się do właścicielki. - Jestem w ciąży.

To pierwsza osoba, oprócz Mike'a, której o tym powiedziała.

- Moje gratulacje! Pewnie, że potrzebuje pani domku dla lalek. - Szybko przegląda zawartość półek. - Może zbuduje go pani sama?

- O nie, mam dwie lewe ręce.

Caroline jest na siebie zła, że zdradziła swój sekret. Zapomniała, że musi znaleźć nowe mieszkanie i pracę, że kończą się jej pieniądze. Nie stać jej na domek dla lalek.

- Może ten? Co prawda dla początkujących, ale bardzo praktyczny.

Caroline patrzy na domek namalowany na pudełku i ślinka jej cieknie.

Ma łzy w oczach. To trzypiętrowy wiktoriański budynek, z szeroką werandą kolumnkami i witrażami na najwyższym piętrze.

Zapomina, że musi znaleźć mieszkanie i pracę, że kończą się jej pieniądze.

Pomaluję go na szaro, decyduje, na szaro z granatowymi wykończeniami.

- Proszę mi go zapakować - mówi.

Już teraz, zaraz, zabrałaby pudło do domu, ale właścicielka nie chce o tym słyszeć.

- Jest pani w ciąży - przypomina. - Proszę podać mi adres, przywiozę go pani po pracy.

Caroline zadaje sobie trud, szykując się do tej wizyty. Kupuje w spożywczym herbatę, wchodzi do cukierni po ciasto, układa poczęstunek na staroświeckiej tacy. Już dawno nikt jej nie odwiedzał - właściwie nie pamięta, kiedy gościła kogoś ze znajomych. Właścicielka sklepu nie jest wprawdzie jej znajomą ale Caroline czuje się głupio, że nawet nie wie, jak ona ma na imię.

O szóstej rozlega się dzwonek do drzwi. Przyjechało pudło z domkiem.

Wspólnie upychają je do schowka.

- Dziękuję - sapie Caroline, - Nie miałam pojęcia, że to takie ciężkie. Że też chciało się pani wieźć to taki kawał.

- Nie ma sprawy. Potrzeba chwili. - Kobieta sięga do torby. - Wychodziłam już ze sklepu, kiedy coś przyszło mi do głowy: co komu po domku dla lalek, jeśli nie ma w nim lalek? - Wyjmuje z torby małą rodzinę - ojciec, matka, dziewczynka i bobas - podaje Caroline.

- To dla pani.

Caroline wzdycha.

- Jest pani taka dobra, a ja nawet nie wiem, jak się pani nazywa.

- Trina Gellis.

- Czy to skrót od Katrina?

- Niestety nie. Właściwie mam na imię Tina, ale to do mnie nie pasuje. Żadna ze mnie Tina Turner, więc je zmieniłam.

Caroline się uśmiecha.

- Rozumiem to doskonale. Zawsze chciałam nazywać się Chantal. - Wskazuje krzesło. - Proszę, niech pani usiądzie, napijemy się herbaty.

- O, nie - protestuje Trina. - I tak jest już późno, zmykam. Pewnie lada chwila wróci pani mąż.

- Nie - zapewnia Caroline. - Mój mąż nie wróci. I to nie teraz, dzisiaj, tylko w ogóle. Jesteśmy w separacji. - Zakłopotana, wskazuje kuchnię. - A herbatę już przygotowałam.

- W takim razie bardzo chętnie. - Trina siada na kanapie.

Caroline zdaje sobie sprawę, że za dużo gada, ale jakoś nie może się opanować.

- Wszystko teraz stoi na głowie - papie, nalewając herbatę. - Oszalałam, kupując ten domek. Nie wiem nawet, gdzie będę mieszkać za miesiąc.

Opowiada Trinie o swoim życiu: o studiach w Yale, o Grahamie, o tym, jak rozpadło się ich małżeństwo. A Trina wspomina swoje małżeństwo i swój rozwód. Caroline od dawna tyle nie mówiła - i nie słuchała.

- I co teraz? - pyta w końcu Trina.

- Nie wiem. Wkrótce muszę się przeprowadzić. I znaleźć dodatkową pracę. I nie wiem, co oprócz tego mogłabym zrobić.

Trina ostrożnie odstawia filiżankę.

- A co powiesz na pracę u mnie?

Kiedy wychodzi, jest już ciemno. Caroline idzie do okna i patrzy na miasto w dole.

W poniedziałek zacznie pracę w Małych Światach. Będzie dekorowała wystawę, robiła inwentaryzację, obsługiwała klientów. Znajdzie tańsze mieszkanie i, z dwoma posadami, jakoś sobie poradzi.

Co za ulga.

Odwraca się od okna i jej wzrok pada na rodzinę lalek, prezent od Triny. Podchodzi do półki. Wkłada maleństwo w ramiona lalkowej mamy, tatę sadza na krawędzi stołu, córkę na jego kolanach. Bardzo długo patrzy na te dwie figurki.

Barton chyba się cieszy, słysząc jej głos w słuchawce.

- Caroline! Wszystko w porządku?

- Tak, tak. Po prostu dawno się nie widzieliśmy... brakuje mi ciebie. Pomyślałam, że może umówimy się na lunch.

- Świetnie. Na przykład w Zielonej Tawernie, czwartek, trzynasta. Poproszę sekretarkę, żeby zarezerwowała nam stół.

Caroline wchodzi do restauracji i szef sali informuje ją że pan Andrews już jest. Widzi go - siedzi sztywno wyprostowany i notuje coś w skórzanym notesie. Wydaje się bardzo zmęczony, bardzo siwy, i ogarniają ją wyrzuty sumienia. Do tego stopnia pochłonęły ją własne kłopoty, że na zbyt długo zapomniała o ojcu.

- Tato. - Całuje go w policzek.

- Caroline... tak długo się nie widzieliśmy. - Przygląda się jej uważnie, kiwa głową. - Ładnie wyglądasz.

Woła kelnera.

- Prosimy wodę i bułeczki.

Caroline patrzy z czułością jak powoli popija wodę, jak drobi bułkę.

Cały ojciec.

Rozmawiają o wszystkim i o niczym. Barton opowiada o nowym projekcie, Caroline o pracy w księgarni.

- I mam jeszcze drugą pracę, zaczęłam w tym tygodniu. W sklepie z miniaturkami.

Ojciec marszczy czoło.

- Graham za mało zarabia? Musisz mieć dwie prace?

Caroline się waha. Jak tu powiedzieć ojcu, że są w separacji?

- Ja się z tego cieszę - mówi.

- Ale kariery tam nie zrobisz.

Nie wypomina mu, że kiedyś chciała zostać architektem. Zamawiają główne danie, kelner obsługuje ich i odchodzi.

- Tato - zaczyna Caroline. - Muszę ci coś powiedzieć. Jestem w ciąży.

Barton robi się różowy na twarzy. Uśmiecha się szeroko.

- Wspaniale! - mówi. - Chłopiec czy dziewczynka?

Caroline się śmieje.

- Lekarz nie wie, ale jestem pewna, że to chłopiec.

- Wnuk - zamyśla się. - Coś takiego.

Caroline widzi, że jest bardzo podekscytowany. Ona też promienieje. Ojciec doświadczył w życiu tylu nieszczęść, lecz ona da mu wnuka.

- Graham pewnie szaleje?

Caroline głęboko nabiera tchu.

- Tato, Graham i ja jesteśmy w separacji. I chyba się już nie zejdziemy.

Chwila milczenia.

- Jak to?

Nie opowiada mu o Mike'u, mówi tylko, że straciła z Grahamem wspólny język.

Barton milczy.

- Ale chyba możesz coś zrobić. Przecież dopiero co się pobraliście. Może pójdziecie na terapię małżeńską? To często pomaga.

Caroline przypomina sobie, ile wysiłku włożył, by ratować związek z Meg.

- Raczej nie - mówi.

Barton wzdycha.

- Szkoda, że wcześniej mi o tym nie powiedziałaś. Ale chyba nie mnie pierwszemu o tym mówisz. - W jego głosie jest nuta żalu. - I dobrze to rozumiem.

- Och, tatusiu - dawno tak się do niego nie zwracała. - To patowa sytuacja.

- No cóż. - Barton bierze się w garść. - Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie, ale i tak dziękuję.

Barton kręci głową.

- Dziecku będzie ciężko, jeśli rodzice się rozstaną.

Caroline wie aż za dobrze, co to znaczy, kiedy rodzice nie są razem.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby dorastał szczęśliwy - zapewnia.

- A Graham na pewno ci w tym pomoże.

Caroline przetyka ślinę.

- Właściwie jeszcze mu nie powiedziałam.

Ojciec marszczy brwi.

- Ma prawo wiedzieć.

Caroline kręci głową.

- Wcale nie ma.

- Oczywiście, że ma. Jest jego ojcem.

Caroline się waha, ale nadal nie może się zdobyć, by powiedzieć mu o Mike'u.

- Zastanowię się nad tym - obiecuje.

- Koniecznie.

Długo siedzą w milczeniu.

- A co na to wszystko Zoe? - pyta w końcu Barton.

- Jeszcze jej nie mówiłam, chciałam, żebyś ty się dowiedział pierwszy. Dzisiaj do niej zadzwonię.

Barton przewraca oczami.

- Dzieciak będzie w telewizji, zanim skończy miesiąc.

Śmieją się oboje. Caroline jest zaskoczona, że ojciec złagodniał na tyle, by powiedzieć coś takiego.

Słońce wychodzi zza chmur i nagły promyk światła pada na twarz Bartona. Caroline widzi głębokie zmarszczki przy oczach i ustach ojca. Przykrywa jego dłoń swoją. Przypomina sobie, jak ją łaskotał, kiedy była mała, i jak to lubiła.

- Co u Meg? - pyta.

Ojciec długo się zastanawia.

- Jest stabilna - mówi w końcu. - I lepiej już chyba nie będzie.

- Przykro mi.

Ojciec się prostuje.

- Cóż, nic się na to nie poradzi. Ale będzie zachwycona, kiedy jej przekażę nowiny od ciebie.

Caroline wcale nie jest tego taka pewna, wciąż ma w uszach głos Meg, gdy krzyczy w szpitalu: „Zabierzcie ją zabierzcie ją!”

- W każdym razie - mówi - w październiku zostanie babcią.

Skończyli jeść. Caroline się podnosi, lecz Barton zatrzymuje ją gestem.

- Wieczorem wpadnę do banku, otworzę fundusz powierniczy dla małego i uruchomię wypłatę pensji dla ciebie. To powinno odciążyć cię finansowo.

Caroline obejmuje go serdecznie.

- Wielkie dzięki, ale nie trzeba. Poradzę sobie.

- Na pewno?

- Tak. A jeśli się mylę, pokornie przybiegnę do tatusia.

- Obiecujesz?

- Tak.

- Ale fundusz powierniczy... tu chodzi o mojego wnuka!

Caroline się uśmiecha.

- Oboje jesteśmy bardzo wdzięczni.

Ściska go mocno.

Wieczorem dzwoni do matki.

- Zoe, najświeższe nowiny: będę miała dziecko.

- Och, kochanie! - Zoe krzyczy na całe gardło. - Cudownie, wspaniale! Będziesz idealną mamą, a ja niezrównaną babcią. Mam tylko nadzieję, że to będzie chłopiec?

- Chyba tak. - Przypomina sobie żart ojca i dodaje: - Może zostanie aktorem. A ty zajmiesz się jego karierą.

- O tak, to by było coś, no nie? - cieszy się Zoe.

Caroline chce podzielić się z nią drugą nowiną, o Grahamie, ale Zoe nie daje jej dojść do słowa:

- Skarbie, dzwoni drugi aparat, a czekam na ważny telefon ze studia.

Niedługo pogadamy.

W następnym tygodniu przychodzi przesyłka z Los Angeles - przepiękna wiklinowa kołyska z bilecikiem, na nim zamasztyte pismo Zoe: Dla przyszłego Gwiazdora.

W piątek wieczorem rozlega się dzwonek do drzwi. Graham.

- Telefonował twój ojciec - mówi uroczyście. - Jak rozumiem, będziemy mieli dziecko.

Caroline zaciska pięści. To zupełnie w stylu ojca - puścić mimo uszu jej słowa, uznać, że on wie najlepiej, choć nie wie nic.

- Nie powinien był tego robić.

- Myślał o dziecku.

- Ale, Graham...

Podnosi rękę.

- To oczywiście wszystko zmienia - mówi.

Znowu chce mu przerwać, lecz nie dopuszcza jej do głosu.

- Teraz najważniejsze jest dziecko. - Mówi coraz szybciej o odpowiedzialności, która na nich spoczywa, o tym, że skoro stworzyli nowe życie, muszą zapomnieć o starych nieporozumieniach i zacząć od nowa.

Mówi szczerze, w jego oczach błyszczy wiara we własne słowa. Caroline wyobraża sobie, że godzi się na nowy początek i wtula w jego ramiona. I czuje, że tym razem mogłoby się im udać - jest starsza, ma mniej złudzeń. A dzieciak miałby ojca. Graham zabierałby go na mecze baseballowe, kupowałby malutkie sportowe T-shirty. Ale to tylko marzenia.

Cofa się o krok, Nie może na niego patrzeć.

- Graham, jestem prawie pewna, że to nie twoje dziecko - mówi cicho.

Urywa w pół słowa. Dopiero teraz dociera do niej, jak bardzo się cieszył na myśl, że zostanie ojcem. Przykro jej, że zadaje mu ból.

Poczerwieniał.

- Tego starego?

- Tak.

- Twój ojciec jakoś pominął ten nieistotny szczegół.

- Nie wiedział.

Graham się odwraca.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi wcześniej, zanim zrobiłem z siebie idiotę.

- Nie zrobiłeś.

Cisza.

- Zaopiekuje się nim?

- Nie. Będę sama.

- Rozumiem. - Idzie do drzwi. - Cóż, to chyba tyle.

- Przepraszam, Graham.

Przystaje.

- Gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała... - dodaje zakłopotany.

Caroline obejmuje go serdecznie.

- Jesteś bardzo dobrym człowiekiem.

Odsuwa się, strząsa jej rękę i wychodzi.

Caroline uwielbia pracę w Małych Światach. Szybko uczy się księgowości i umie już przeprowadzić inwentaryzację, a po nocach nie śpi, wymyślając nowe wystawy. Przypomina sobie mały sklepik z reprodukcjami w Yale, w którym co poniedziałek była nowa wystawa. A teraz ona, na cześć tamtego sklepiku, aranżuje różne scenki w oknie Małych Światów.

Ludzie to zauważają. Coraz częściej ktoś zbiega schodkami do sklepu. Biznes się rozkręca.

Trina powtarza, że zatrudnienie Caroline to był jej najlepszy pomysł.

Po pracy Caroline pędzi do domu i powoli buduje swój domek dla lalek. Idzie jej doskonale. Pomalowała zewnętrzne ściany czterema warstwami szarej farby. Wywiórkowała podłogi. Domek jest idealny.

Kiedy ściany zewnętrzne są gotowe, zabiera się do dekoracji wnętrza. Zaczyna od pokoju dzieciennego: szkicuje malutkie kacuszki na ścianach, rysuje króliki na komódce.

Wyobraża sobie siebie, jak trzyma synka w ramionach.

- Tylko delikatnie - powie mu, a mały paluszek pchnie miniaturową kołyskę, żeby się kołysała.

Caroline klęczy przy oknie i aranżuje wystawę na Dzień Matki. Układa malutkie lalki w łódeczkach, gdy słyszy westchnienie Triny. Odwraca się i widzi, jak wyrzuca do kosza jakąś broszurkę.

- Co to?

- Zaproszenie na Londyński Festiwal Miniatur.

- Dlaczego je wyrzuciłaś?

- Bo chcę tam jechać.

Caroline się śmieje.

- Więc jedź.

- Nie żartuj.

- Wcale nie żartuję. To tylko kilka dni, poradzę tu sobie sama. Trina, przecież opowiadasz o tym festiwalu, odkąd cię znam. Spraw sobie przyjemność i jedź.

Trina się waha, w końcu wyjmuje zaproszenie z kosza.

Następnego dnia wita Caroline promiennym uśmiechem.

- Jadę do Londynu - oznajmia.

- Ale ci dobrze!

- Właściwie dobrze nam obu - mówi Trina nieśmiało. Sięga pod ladę i wyciąga dwa bilety lotnicze.

Caroline gapi się na nie.

- Trina - mówi. - Chciałabym bardzo, ale nie mogę. To szaleństwo. Kto się zajmie sklepem? Poza tym pracuję jeszcze w księgarni... i jestem w ciąży.

- Tym bardziej powinnaś pojechać.

- Poza tym, nie stać mnie na to.

- To prezent - mówi Trina. - Weselej jest podróżować z kimś. Tak naprawdę robisz mi grzeczność. - Wciska bilet w dłoń Caroline. - Lecimy siedemnastego maja.

Londyn jest zbyt oszłamiający, by ogarnąć go za jednym razem, więc Caroline dzieli go na kawałki, zamienia w serię miniaturowych szkiców: zapamiętuje liście platana za ogrodzeniem z kutego żelaza, bursztynową herbatę w białej przezroczystej filiżance, kobietę polerującą mosiężną klamkę, piegowatego ucznia w czerwono - szarym mundurku.

Rano biegną z Triną na Festiwal Miniatur, spacerują wśród stoisk, rozmawiają z rzemieślnikami, kupują malutkie elżbietańskie łoża i gregoriańskie świeczniki. Po południu i wieczorem zwiedzają Londyn.

Trina błaga, żeby wróciły do hotelu i odpoczęły, ale Caroline nawet nie chce o tym słyszeć. Idą do doków, oglądają mosty, biegają po muzeach. Płyną łodzią do Greenwich, obserwują posiedzenie parlamentu, idą do teatru.

- Boże, po co ja cię tu przywiozłam! - jęczy Trina.

Ostatniego dnia się buntuje.

- Rób co chcesz, ja się nie ruszam z pokoju.

Ostatniego dnia Caroline włóczy się po King's Road. Jest wietrznie i ponuro; kręta uliczka wygląda jak z bajki. Co kilka kroków Caroline przystaje i zapamiętuje kolejną małą scenkę.

W końcu zatrzymuje się przed dużym budynkiem z wyblakłym napisem ANTIQUARIUS. Wchodzi do środka.

Trafiła do pałacu Śpiącej Królowy. Po kątach stoją zakurzone kanapy, wiekowe łoża z baldachimem, zepsute zegary. W witrynach wabią miniatury, pozytywki, staroświecka biżuteria.

Caroline przechadza się powoli. Muska dłonią wyblakłe fioletowe rękawiczki, zastanawia się, kto i kiedy je nosił. Zatrzymuje się przy wiklinowym dzieciennym foteliku, wyobraża sobie bobasa, który kiedyś w nim siedział.

A potem, na ścianie, przy wyjściu, widzi niewielki obraz - przedstawia wiktoriański domek dla lalek. W życiu nie widziała czegoś tak pięknego.

Musi go mieć. To nie marzenie, to konieczność. Ma ze sobą mało pieniędzy, ale najwyżej przekroczy limit na karcie kredytowej, pożyczycy od Triny, sprzeda wszystkie meble, kiedy wróci do Stanów.

Rozgląda się, szuka sprzedawcy. Jest, siedzi na stołku i uśmiecha się do niej. Wydaje się znajomy, przypomina kogoś, kogo dobrze zna, ale nie może sobie przypomnieć kogo.

- Czym mogę służyć?

Caroline stara się mówić obojętnym tonem:

- Podoba mi się ten obrazek z domkiem dla lalek.

- A, tak, jest uroczy.

- Ile... ile kosztuje?

Sprzedawca wymienia sumę, wcale nie taką dużą Caroline nie musi sprzedawać mebli. Jest trochę rozczarowana, że nie poniesie żadnej wielkiej ofiary.

- Poproszę.

Mężczyzna staje na stołku i ostrożnie zdejmuje obraz ze ściany.

- Będzie mi go brakowało - mówi. - Nie powszednieje jak inne. -
Pakuje go starannie.

Caroline przygląda się, jak domek dla lalek niknie pod tekturą.

- Zawsze, kiedy na niego patrzyłem, przypominałem sobie
opowiadanie Katherine Mansfield - dodaje sprzedawca. - To o domu
lalek.

- Niestety, nie znam go. - Caroline odlicza pieniądze i podaje mu.

On kłania się uprzejmie. Znowu jej kogoś przypomina, ale kogo?
Zresztą czy to ważne? Ma obraz, najpiękniejszy obraz na świecie.

Caro

Caro wraca do Nowego Jorku, do swojego mieszkania w Hell's Kitchen, i w ogóle z niego nie wychodzi. Chowa zdjęcie matki Tristana na samo dno szuflady. Stara się nie myśleć o dziecku i o wiktoriańskim domu z witrażami w oknach. I o Tristanie.

Nie ma planów na przyszłość, ale jakoś się tym nie martwi. Czuje się tak, jakby stała w białej przestrzeni. Zostanie tu, ile trzeba, a gdy będzie gotowa, wybierze sobie przyszłość.

Zoe pisze do niej, ale czytanie listów jest zbyt męczące. Caro ciska je, nie otwierając, pod łóżko.

Jedzenie też staje się zbyt męczące.

Caro siedzi na łóżku. Nie pamięta, jak długo tu jest. Nagle rozlega się hałas: ktoś się dobija do drzwi. Nie chce otwierać, ale hałas nie cichnie. W końcu wstaje. Na progu stoi kobieta, Caro skądś ją zna, choć nie wie, kto to jest.

- Mój Boże - mówi Zoe.

Wpada do pokoju - burza perfum i zwiewnych szat.

- Skarbie, zabijasz się.

Caro się uśmiecha. Tak, właśnie tak, tylko do tej pory nie umiała ubrać tego w słowa.

Głos pojawia się i znika:

- ...nie odpowiadałaś na moje listy... wiedziałam, że coś złego się...

Caro łąduje w łóżku. Śpi. Kiedy się budzi, Zoe siedzi przy niej z talerzem zupy.

- Co za egoizm - mówi, pomagając Caro usiąść wygodnie. - Inni też cię kochają, nie tylko on.

Caro odwraca głowę. Zoe odstawia talerz.

- Przykro mi, że nie przyleciałam do Anglii - mówi. - Pewnie bym go polubiła.

- Tak.

Białe dłonie o czerwonych paznokciach gładzą włosy Caro.

- Skarbie, byłby nieszczęśliwy, gdyby cię teraz zobaczył. Nie chciałby, żebyś się wykańczała.

Caro się kuli.

- Mieliśmy się pobrać - mówi ze ściśniętym gardłem. - Mieliśmy zamieszkać na wyspie, chcieliśmy mieć dziecko.

Zoe kiwa głową.

- Wiem. Ja też kiedyś przez to przeszłam - mówi cicho. - Miał na imię Max. Mieliśmy wyjechać do Paryża, ale zginął w wypadku samochodowym.

Długa cisza. Caro nie wiedziała, że w życiu jej matki zdarzyło się coś takiego.

Zoe dostała wypieków, ale uśmiecha się do Caro.

- Więc uwierz mi, skarbie, rozumiem. Musisz pozwolić mu odejść.

Caro zaciska dłonie.

- Jak mogę pozwolić mu odejść, skoro nawet go nie miałam? Przecież to było tylko kilka miesięcy. Nawet go dobrze nie poznałam.

Sztywnieje z bólu. Kryje twarz w dłoniach.

- Miał mi wszystko pokazać, wszystkie miejsca, w których mieszkał, ludzi, których kochał. Nie zdążył.

- Cóż - mówi matka. - Może powinnaś zrobić to sama.

Caro podnosi głowę.

- Co?

- Wróć do Anglii. Odwiedź miejsca, które chciał ci pokazać. Poznaj tych ludzi.

- Ale nie wiem, gdzie szukać.

- Znajdziesz. Idź do biblioteki. Przecież tyle o nim pisano. Gdzie dorastał, gdzie chodził do szkoły. Pojedź tam. Nawet jeśli nie będzie to dokładnie to samo, będziesz blisko.

Caro odwraca się zniecierpliwiona.

- Ale czemu ma to służyć?

Zoe się prostuje.

- Temu, że zrobisz coś, czego pragnął. Jedź do Anglii, skarbie. Zapłacę za podróż - dodaje. - A kiedy wrócisz, zaczniesz nowe życie.

Caro się szykuje. Czyta na temat Tristana wszystko, co jej wpadnie w ręce, wywiady, recenzje, artykuły. Zdobywa nagrania z wczesnych koncertów, stare programy telewizyjne. Pisze do Harpera i Roba. Nie odpowiadają, ale to nic. Odnajdzie jego świat bez nich.

Przygotowuje sobie listę. Dom, w którym się urodził. Jego szkoła podstawowa. Pierwszy bar, w którym wystąpił. Sklep jego brata w Londynie.

Nagle wie o nim tak dużo. Żałuje, że więcej nie rozmawiali. Czasami kiedy kładzie się spać, czuje przy sobie jego miękkie jasne włosy i ciepłe ręce. Mówi do niego, ale on nie odpowiada.

Przylatuje do Anglii w majowy ranek. Jest tam trzy tygodnie. Jedzie pociągiem do Yorku, gdzie dorastał. Wchodzi do jego szkoły. Patrzy na jego ławkę, na wieszak, na którym wisiał jego płaszcz.

Dom, w którym się urodził, zburzono, lecz przecież chodził tymi samymi ulicami. Starsi sąsiedzi pamiętają, jak gnał czerwonym skuterem po wąskiej uliczce.

Jedzie pociągiem na południe. Realizuje poszczególne punkty swojej listy, poznaje mnóstwo ludzi, słucha ich opowieści. Na dzień przed powrotem do domu jedzie do Londynu.

Brat Tristana ma antykwariat na King's Road. Caro jedzie tam taksówką. Zajeżdża pod duży budynek z wyblakłym napisem ANTIQARIUS nad drzwiami. Wchodzi do środka. Jest ciemno, mnóstwo krętych korytarzy.

Skręca na rogu i oto za ladą stoi Tristan. Caro głośno wciąga powietrze. Mężczyzna podnosi głowę - i ona już widzi, że to nie Tristan.

- Dobrze się pani czuje?

Caro się uśmiecha.

- Tak, tak, tylko źle stanęłam i zabolęła mnie kostka.

Nie może się zdobyć, by mu powiedzieć, kim jest. Gapi się na niego, na włosy, tak podobne do włosów Tristana, na dłonie. Nie wytrzyma tego - musi stąd wyjść. Wybiega na King's Road i płacze. Kiedy wraca, on na nią czeka.

- Wiem, kim pani jest - mówi, - Widziałem panią w gazetach.

- Ja też wiem, kim pan jest.

Uśmiechają się blado. Caro ma listę pytań, które chciałyby mu zadać, lecz nie wyjmuje jej z torebki. Nie chce naruszać spokoju wspomnień.

Rozmawiają o drobiazgach; z szacunkiem wobec siebie. Imię Tristana nie pada ani razu.

Caro rozgląda się po sklepie.

- Ma pan tu istne skarby.

- Dziękuję.

I wtedy widzi go na ścianie - mały olejny obraz, a na nim wiktoriański domek dla lalek.

Wyrywa jej się okrzyk:

- Wspaniały!

- Prawda? Zawsze kiedy na niego patrzę, przypomina mi się opowiadanie Katherine Mansfield, to o domu lalek.

Caro się waha.

- Ile kosztuje?

Mężczyzna patrzy na obraz.

- Nie jest na sprzedaż. To prezent.

Zdejmuje go ze ściany i pakuje.

- Dziękuję - mówi Caro.

Podaje jej paczuszkę. Caro się pochyla i całuje go w policzek. On robi to samo.

Caro już wie, że jej podróż dobiegła końca. Zrobiła dla Tristana wszystko, co było w jej mocy, dostała nawet prezent i błogosławieństwo na nowe życie.

Wraca do Nowego Jorku i dzwoni do Zoe z telefonu na ulicy.

- Dziękuję za podróż - zaczyna.

- Podziękowała?

- Chyba tak.

- Świetnie - ożywia się Zoe. - No, skoro to już za nami, możemy na nowo skupić się na twojej karierze.

Caro zamyka oczy.

- Nie.

- Kiedy będziesz gotowa - zapewnia Zoe. - Dopiero wtedy.

Caro odkłada słuchawkę i wraca do domu. Chyba nigdy nie będzie gotowa.

Znowu zatrudnia się jako kelnerka, tym razem w kawiarence blisko domu. Klientów jest mało, praca lekka. W wolnych chwilach włóczy się dusznymi nagrzanymi ulicami.

W pewną lipcową sobotę idzie na spacer do centrum i trafia do księgarni Barnes & Noble przy Osiemnastej ulicy. Przegląda książki od niechcenia, nie widzi nic ciekawego. Już ma wyjść, gdy jej uwagę zwraca tomik na półce. Na okładce jest kobieta. Ma niezwykle wyraz twarzy. Caro nie może oderwać od niej oczu.

Katherine Mansfield, Opowiadania. Nazwisko brzmi znajomo, choć Caro nie wie, skąd je zna.

„Zawsze kiedy na niego patrzę, przypomina mi się opowiadanie Katherine Mansfield - to o domu lalek”.

Caro kupuje książkę. Lekturę zaczyna od Domu lalek - opowiadanie bardzo ją wzrusza. Potem czyta pozostałe. Zajmuje jej to cały dzień i znaczną część nocy. Historie opowiadają o drobiazgach. O ananasiu danym w prezencie. O przyjęciu. Migdale w cieście. Kiedy przeczytała ostatnie opowiadanie, zaczyna jeszcze raz od początku. A kiedy skończyła czytać wszystkie po raz drugi, kładzie książkę zdjęciem do

góry,
żeby Katherine Mansfield zawsze na nią patrzyła.

W pochmurny wieczór Caro kończy pracę. Klient zostawił gazetę na stoliku i jedno ogłoszenie przykuwa jej uwagę:

PRZESŁUCHANIA DO SPEKTAKLU: Drzewo na Brooklynie
Eastside/Westside Playhouse, 15 sierpnia, 8:00

Eastside/Westside Playhouse. Caro widziała ich spektakl Boso w parku rok czy dwa lata temu - była to okropna, nieudolna inscenizacja, a Corie grała fatalna brunetka. A jednak nie wyrzuca gazety. Drzewo na Brooklynie, cos takiego. Nie sądziła, że jeszcze zobaczy ten tytuł. Wrywa ogłoszenie i chowa je do kieszeni.

Przesłuchania odbywają się w centrum, w dawnej sali tanecznej. W holu tłoczą się młode aktorki i dzieci pod czujnym wzrokiem matek. Wszystkim dyrygują dwaj mężczyźni, jeden ciemnowłosey i brodaty, drugi niechlujny, w okularach. Podają Caro formularz zgłoszeniowy. Wypełnia go i zwraca okularnikowi. On rzuca okiem na to, co napisała, i biegnie do kolegi.

Razem podchodzą do Caro.

- Pani naprawdę nazywa się Caro Andrews?

- Tak.

Jedna z matek podnosi wzrok.

- O Boże! To pani!

- To Flossie Gaddis z serialu!

Wszyscy szepczą z przejęciem. Aktorki mają ponure miny. Caro startuje do głównej roli, Katie Nolan. Następnego dnia dzwonią do niej do pracy z informacją, że dostała tę rolę.

Zoe natychmiast rusza do akcji.

- Zadzwońię do Teda Frankenheimera i pomyślę, jak ściągnąć do ciebie Joego Pappa.

- Zoe, nie chcę, żeby mnie oglądali - protestuje Caro. - Nie chcę nawet, żebyś ty to widziała. Nie masz pojęcia, jakie to beznadziejne. Sama nie pojmuję, czemu to robię.

- A ja wiem! - krzyczy Zoe. - Bo jesteś aktorką. Masz już scenariusz?

- Tak.

- Przyślij mi, zrobię ci notatki.

Caro wysyła matce kopię i trzy dni później dostaje ją z powrotem, tylko że strony są pokryte uwagami nabazgranymi czerwonym

flamastrem. Dobrze jest znowu widzieć pismo matki na scenariuszu. Dobrze jest znowu grać. Dobrze jest być Katie Nolan.

Tydzień przed premierą Caro jedzie metrem na Park Avenue. Wchodzi do holu, wsiada do windy, wciska osiemnaste piętro.

Przypomina sobie pierwszy raz, gdy to robiła, pierwszą wizytę u ojca, i jak w windzie niemal nie zwymiotowała. Teraz też jest jej niedobrze.

Idzie długim korytarzem do drzwi i puka.

- Chwileczkę! - słyszy. To Meg.

Drzwi się otwierają na długość łańcucha. Twarz Meg pojawia się w szparze i zaraz znika. W pierwszej chwili Caro myśli, że Meg jej nie wpuści, lecz zaraz drzwi otwierają się na oścież.

- Caro! Nie do wiary!

Meg wciąga ją do środka.

- Barton! Adam! Chodźcie tu!

- Caro!

Adam ma już piętnaście lat i jest bardzo wysoki. Podbiega do Caro i ściska ją serdecznie. Pachnie inaczej niż dawniej. Patrzy na jego dłonie.

- Urosły - rzuca oskarżycielsko.

- No pewnie. Gram w kosza w szkolnej drużynie.

W progu staje Barton.

- Mój Boże. Caro.

Caro jest zdumiona: ojciec płacze. Płacze też Meg. Już po chwili śmieją się przez łzy, obejmują Caro i prowadzą na kanapę. Adam nie odstępuje jej na krok.

- Musisz przyjść zobaczyć, jak gram. W środę jest mecz z Ratpackerami, gram w obronie. Przyjdziesz?

Wszyscy mówią jednocześnie, wszyscy się przekrzykują. Nikt nie wspomina, co się wydarzyło, gdy była tu ostatnio. Nikt nie napomyka, że minęły lata od ich ostatniego spotkania. Nikt jej niczego nie wyrzuca i jest za to wdzięczna.

Zastanawia się, czy Zoe miała rację. Może powinna była tu przyjść już dawno temu, może już wcześniej powitaliby ją równie serdecznie.

Ale tak naprawdę to bez znaczenia. Teraz jest dobrze.

Meg bierze ją za rękę.

- Caro, tak nam przykro z powodu Tristana.

Caro kiwa głową.

- Chcieliśmy się z tobą skontaktować - mówi Barton - Ale Zoe twierdziła, że chcesz, żeby dać ci spokój. Uznaliśmy, że przyjdiesz, kiedy będziesz gotowa.

- I oto jesteś - Meg promienieje. - Nie do wiary. Opowiadaj.

- No cóż, zacznijmy od tego, że w przyszłym tygodniu jest premiera sztuki, w której gram główną rolę. Co prawda to okropna inscenizacja, ale i tak chciałabym, żebyście przyszli.

Meg i Adam krzyczą z radości, a Barton wyjmując z kieszeni skórzany notes i wszystko zapisuje. Dobrze jest znów zobaczyć ten notes i drobne, staranne pismo ojca. Barton zapewnia, że przyjdą na niedzielny spektakl.

- I nie zapomnij o meczu! - krzyczy Adam. - Pamiętaj, środa, czwarta po południu!

Caro siedzi jeszcze piętnaście minut, w końcu mówi, że musi już iść.

- Próba - tłumaczy się.

Ściskają ją i odprowadzają do drzwi.

Tak naprawdę próba zaczyna się za dwie godziny, lecz na razie wystarczy krótka wizyta. Dziwnie jest, tak nagie, po tylu latach, znowu należeć do rodziny ojca.

Na dzień przed premierą w witrynie przed teatrem pojawiają się zdjęcia aktorów. Caro jest zdziwiona, widząc siebie nie jako Flossie Gaddis, w fartuszkach, z warkoczami. Teraz jest Katie Nolan. Mamą.

Dociera do niej, że dorosła.

Zoe przylatuje na premierę, będzie tu dziś wieczorem. Caro wszystko dokładnie zaplanowała. Odbierze Zoe z lotniska i pojedzie z nią do hotelu Waldorf. Jutro zakupy, a po premierze pójdą na kolację. Zarezerwowała już stół w 21, ulubionej restauracji Zoe, i oszczędzała cały miesiąc, żeby było ją na to stać.

Lecz kiedy przychodzi do teatru na próbę generalną, Chad wręcza jej telegram:

PRZYKRO MI SKARBIE STOP PIEPRZONE ZDROWIE NIE
POZWALA MI PRZYJECHAĆ STOP NIC POWAŻNEGO STOP NIE
MARTW SIĘ STOP POŁAMANIA NÓG I GRAJ Z SERCEM STOP
KRYTYCY JUŻ PRZEKUPIENI STOP

Caro wybiega z teatru i szuka budki telefonicznej. Zoe podnosi słuchawkę dopiero po szóstym dzwonku.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzeszczy, słysząc Caro. - Powinnaś teraz siedzieć w garderobie!

- Dobrze się czujesz?

Chwila ciszy.

- Oczywiście, że tak - zapewnia Zoe. - To tylko drobna niedyspozycja, a ten kretyn lekarz zabronił mi latać. Ale zobaczę cię, zanim sztuka zejdzie z afisza, masz moje słowo. A teraz już nie gadaj, tylko biegnij na próbę.

Caro nie liczy, by przy tak silnej konkurencji jak The Chorus Line i Chicago, Drzewo na Brooklynie długo utrzymało się na afiszu. Tymczasem premiera zbiera naprawdę dobre recenzje. „Variety” określa spektakl jako uroczą inscenizację, a „Village Voice” wypowiada się w samych superlatywach. Wszyscy bez wyjątku wychwalają Caro, krytycy jednogłośnie twierdzą, że wydołała i jest prawdziwą aktorką.

Caro wysyła matce wszystkie recenzje.

- Bravo! - krzyczy Zoe, ale nie mówi, kiedy przyleci zobaczyć ją na scenie.

Barton, Meg i Adam przychodzą, zgodnie z obietnicą, na niedzielny spektakl. Po przedstawieniu idą za kulisy.

- Jestem jej bratem! - chwali się Adam wszystkim dookoła.

Meg ją ściska.

- Byłaś wspaniała.

- Najlepsza - zapewnia Barton i dodaje po chwili: - Matka byłaby z ciebie bardzo dumna.

- Co teraz? - pyta Adam. - Nie możemy tak po prostu iść do domu.

Idą na lody do Rumplemeyera. Caro była tu ostatnio jako jedenastolatka, tuż przed ślubem ojca i Meg.

- Pamiętasz, jak śpiewaliśmy: Płonące Różowe Lody Owocowe? - pyta Adama.

Ale on przecząco kręci głową.

Rozmowa jakoś się nie klei. Omawiają sztukę i dalsze plany Caro, ale potem brakuje im tematu. W milczeniu jedzą lody. Szef sali zbliża się do stolika.

- Czy państwu smakowało? - pyta.

- Bardzo - zapewnia Adam. - Niech pan poprosi moją siostrę o autograf, jest gwiazdą Broadwayu.

Caro parska śmiechem.

- Bez przesady.

- No, prawie - wzdycha Adam. - Też chciałbym być aktorem.

Kątem oka Caro widzi, jak Barton sztywnieje. Bawi ją to, ale i boli.

- Nie sądzę, żeby to był zawód dla ciebie, Adamie - mówi Barton.

Wychodzą z restauracji, ściskają się i umawiają na następne spotkanie. Caro odprowadza ich wzrokiem, jak idą na postój taksówek.

Jej rodzina. I tyle. Smutno jej, że nie czuje do nich nic więcej.

W ostatnią sobotę przedstawienia Caro idzie za kulisy, a tam, przed jej garderobą, czeka na nią wysoki, śniady mężczyzna.

- Caro - mówi i wyciąga rękę.

Zachowuje się, jakby ją znał, lecz ona nie ma pojęcia, kto to jest.

- Steven Lasky - przedstawia się. - Poznaliśmy się jako dzieci... pewnie mnie już nie pamiętasz. Przyjechałem z dziadkiem na plan, gdy kręciłaś serial.

- Oczywiście, że pamiętam. - Caro się uśmiecha. - Chciałeś zostać fotografem.

Steven się śmieje.

- Owszem. Niestety, okazało się, że nie mam za grosz talentu, i skończyłem jako dziennikarz.

- Bardzo mądrze - mówi Caro.

Milczą.

- Co u twojej mamy? - pyta Steven.

Caro marszczy brwi.

- Właściwie nie wiem. Zapewnia, że wszystko w porządku, ale nie widziała mnie na scenie ani razu.

- Byłaś wspaniała, tak przy okazji.

- Dziękuję.

- Masz jakieś plany na przyszłość?

- Żadnych. Uczę się żyć chwilą.

Kiwa głową.

- Znam to. I wiem, że jest cholernie trudne.

Korytarzem zbliżają się nieśmiało dwie dziewczynki. Steven kiwa na nie ręką.

- Nie zatrzymuję cię dłużej. Fanki czekają. - Wyjmuje wizytówkę i podaje ją Caro. - Ale chciałbym się z tobą umówić na lunch. Jeśli będziesz miała wolną chwilę. Może mógłbym ci pomóc, choć chyba tego nie potrzebujesz - dodaje szybko.

Caro uśmiecha się do dwóch dziewczynek uśmiechem Katie Nolan.

Do Stevena - uśmiechem Caro.

- Zadzwoń - mówi.

Nie interesuje jej miłość, przeżyła ją już i drogo za to zapłaciła. Ale fajnie jest rozmawiać ze Stevenem Laskym, utraconą miłością dzieciństwa.

Caroline

Caroline trudno jest znaleźć mieszkanie. Szuka od miesiąca, w każdy weekend - bez skutku, wszystkie są za małe albo za drogie. W sobotni rano jedzie metrem do Bay Ridge na Brooklynie i widzi małą tabliczkę: DO WYNAJĘCIA na dużym, starym budynku z piaskowca. Wydaje się skądś znajomy.

Wspina się po schodach. Dozorczyni pokazuje jej mieszkanie.

- Mieszkało tu starsze małżeństwo - opowiada. - Ale kilka miesięcy temu, kiedy on zmarł, żona wyniosła się do Phoenix.

Caroline tylko kiwa głową. Już wie, czemu mieszkanie wydawało się znajome - oglądała je tuż przed ślubem z Grahamem i bardzo chciała tu zamieszkać. Czyżby na nią czekało?

Wprowadza się w niedzielę. Eric, brat Triny, ma półciążarówkę i we trójkę krążą po mieście, zwożąc jej meble windą w jednym budynku i taszcząc je po schodach w drugim. Caroline zostawia w starym mieszkaniu mnóstwo rzeczy, które pewnie chciałby zabrać Graham.

W końcu nie ma już po co wracać na Upper West Side. We trójkę siadają na kartonach i jedzą zimną niesmaczną pizzę. Caroline nie pamięta, kiedy była tak szczęśliwa.

Mieszkanie jest małe: niewielki salonik - biblioteka, kuchnia z kąciakiem jadalnym, mała sypialnia z garderobą którą Caroline zamieni na pokój dziecienny. Nieduże meble pasują jak ulał. Spłowiałe dywaniki wyglądają tak, jakby uszyto je na zamówienie. Naczynia akurat mieszczą się w szafkach. Obrazek z Londynu wisi nad łóżkiem. Tylko dla domku dla lalek nie może znaleźć miejsca.

- Weź go - prosi Trinę.

- Nie mogę, to twój domek!

Caroline się uśmiecha.

- Nic nie szkodzi. Jego czas już minął.

Trina eksponuje domek na wystawie w Małych Światach. Caroline cieszy się, że tak bardzo podoba się klientom. Wróciła moda na takie zestawy. Miło jest być źródłem inspiracji.

Jej życie jest co prawda zwykłe, ale piękne.

Pod koniec lata Caroline szykuje pokój dziecienny. Maluje ściany jasną słoneczną farbą na suficie wyczarowała niebo z obłoczkami. Kupiła fotel na biegunach - będzie się w nim wspaniale opowiadało bajki na dobranoc - i poduszkę z wyhaftowanym napisem: „Mój synek to mój największy skarb”.

- Więc to będzie chłopiec - stwierdza sprzedawczyni.

Caroline się uśmiecha.

- Mam nadzieję.

Godzinami siedzi w bujanym fotelu, czyta na głos bajeczki Beatrix Potter i sonety Szekspira, słucha Bacha albo Pieśni Camelotu - jej syn zawsze będzie miał to, co najlepsze.

Czasami ma wrażenie, że duch dziecka już tam jest, że się pojawił, zanim przyszedł jego czas. Kiedyś zobaczyła cień małego chłopca w zielonych ogrodniczkach. Innym razem widzi, jak wspina się na stołek w łazience. A kiedy wieczorami czyta bajki w bujanym fotelu, słyszy za plecami jego oddech.

- Jesteś najukochańszym chłopcem na świecie - mówi.

Koniec sierpnia. Dziecko urodzi się za dwa miesiące. Caroline nie daje sobie rady z dwoma pracami. Czterdzieści pięć minut jazdy do centrum - to męczące, ale do zniesienia, nie wytrzymuje jednak podróży z jednej pracy do drugiej.

Trina proponuje jej cały etat w Małych Światach. Caroline zgadza się z wdzięcznością.

Następnego dnia informuje Laszlo, że bardzo jej przykro, ale musi odejść z księgarni. Jest zrozpaczony.

- Porzucasz nas dla lalek? - powtarza z niedowierzaniem. - Niemożliwe.

Urządzają jej przyjęcie pożegnalne. Peter przynosi piwo, Gina pizzę,

Laszlo piecze strudel. Caroline dostaje parasolkę z reprodukcją Degasa - a malec piękny i straszny album z rycinami Goi.

Jednak nawet teraz brakuje jej pieniędzy. Caroline nie wie, co robić, rozważa, czy nie zwrócić się o pomoc do ojca, ale w końcu tego nie robi. Aż pewnego wieczoru dzwoni Laszlo.

- Mój znajomy... bawi się w wydawcę - mówi. - Wydaje albumy o architekturze. Potrzebuje kogoś, kto przejrzy rękopisy, coś zmieni, poprawi.

- Redaktora?

- Tak. Powiedziałem mu o tobie. To dobra praca dla matki z niemowlakiem. I uprzedziłem, że masz mało czasu i jesteś bardzo droga.

- Dzięki, Laszlo.

Caroline odkłada słuchawkę. Miniatury i rękopisy.

Brzmi wspaniale.

Dwa tygodnie przed wyznaczonym terminem porodu Caroline wraca spacerem do domu. Nagle grunt usuwa się jej pod nogami - trzęsienie ziemi? Upuszcza torbę z zakupami. Osuwa się na chodnik.

Kiedy wreszcie dochodzi do siebie, widzi gromadkę ludzi. Dociera do niej, że nie było żadnego trzęsienia ziemi. Patrzy w dół - na sukience jest duża, wilgotna, czerwona plama.

W karetce Trina trzyma ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze - powtarza.

Caroline wie, że to nieprawda.

Lekarze czekają. Mówią coś o komplikacjach, ale nie może zrozumieć, o jakie komplikacje chodzi. Czuje ból. Nie miała pojęcia, że coś może aż tak boleć.

Leży na łóżku. Trina siedzi obok.

- Dziecko? - szepcze Caroline.

Trina ściska jej dłoń, uśmiecha się i kiwa głową.

Caroline trzyma w ramionach śpiącego synka. To jego cień odwiedzał ją w mieszkaniu. To jego oddech słyszała za plecami. Patrzy na blade policzki, na miniaturowe brewki. Chciałaby, żeby jego życie było proste i jasne, choć wie, że to niemożliwe. On także, jak każdy, stanie przed labiryntem dróg. Jeden wybór - i będzie z niego taki człowiek, inny wybór - i będzie zupełnie kimś innym. A ona może tylko stać z boku i obserwować...

I może jeszcze jedno: zawsze przy nim być. Tej obietnicy na pewno dotrzyma. Przytula mocniej drobne ciało.

Wtedy przychodzi jej na myśl imię, ma wrażenie, że wyszeptała je ciska. Nazwie go Alexander.

Zasnęła. Kiedy się obudziła, przy łóżku zobaczyła ojca. Siadywał tak przy niej, kiedy była mała. Wstydzi się, że spała, kiedy przyszedł. Barton się uśmiecha.

- Gratulacje. Widziałem mojego wnuka, to silny chłopak. - Podnosi paczki z podłogi: - Od Meg i ode mnie.

Pluszowy słoń, haftowany satynowy becik i pudełko klocków lego.

- Dla architekta nigdy nie jest za wcześnie.

Caroline jest mu wdzięczna, że się zgadza, by jej syn został architektem.

- Wiesz już, jak go nazwiesz?

- Alexander.

- Alexander - powtarza. - To dobre imię.

- A na drugie, oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym dać mu Barton.

Ojciec klepie ją po ręce.

- Dzięki, skarbie, ale lepiej nie. Narodził się przecież nowy człowiek.

Zoe odbiera dopiero przy czwartym dzwonku.

- Halo? - ma zaspany głos.

- Zoe? - zaczyna Caroline ostrożnie. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że zostałam babcią.

Zoe krzyczy tak głośno, że Caroline musi trzymać słuchawkę daleko od ucha.

Kiedy Alexander ma trzy tygodnie, Caroline zabiera go do Bartona i Meg. Meg jest w salonie, siedzi na kanapie. Uśmiecha się i wyciąga ramiona.

Caroline ostrożnie podaje jej małego. Wyobraża sobie, jak Meg wstaje gwałtownie, podchodzi do okna i wyrzuca Alexandra z osiemnastego piętra. Ty zabiłaś mojego syna, powie, a ja twojego.

Lecz Meg trzyma go delikatnie.

- Wykapany Barton - mówi tylko.

Caroline bierze go drżącymi rękami.

Kiedy Alexander ma dwa miesiące, przylatuje Zoe. Caroline czeka na nią na lotnisku, z dzieckiem w nosidełku.

Zoe wysiada z samolotu. Wydaje się bardzo drobna. W pierwszej chwili Caroline czuje dreszcz niepokoju - matka nigdy nie sprawiała takiego wrażenia. Ale gdy tylko Zoe ich zauważa, znowu wszystko jest w porządku.

- Tam są! - krzyczy i biegnie do nich, a za nią tłum pasażerów. - Nie gniewasz się, skarbie? Opowiadałam wszystkim w samolocie o moim wnuku i też chcieli go zobaczyć.

Caroline odchyła nosidełko - niech go podziwiają. Mały budzi się i płacze.

- Och, skarbie, jest boski, po prostu boski - Zoe rozplywa się w zachwytach, głaszcze malutki policzek. - To ja, twoja babcia, młodzieńcze. Będę cię rozpuszczać. Dostaniesz gwiazdkę z nieba i pomarańczowe łyżwy, jeśli tylko zapragniesz.

Śmieje się i tryumfalnie patrzy na pasażerów.

- A nie mówiłam, że podobny do mnie jak dwie krople wody?

Zoe jak zwykle zarezerwowała sobie pokój w hotelu Waldorf - Astoria. Caroline jest zawiedziona.

- Miałam nadzieję, że zamieszkaś u mnie..

- A niby gdzie miałabym spać? W wannie? Nie, dziękuję. Za to ty i mały musicie zamieszkać ze mną w Waldorfie.

Caroline kusi luksusowy hotel, lecz woli zostać w domu. Obawia się, że Alexander nie zaśnie gdzie indziej niż w słonecznym pokoju z niebem na suficie.

Caroline jest na czteromiesięcznym urlopie wychowawczym, więc ma wolne całe dni. Zoe wyciągają na zakupy. U Saksa sprawia małemu śpioszki Diora, u Bergdorfa - mikroskopijne włoskie skórzane buciki. A w Bloomingdale'u funduje mu frak.

- Ależ Alexander jest za mały! - protestuje Caroline.

- Niedługo będzie dużo większy, skarbie - stwierdza Zoe z uśmiechem.

Na dzień przed wyjazdem Zoe zaprasza Caroline, Alexandra i sześciu znajomych do 21, na lunch.

- Mam wielkie plany co do tego malucha - oświadcza. - Kiedy będzie miał trzy latka, zabiorę go na Hawaje, a jak skończy pięć, pojedziemy do Europy.

- A jego kariera? - Jedna z kobiet śmieje się głośno. - Pewnie obfotografowałaś go w dzień po narodzinach?

Zoe patrzy gdzieś w dal.

- Właściwie nie wiem, czy jeszcze długo będę pracować - mówi cicho.

Caroline przeszywa dreszcz, jak wtedy na lotnisku.

Lecz już po chwili Zoe wznosi toast szampanem.

- Za mojego wnuka! - krzyczy.

Tego wieczoru Zoe, Caroline i Alexander jadą do Bartona i Meg.

- Naprawdę musimy? - burczy Zoe.

- Tak - odpowiada stanowczo Caroline. - Od ślubu nie miałam was wszystkich razem.

- Co za dom! - Zoe się wzdyga, gdy jadą windą. - Tyle beżu! To takie konserwatywne!

Barton otwiera drzwi.

- Barton! - Zoe cmoka go w policzek. Podchodzi do Meg, ściska ją serdecznie. - I co powiesz na naszego boskiego wnuka?

Caroline się uśmiecha.

- Muszę to uwiecznić. - Wyjmuje aparat fotograficzny z torebki.

Zoe, Barton i Meg sadowią się na kanapie.

- Kto będzie trzymał dziecko? - pyta Barton.

Zoe błyska zębami w uśmiechu.

- Meg, ma się rozumieć. - I układa Alexandra w jej ramionach.

- Byłaś cudowna - mówi Caroline, kiedy jadą taksówką do hotelu Waldorf.

- Wiem - Zoe wyciąga ręce po Alexandra. - A teraz oddaj mi mojego wnuka.

Następnego ranka wraca do Los Angeles. Caroline długo ją tuli, a potem podnosi rączkę Alexandra i macha na pożegnanie.

Świat Caroline jest bardzo mały. Skurczył się do rozmiarów Alexandra.

Każda chwila jest rytuałem. Kiedy siedzi z nim w bujanym fotelu. Kiedy go karmi. Ubiera. Kiedy czesze miękkie jasne włoski. Czyta bajki. Pokazuje go sąsiadom. Ciągłe mówi: „mama, mama”, w nadziei, że on to powtórzy.

Nie chce myśleć o dniu, gdy będzie musiała go zostawić, lecz gdy mały ma cztery miesiące, dzwoni Trina.

- No i jak? Gotowa wrócić do pracy?

Nie, niegotowa, ale wraca. Zatrudnia Jean, miłą dziewczynę z Jamajki, do opieki nad Alexandrem, kiedy ona będzie w pracy.

Pierwszego dnia wydaje Jean mnóstwo poleceń. Mówi i mówi, aż w końcu nie wie, co jeszcze mogłaby dodać. Po raz ostatni całuje Alexandra.

Jedzie metrem na Manhattan. Pierwszy raz od czterech miesięcy wyszła z domu bez synka. Czuje się źle, kiedy nie trzyma go w ramionach.

Przedpołudnie ciągnie się bez końca. Choć Caroline stara się skoncentrować, co chwila patrzy na fotografię synka. Co godzinę dzwoni do domu - Jean zapewnia, że wszystko w porządku.

O pierwszej nikt nie podnosi słuchawki.

- Chyba coś się stało - denerwuje się Caroline.

- Nic się nie stało, po prostu poszła z nim na spacer - tłumaczy Trina.

- Nie. To dziwne. - Caroline gryzie wargę. - Będziesz bardzo zła, jeśli skoczę do domu, żeby się upewnić, że wszystko okej?

Trina przewraca oczami.

- No, dobrze. - Wzdycha. Wygląda przez okno. - Ale chyba nie musisz.

Jean i Alexander wchodzą do sklepu.

- Pomyślałam, że może chciałby odwiedzić mamę - mówi Jean.

Caroline tuli go tak mocno, że mały zaczyna płakać.

Zbliżają się pierwsze urodziny Alexandra. Caroline zamówiła tort w kształcie dinozaura, zatrudniła magika i klauna. Zaprosiła wszystkie dzieci z sąsiedztwa, ojca, Meg, Zoe i Trinę.

- I jak ty nas wszystkich pomieścisz w tym mieszkanku? - dziwi się Trina. - Przecież tam nie ma na nic miejsca.

- Będzie dobrze.

Trina kręci głową.

- Posłuchaj, Caroline - mówi nagle. - Martwię się o ciebie.

- Dlaczego?

Trina się waha.

- Chyba za bardzo koncentrujesz się na Alexandrze. To znaczy, pewnie, jest cudowny, ale... spójrz tylko. Zachowujesz się tak, jakby tylko on się liczył w twoim życiu.

Caroline sztywnieje.

- Chcę tylko, żeby się dobrze bawił.

Trina się wycofuje.

- Wiem. Zresztą nie mam własnych dzieci, więc w ogóle mnie nie słuchaj. Tylko że... chciałabym, żebyś czasem, dla odmiany, pomyślała o czymś innym, zajęła się czymś innym. Nigdzie nie chodzisz. Nie cię nie interesuje. Z nikim się nie spotykasz.

- Nie muszę - zapewnia Caroline z uśmiechem. - Mam syna.

Kwietniowe popołudnie. Alexander ma dwa i pół roku. Caroline biegnie z pracy do domu; do sklepu wszedł z babcią chłopczyk mniej więcej w jego wieku i Caroline zatęskniła za synkiem bardziej niż zwykle.

Biegnie schodami na górę.

Alexander siedzi w wysokim foteliku. Zaraz dostanie podwieczorek, mleko i ciasteczka. Caroline się uśmiecha. Zdążyła.

- Dziękuję, Jean - woła pogodnie. - Zaraz się nim zajmę.

Jean wychodzi do kuchni. Caroline siada koło Alexandra.

- No, szanowny panie! - mówi i sięga po ciasteczko. Udaje, że je zjada, ale Alexander się nie śmieje.

Marszczy brwi i się odwraca.

- Gee - mówi wyraźnie.

Tak nazywa Jean.

Caroline dostaje wypieków.

- Kochanie, mamusia już wróciła - tłumaczy mu. - Mamusia da ci ciasteczko.

Sięga po kolejne, próbuje wsunąć mu do ust. Odpycha jej rękę.

- Gee! - W jego głosie pojawiają się histeryczne nuty. - Gee!

Jean wraca z kuchni. Chichocze nerwowo.

- Alexander, proszę - zaczyna Caroline.

- Gee! Gee! - wrzeszczy i wyciąga rączki.

Jean, zmieszana, ale i dumna, bierze go na ręce.

Caroline idzie do drugiego pokoju. Ciężko siada na wersalce. Tłumaczy sobie, że nie powinna przesadzać. Wiadomo, dzieci tak się zachowują. To nic nie znaczy, a już na pewno nie to, że Alexander jej nie kocha.

Ale może oznacza to, że już nie jest małym dzieckiem. Już nie jest tylko jej. Dorasta i ona nic na to nie poradzi. Niedługo pójdzie do szkoły. Niedługo zafascynuje go cały wielki świat. I nieważne, że dla niej nie istnieje nikt poza nim.

Ma łzy w oczach. Kładzie się na plecach. Powraca wspomnienie z dzieciństwa - dostała kiedyś japońskie papierowe kwiaty. Były w małej muszelce zaklejonej papierowym paskiem. Trzeba było zerwać pasek, włożyć muszelkę do miseczki z wodą i wyjść z pokoju. Muszelka się otwierała i po kilku godzinach znajdowało się piękne, kolorowe, czarodziejskie kwiaty.

Caroline oddycha głęboko i siada. Powtarza sobie, że musi być jak te kwiaty. Jeśli nie chce cierpieć do końca życia, musi się nauczyć rozkwitać, i to natychmiast. Musi stać się kimś więcej niż tylko matką Alexandra.

Wstaje i krąży po pokoju. Ale kim ma być? Nie ma pojęcia. Czuje się tak, jakby stała w białej przestrzeni. Kiedy będzie gotowa, wybierze sobie przyszłość.

Kilka głębokich oddechów i wraca do kuchni. Alexander skończył podwieczorek. Uśmiecha się do niej szeroko.

Caro

Caro siedzi na łóżku i pali nerwowo. Odkąd przestali grać Drzewo na Brooklynie, nie wie, jak wypełnić wieczory. Nie ma na nic ochoty, ale beczynne siedzenie w domu doprowadza ją do szaleństwa.

Idzie na spacer. Nagle widzi kobietę w zwiewnym szalu i natychmiast myśli o Zoe. Ogarnia ją smutek. Dziwne, że Zoe nie przyjechała do Nowego Jorku na jej przedstawienie.

Sięga po następnego papierosa. Na pewno dzieje się coś złego, a ona o niczym nie wie. Nie może jednak się zamartwiać, nic dobrego z tego nie wyniknie.

Jak przez mgłę pamięta, że całkiem niedawno rozmawiała z kimś o Zoe. Tylko z kim? Już wie - ze Stevenem Laskym, tamtego wieczoru, gdy przyszedł do niej za kulisy. To też było dziwne, zobaczyć go po tylu latach.

Ciekawe, czy nadal ma jego wizytówkę. Może do niego zadzwoni, przynajmniej się czymś zajmie.

Dzwoni następnego ranka.

- Steven? Tu Caro Andrews.

Słyszy, że bardzo go ucieszył jej telefon.

Caro wchodzi do kawiarni w sobotnie popołudnie. Steven już jest. Podnosi się na jej widok. Caro siada naprzeciwko niego.

- Cieszę się, że się umówiliśmy.

- Ja też. i mam tylko małe wyrzuty sumienia - Steven się uśmiecha.

- Zazwyczaj w soboty pracuję.

- Przecież weekend to czas dla rodziny.

Przecząco kręci głową.

- Nie mam rodziny. Przez rok czy dwa miałem żonę, ale nam się nie udało.

Caro kiwa głową. Steven nie pyta, czy ona wyszła za mąż. Szybko zmieniają temat.

Odpowiada jej jego towarzystwo. Jest dowcipny i zabawny. Kiedy wychodzą z restauracji, Caro pyta:

- Co dzisiaj robisz?

- Wybieram się do księgarni Strand. Trochę się tam pokręcę.

- Mogę iść z tobą? Dawno tam nie byłam.

Idą do księgarni, włączają się po Soho, idą do kina. Wpadają na kolację do włoskiej knajpki. Dochodzi jedenasta wieczorem.

- Mogę odprowadzić cię do domu? - pyta Steven.

Caro uśmiecha się, ale przecząco kręci głową.

- Nie.

Nie chce, żeby Steven się w niej zakochał. Już swoje przeżyła. To smutne - pięć, ba, trzy lata temu zakochałaby się w nim bez pamięci, ale nie teraz.

- No cóż - mówi Steven. - Dziękuję za ten cudowny dzień. - Uśmiecha się. - Jeszcze cię nie pytałem, jakie masz dalsze plany zawodowe skoro Drzewo zeszło z afisza?

Caro wzrusza ramionami.

- Na razie żadne. Już ci mówiłam, żyję chwilą.

Steven patrzy w bok.

- Zobaczymy się jeszcze?

Tej zimy spotykają się bardzo często. Są przyjaciółmi. Caro dużo mu o sobie opowiada. Nie boi się, że go zanudzi. Wie, że nigdy się na nim nie zawiedzie.

Tylko raz próbuje ją pocałować i wtedy odpycha go, delikatnie, ale stanowczo. Nie ponawia prób.

A jednak jak kochankowie mają swoje miejsca i swoje rytuały. Ulubione kawiarnie, ulubione ścieżki w Central Parku. Caro nigdy nie zaprasza go do siebie, ona też nigdy u niego nie była.

Opowiada jej o kobietach, z którymi czasem się umawia. Caro twierdzi, że wszystkie są okropne.

Zazwyczaj nie spotykają się wieczorem, lecz pewnego popołudnia Steven dzwoni do niej do pracy.

- Wiem, że strasznie późno ci o tym mówię, ale mam dwa bilety na nową sztukę Desiree Kaufman. Jesteś dziś wolna?

Caro się waha. Nie lubi chodzić do teatru. Jeśli aktorzy grają kiepsko, jest wściekła, że to nie ona stoi na scenie, jeśli dobrze, skręca ją zazdrość.

- Tak.

Musi się przebrać, więc Steven proponuje, że po nią przyjedzie.

Przychodzi kilka minut za wcześnie, Caro jeszcze nie jest gotowa.

- Rozgość się - mówi. - Ja muszę wskoczyć do łazienki.

Kiedy z niej wychodzi, Steven ogląda fotografie Zoe i Adama.

- Podoba mi się tu - stwierdza. - Wszędzie zajrzałem.

Wskazuje obraz przedstawiający domek dla lalek.

- Uroczy. Od matki?

- Nie, z Anglii. Pojechałam tam po śmierci Tristana. To prezent od jego brata.

- Z czymś mi się kojarzy, ale nie wiem z czym.

- Bratu Tristana przypominał opowiadanie Katherine Mansfield.
- Czytałem ją na studiach, ale to było dawno. - Zerka na książkę na biurku. - Widzę, że to twoja ulubiona autorka.

- Tak.

Kończy się ubierać i wychodzą.

W następną sobotę jak zawsze jedzą razem lunch. Steven się spóźnia. Wpada z małą paczuszką w rękę i wręcza ją Caro. Bierze ją powoli. Po raz pierwszy daje jej prezent. To stara książka, Dziennik Katherine Mansfield.

- Mam nadzieję, że jeszcze tego nie masz?

- Nawet się wiedziałam, że napisała coś takiego. - Caro się uśmiecha. - Dziękuję.

Caro wraca do domu i czyta przez całe popołudnie. Nie zauważa, kiedy zapada zmierzch, kończy dopiero o trzeciej nad ranem. Powoli odkłada książkę. Jest oszołomiona. Ma dziwne wrażenie, że jest teraz kimś innym niż rano; w jej głowie są cudze myśli.

Idzie do lustra. Sądzi, że zobaczy w nim inną twarz, bladą i ciemnooką, lecz w lustrze jest tylko Caro.

W następną sobotę spotykają się ze Stevenem w kawiarni.

- Rzuciłaś może okiem na Dziennik?

- Tak. - Caro nie mówi mu, że zamieniła się w jego autorkę.

- Wiesz, przejrzałem jej opowiadania - zaczyna Steven powoli - i wpadłem na pewien pomysł. - Robi się czerwony. - Co byś powiedziała na monodram oparty na prozie Katherine Mansfield?

Caro się zastanawia. Widzi ciemnowłosą kobietę w czarnej sukni: siedzi na wysokim stołku na małej scenie.

- To chyba dobry pomysł - odpowiada też powoli. Kobieta na scenie bierze lalkę w ramiona. - Nie zapomnij o lalce, wszędzie zabierała ze sobą Koko.

- W porządku - mówi Steven. - Załatwimy ci Koko.

Caro śmieje się z niedowierzaniem.

- Mnie? Ja miałabym zagrać Katherine?

- Oczywiście.

Kręci głową.

- Oszalałeś. Ja się do tego nie nadaję. Nikt nie potraktowałby mnie poważnie.

- Dasz radę.

- A nawet jeśli? Steven, czy ty masz pojęcie, co to znaczy wystawić spektakl? Ile to kosztuje?

- Oczywiście. W końcu jestem dziennikarzem, prawda? Uważam, że mamy dwa wyjścia: albo poszukamy kogoś, kto w nas zainwestuje, albo sfinansujemy wszystko sami. Jeśli zdecydujemy się robić to sami, ryzykujemy, że jak się nie uda, wszystko stracimy, ale jeśli odniesiemy sukces... Znajdziemy nieduży teatr albo wyruszymy w trasę po uniwersytetach. - Zapala się coraz bardziej. Mówi poważnie.

Caro wraca do siebie. Siada na łóżku i powoli wyjmuję z półki tomik opowiadań Katherine Mansfield. Podchodzi do lustra, unosi książkę do twarzy i długo przygląda się odbiciu.

Dzwoni do Stevena z telefonu na rogu ulicy.

- Dobra - mówi. - Zróbmy to. Sami.

Po południu dzwoni do matki.

- Zoe - zaczyna. - Przygotowuję monodram.

Zoe krzyczy tak głośno, że Caro musi trzymać słuchawkę daleko od ucha.

Caro zaczyna metodycznie - idzie do biblioteki i czyta wszystko, co jej wpadnie w ręce na temat Katherine Mansfield. Ta emigrantka z Nowej Zelandii to tajemnicza postać. Zbuntowana. Sentymentalna i okrutna, cyniczna i szczodra. Kochała życie jak nikt, a zmarła w wieku zaledwie trzydziestu dwóch lat.

Caro czyta zachłannie, obsesyjnie: opowiadania, dzienniki, listy do męża, Johna Middletona Murry. Zaznacza na czerwono ustępy, które sama Katherine na pewno umieściłaby w monodramie.

Następny etap to scenariusz. Steven sprowadza Janet, która na Uniwersytecie Columbia pisze doktorat o Katherine Mansfield.

Zapraszają ją na lunch. Janet jest poważna i skupiona. Wyjmuje z torby listę tematów - K.M.: wątki lesbijskie. K.M.: związek z D.H. Lawrence'em, K.M. a Virginia Woolf.

- Imponujące - mówi Steven po jej wyjściu. - Chyba sobie poradzi.

- Nie chcę, żeby pisała nam scenariusz - mówi Caro powoli.

- Niby dlaczego?

Caro potrząsa głową.

- Nie wiem. Wiem tylko, że sama Katherine śmiała się z takich jak ona.

Steven ironizuje:

- No tak, po co właściwie marnujemy czas? Może po prostu ty machniesz ten scenariusz?

- Z tobą - zgadza się.

- Oszalałaś.

Dochodzi druga nad ranem. Siedzą u Caro. Caro krąży nerwowo po malutkim pokoju. Steven siedzi na stołku i notuje.

- Musi być list od Lawrence'a. Ten: „Nienawidzę cię, brzydzę się tobą...”

- A po nim cytat z Zakochanych kobiet, ewentualnie z Braterstwa krwi.

- Załatwimy sukinsyna.

- Potem wpis z Dziennika Katherine...

Steven notuje szybko.

- Dołączymy coś z Preludium?

- Katherine wołała Nad zatoką.

- I koniecznie coś z Domu lalek.

Pracują nocami. Sztuka powoli nabiera kształtu. Co chwila pojawiają się nowe sceny. Caro i Steven nie mogą uwierzyć, że po sześciu tygodniach mają gotową pierwszą wersję. Idą na kolację. Wznoszą toast za Katherine Mansfield i opróżniają butelkę wina. Potem wracają do Caro i czytają całą sztukę na głos.

Ostatnie słowa wypowiada mąż Katherine, John Murry, po jej śmierci. Jego głos rozlega się z głośnika, unosi nad ciemną sceną:

- Najbardziej lubiła ten cytat z Szekspira:

Ale ci powiadam, lordzie dudku,

Że na tej pokrzywie niebezpieczeństwo

Uszczkniemy kwiat - bezpieczeństwo.

(W. Szekspir Król Henryk IV, cz. 1, akt II, sc. 3, tłum Leon Ulrich.)

Caro i Steven odkładają swoje egzemplarze. Obejmują się i płaczą.

- Nadal nie mamy tytułu - zauważa Caro.

- Może po prostu Katherine?

- Nie. Jeszcze ktoś pomyśli, że chodzi o Katherine Hepburn.

- Epitafia?

- Zbyt wydumane. To musi być coś prostego, przecież pisała o drobnych, codziennych sprawach.

- Więc jak? Drobne, codzienne rzeczy?

Caro się śmieje.

- Nie. Małe światy.

Kolejny krok to znaleźć teatr. Caro i Steven szukają po całym Nowym Jorku, aż trafiają do teatru Van Damm w Soho. Jest kameralny i tajemniczy, jakby stworzony dla Katherine.

Steve pokazuje Caro wstępny kosztorys.

Zmartwiona, kręci głową.

- Nie damy rady.

- Oczywiście, że damy. Musimy zapłacić za wynajęcie teatru, plakaty i programy, tego nie da się obejść, ale mam pomysł, jak załatwić resztę. Zorganizujemy próbę i zobaczymy, czy nie uda nam się przekonać do naszego projektu dźwiękowców i oświetleniowców. Może zgodzą się pracować za część zysków.

- A jeśli nie będzie zysków?

Steven się uśmiecha:

- „Na tej pokrzywie niebezpieczeństwo...”

- „Uszczkniemy kwiat - bezpieczeństwo” - dopowiada Caro z uśmiechem.

Caro szykuje się do tej pierwszej, najważniejszej próby. Szuka ciemnej peruki à la Katherine, lecz żadna nie wygląda dość realistycznie. W końcu idzie do fryzjera, pokazuje stylistyce zdjęcie na okładce Opowiadań.

Patrzy w lustro i czuje się dziwnie. To już nie ona, a jeszcze nie Katherine. Jest gdzieś między nimi.

Potrzebuje jeszcze sukni. Przegląda wszystkie dostępne fotografie Katherine i jeden strój powraca uparcie - prosta, ciemna suknia z rękawami do łokci. Caro obawia się, że będzie musiała zamówić ją u krawcowej, lecz pewnego dnia widzi na wystawie na Lexington Avenue suknię niemal identyczną jak strój Katherine. Sklep wydaje się znajomy. Dopiero wychodząc, uświadamia sobie, że to tutaj przed laty Meg kupiła swoją suknię ślubną.

Pierwsza próba odbywa się w mieszkaniu Stevena, w starym budynku na Upper West Side. Caro jeszcze u niego nie była. Wszędzie bałagan. Można odnieść wrażenie, że Steven zatrzymał się tu na chwilę i zaraz wyruszy w świat.

Caro bardzo to odpowiada.

Steven krząta się w kuchni, szykuje wino i whisky.

- Jestem aż tak beznadziejna? - pyta go.

- Zabezpieczam się na każdą ewentualność - tłumaczy. Widać, że jest bardzo przejęty.

- Ja chyba zwariuję.

Podchodzi do niej i kładzie jej dłonie na ramionach.

- Będzie dobrze. Zwalisz ich z nóg.

Przytula się do niego, ale zaraz się odsuwa.

- Katherine by się to nie podobało.

Steven się zastanawia.

- Nie sędzę. Była praktyczna. Stanełaby na głowie, żeby wystawić ten spektakl, tak jak my.

- No i co? - Zoe dzwoni wieczorem do Stevena do domu. - Jak poszło?

- Bosko - mówi Caro. - Mamy dźwiękowca, oświetleniowca, faosta, który podkłada głos Murry'ego.

- I dobrze - cieszy się Zoe. - A resztę tego szaleństwa chcesz pewnie sfinansować ze swoich oszczędności, myślę o honorarium za Drzewo.

- Po części tak.

Zoe wzdycha.

- Macie teatr opłacony za miesiąc z góry. Już tam dzwoniłam. Rozbój w biały dzień, ale co robić? Zawsze byłam dobra w wyrzucaniu pieniędzy.

- Och, Zoe - wzdycha Caro.

Nie może mówić przez łyzy.

Tydzień później ojciec zaprasza ją na lunch do Zielonej Tawerny. Początkowo rozmowa się nie klei. Caro dawno nie widziała Bartona i trudno jej tak z powietrza znaleźć temat do rozmowy.

- Jak tam twoja sztuka? - pyta w końcu ojciec.

- Dobrze. Właściwie już prawie wszystko gotowe. Nie mamy jeszcze tylko reklamy. Nie wiem, może sama wyjdę na ulicę z plakatami.

- Chciałbym wspomóc was finansowo - oznajmia Barton.

Caro nie wierzy własnym uszom.

- Nie musisz tego robić - mówi wreszcie.

- Jesteś moją córką - przypomina jej. - Nie mów mi, co muszę, a czego nie. - Uśmiecha się. - Poza tym nie chciałbym, żeby ta sztuka przeszła niezauważona. Podobno dziewczyna, która gra Katherine Mansfield, jest rewelacyjna.

Na dzień przed premierą Małych światów Caro idzie do teatru Van Damm. Patrzy na rzędy pustych siedzeń. Jutro wypełni je publiczność. Przypomina sobie inne popołudnie, gdy weszła do pustej sali. „Nie masz za grosz talentu”.

Wychodzi i patrzy na plakat. Napis: Małe światy, pod nim zdjęcie Katherine Mansfield. Jest dumna, zadziorna, rzuca publiczności wyzwanie. Caro powtarza sobie, że tu nie chodzi o nią, tylko o Katherine. Ona jest nieważna, jest tylko środkiem przekazu.

Przedstawienie odnosi wielki sukces. Na premierze Caro dostaje owację na stojąco, publiczność wywołuje ją sześć razy. Później, za kulisami, gratulują jej wszyscy technicy. Cieszą się, bo spektakl przyniesie dochód.

Caro i Steven idą do całonocnej kawiarenki. Steven wyjmuje z teczki małą paczuszkę i podaje jej nad stołem. Jest to list z 1918 roku, oprawiony w ramkę.

Caro czule gładzi szkło nad znajomym kanciastym pismem.

- Zachowam go przez całe życie - mówi.

W domu kładzie list Katherine obok broszki od Tristana.

Recenzje są entuzjastyczne. Krytycy oszaleli na punkcie Caro. „Times” pisze o niej: „fascynująca”. „Post” zachwyca się swobodną strukturą spektaklu i dodaje, że Caro „chwytą widza za gardło”. „Village Voice” twierdzi, że już bardzo dawno nie było tak wspaniałego monodramu. Wszyscy proszą Caro o wywiad, aż w końcu instaluje telefon w swoim małym mieszkanku.

Najczęściej zadawane pytanie to:

- Dlaczego akurat Katherine Mansfield?

- Lubię jej prozę - odpowiada Caro. - I podoba mi się, jak kreowała swoje życie.

- A pani, czy pani też kreuje swoje? - chce wiedzieć jeden z dziennikarzy.

Caro milczy. Patrzy w przeszłość, widzi plątaninę dróg, wybory, których dokonała i których nie dokonała. Czuje się niewyraźnie.

- Czyż nie robimy tego wszyscy? - odpowiada tylko.

W drugim tygodniu na widowni zasiadają Barton, Meg i Adam. Caro nie gra tego dnia najlepiej, od początku wyczuwa sztywną, szorstką obecność ojca. Lecz po spektaklu przychodzą za kulisy i prawią jej komplementy.

Barton bierze ją za rękę.

- Jestem z ciebie bardzo dumny - mówi.

Meg ją ściska.

- To było wspaniałe. Ale dlaczego już nas nie odwiedzasz?

Adam ogląda buteleczki na jej toalecie.

- Ciekawe, jak ja bym wyglądał z czarnymi włosami?

Caro uśmiecha się do nich.

Niedługo skończy się czas wynajmu. Wszyscy są przekonani, że Małe światy wkrótce wrócą na afisz.

Pewnego dnia po porannym przedstawieniu Steven wpada za kulisy, bardzo podekscytowany.

- Załatwione! - krzyczy. - Ruszamy w objazd po Wschodnim Wybrzeżu. Zabieramy nasze cudo w trasę.

Całuje ją w czoło.

- To dopiero początek - obiecuje.

Caroline

To dopiero początek. Jakież to ekscytujące uczucie nie wiedzieć, co będzie dalej, teraz, gdy postanowiła znowu być Caroline, a nie tylko mamą Alexandra.

Co zrobiłaby, gdyby mogła robić wszystko, na co przyjdzie jej ochota? Może zostać współpracowniczką w Małych Światach. Mogłaby rozszerzyć asortyment, zdobyć nowych klientów. Może nawet zaczęłyby z Triną skupować stare domki dla lalek i założyłyby Muzeum Miniatury.

A może lepiej zapisać się na zajęcia wieczorowe, starać się zrealizować marzenie dzieciństwa i zostać architektem?

Caroline czuje w sobie wielką siłę życia. Nieważne, że nie wie, dokąd ją zanieśie.

Aż w pewną niedzielę dzwoni Zoe.

Następnego ranka Caroline idzie do sklepu, podchodzi do Triny, zarzuca jej ręce na szyję.

- Jadę do Kalifornii - mówi. - Moja matka umiera.

Caro

Zoe chce zdążyć na ostatni spektakl Małych światów. Jej samolot przylatuje po południu i Caro proponuje, że wyjdzie po nią na lotnisko.

- Ani się waż! - wrzeszczy Zoe. - W tym czasie masz się rozgrzewać! Kiedy ja będę na widowni, musisz zagrać najwspanialej.

Caro nie widzi jej w teatrze, ale kiedy wypowiada pierwszy zabawny fragment, słyszy jej śmiech, ciepły, głośny, serdeczny śmiech Zoe. Promienieje ze szczęścia. Tego wieczoru gra najlepsze ze wszystkich dotychczasowych przedstawień.

Zoe biegnie za kulisy.

- Skarbie! - krzyczy - to najpiękniejszy wieczór w moim życiu.

Lecz Caro nie słyszy tych słów. Przerażona gapi się na matkę, na drobną, bladą kobietę. Już wie, czemu Zoe nie przyleciała na Drzewo na Brooklynie. Nagle zdaje sobie sprawę, że przeczucia jej nie myliły.

Ujmuje drobne, blade dłonie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - pyta.

Część 6

Coś, co było

Caroline

Wychodzą z gabinetu lekarza.

- Do zobaczenia, Yvonne - Zoe uśmiecha się ciepło. - Bardzo pani do twarzy w tej nowej fryzurze.

Recepcjonistka promienieje.

Caroline powtarza sobie, że kiedy wyjdą, będzie mogła oddychać, ale tak nie jest. Z trudem wciąga powietrze. Czerwone plamy tańczą jej przed oczami.

Siada na krześle w kącie. Kryje twarz w lodowatych dłoniach.

„Sześć miesięcy, może rok”.

Zoe do niej podbiega.

- Wszystko w porządku, skarbie? Może wrócimy do lekarza, niech rzuci okiem na ciebie, nie na mnie.

- Nie. - Caroline wstaje. Zawstydzona, obejmuje Zoe ramieniem - Przepraszam - mówi. - To się więcej nie powtórzy.

Zoe idzie przodem i uśmiecha się lekko.

- Zaraz, jak to powiedział Mark Twain? „Informacje o mojej śmierci są wielce przesadzone?” Przepraszam, że ściągnęłam cię tu bez powodu.

Caroline czuje ucisk w gardle. Patrzy na matkę. Zoe uśmiecha się blado. Udaje, na pewno udaje, niemożliwe, że nie dotarły do niej słowa lekarza.

„Sześć miesięcy, może rok”.

- Co z niego za nudziarz - paple Zoe. - Lekarze uwielbiają straszyć ludzi. - Mierzy Caroline surowym spojrzeniem. - Przestań się tak na mnie gapić. Do lata całkiem wyzdrowieję. Właśnie, a propos lata: może coś zaplanujemy? Co powiesz na wycieczkę do Grecji? Chciałabym pokazać Alexandrowi amfiteatry.

Caroline tylko kiwa głową.

- Zaraz w poniedziałek zadzwonię do biura podróży. A ty tymczasem wracaj do Nowego Jorku, do swoich obowiązków.

Przez moment Caroline jest w sklepie, otwiera drzwi przed grupą klientów. Przez moment jest w Central Parku, obserwuje, jak Alexander ugania się za gołębiami.

- Nie - mówi szybko. Stara się, by jej głos brzmiał obojętnie: - Zapomniałam już, jak wspaniale jest w Kalifornii. Chyba zostanę tu na jakiś czas.

- Nie wygłupiaj się - karci ją Zoe. - Wiem, co robisz, i nie zgadzam się, żebyś się dla mnie poświęcała. To już od dawna niemodne.

Caroline się uśmiecha.

- Ja się nie poświęcam - zapewnia. - Naprawdę. Nowy Jork ostatnio coraz bardziej mnie męczy. Chciałabym się tutaj na trochę przenieść, na pół roku, może na rok. - Ostatnie słowa stają jej w gardle, lecz Zoe jakby tego nie zauważa. - Alexander też będzie zachwycony.

Zoe mruży oczy.

- I to nie ma nic wspólnego ze mną?

- Nie. Naprawdę nic mnie teraz nie trzyma w Nowym Jorku. Chciałabym tu zamieszkać. Pozwól mi, proszę.

Zoe przewraca oczami.

- A już myślałam, że mam dorosłą córkę

- Wiesz co, synku? - Caroline rozmawia z Alexandrem. - Na pewien czas pojedziemy do Kalifornii.

Przygląda się jej podejrzliwie.

- A dlaczego?

- Bo tam jest pięknie.

Przez chwilę sama wierzy, że tylko dlatego wyjeżdżają. Oczami wyobraźni widzi leżaki przy basenie, deszcz wśród palmowych liści, różowe markizy sklepów w Brentwood.

Alexander zaczyna płakać.

- Nie, nie, nie.

Caroline sadza go sobie na kolanach i snuje opowieść o Kalifornii:

- Pojechałam tam po raz pierwszy, kiedy miałam siedem lat. Zoe tam mieszkała. Co rano wyruszałyśmy na poszukiwanie przygód. Pewnego dnia nie chciała mi powiedzieć, dokąd jedziemy. Jechałyśmy i jechałyśmy wśród gajów pomarańczowych. A potem, nie wiadomo skąd i kiedy, wyrosła przed nami góra z ośnieżonym szczytem.

Alexander klaszcze w dłonie.

- Disneyland!

- Disneyland. Wjechałyśmy na tę górę i Zoe zgubiła tam piękną fioletową chustę. O tak, sfrunęła w dół, w ciemność. - Pokazuje, jak chusta spadała, i Alexander się śmieje. - Może nadal tam jest - kusi Caroline. - Może ją odnajdziemy, kiedy pojedziemy do Disneylandu.

- Pojadę z Zoe, z Zoe! - cieszy się mały.

Caroline zagryza usta.

- Nie, chyba pojedziemy sami, synku.

Alexander jej nie słucha. Biega po mieszkaniu, goniąc spadające chusty.

Caroline szybko załatwia wszystkie sprawy w Nowym Jorku. Błyskawicznie znajduje podnajemców do mieszkania. Młode małżeństwo nie może się doczekać jej wyjazdu - chce uwić już swoje gniazdko.

- Czy miałyby pani coś przeciwko temu, gdybyśmy znieśli część mebli do piwnicy? - pytają. - Chcemy wstawić trochę naszych rzeczy.

Caroline nie ma nic przeciwko temu.

W sobotni rano organizuje wyprzedaż. Na kilka minut przed przyjściem zainteresowanych przechadza się i spogląda na swój dobytek. Szydełkowa narzuta, którą sama zrobiła w szkole średniej. Wazon Lalique'a, jeden z prezentów ślubnych. Plakat z Drzewa na Brooklynie, albumy malarstwa z college'u. Fotel, który kupiła do pokoju Alexandra. Jest przywiązana do tych wszystkich rzeczy, były dla niej ważne, ale, co dziwne, już ich nie potrzebuje.

Wyobraża sobie, jak będzie wyglądało jej mieszkanie, gdy wróci z Kalifornii za sześć miesięcy, najwyżej za rok. Będzie prawie puste i być może takie już zostanie.

- Ile? - Młoda, ruda kobieta wskazuje reprodukcję Botticellego, którą Caroline dawno temu kupiła w New Haven.

Uśmiecha się.

- To prezent.

Idzie do Małych Światów pożegnać się z Triną

- Nie mogę uwierzyć, że jedziesz. - Trina ma łzy w oczach. - Ciągłe mam wrażenie, że to moja wina. Niepotrzebnie ci powiedziałam, że potrzebujesz odmiany.

Caroline ją obejmuje.

- Odwiedzisz nas na Gwiazdkę - pociesza. - Pokażę ci miasto i zabiorą na lunch do najlepszej meksykańskiej restauracji na świecie.

Trina kiwa głową.

- Od rana wspominałam nasz wypad do Londynu. Pamiętasz?

Caroline się uśmiecha.

- A ja dzień, kiedy się przeprowadzałam. I nasze pierwsze spotkanie, kiedy przyniosłaś mi mój domek dla lalek.

Jednocześnie patrzą na domek na wystawie.

- Przerażające, jak szybko mija czas.

Trina obejmuje Caroline.

- Tylko obiecaj, że wrócisz.

Caroline puka w beżowe drzwi. Otwiera ojciec.

- Caroline.

Obejmuje ją poważnie, jakby żegnał się z nią na zawsze.

- Wejdz, proszę.

Caroline się rozgląda. Meg znowu zmieniła wystrój wnętrza. Na stale króluje szklany jednorożec.

- Zbieram je - oświadcza Meg dumnie.

- Ładny.

Siadają na nowej kanapie.

Barton chrząka.

- Mam nadzieję, że Zoe docenia, co dla niej robisz.

- Och, to wcale nie tak - zapewnia szybko Caroline. - Robię to chętnie. Gdyby chodziło o ciebie, postąpiłabym tak samo - dodaje.

- Broń Boże. - Chwila ciszy. - Potrzeba ci pieniędzy?

- Daję sobie radę, dziękuję.

- Masz jakiś pomysł, co będziesz tam robić?

- Jeszcze nie, ale coś znajdę.

Barton wzrusza ramionami.

- Nie tak wyobrażałem sobie twoją przyszłość, ale chyba sama wiesz najlepiej.

Zanim wyjdzie, idzie do kuchni napić się wody. Otwiera szafkę i na najwyższej półce widzi malutką fajansową doniczkę, tę ze starego mieszkania - ona i Adam przechowywali w niej karty do gry. Zdejmuje ją z półki, uśmiecha się i chowa do torebki.

Na dzień przed wyjazdem do Los Angeles Caroline żegna się z Nowym Jorkiem. Przechodzi koło szkoły. Mija kościół, w którym ojciec i Meg brali ślub. Przejeżdża obok apartamentowca, w którym mieszkała z Grahamem, potem obok salki, w której wystawiano Boso w parku. Zagląda do księgarni, w której pracowała. Nikt już tu na nią nie czeka. Inni wydeptują jej stare szlaki.

Na koniec idzie do baru Pod Papugą. Przyciska twarz do szyby. Mike jak zwykle stoi za kontuarem, rozmawia z klientem. Wciąż jest przystojny.

Caroline odsuwa się od okna. Czas na nią.

Zoe nie czeka na nich na lotnisku. Caroline wiedziała, że jej nie będzie, a jednak rozgląda się za wysoką postacią w barwnej chuście. Jadą taksówką do Beverly Hills.

- Zamieszkaż w pokoju gościnnym - mówi Alexandrowi, gdy zbliżają się do domu Zoe. - Jest tam tapeta w zebnę. Też tam mieszkałam, kiedy przyjeżdżałam z wizytą. A ja będę spała w pokoju z pomarańczową narzutą.

Zoe cieszy się na ich widok.

- O nie, kochani! - krzyczy jednak, gdy Caroline mówi o pokojach gościnnych. - Na to się nie zgadzam. Wszystko było fajnie, kiedy miałaś czternaście lat, ale nie chcę, żebyś mi się teraz kręciła po domu. Że już nie wspomnę o tym kawalerze, którego oczywiście uwielbiam - uśmiecha się do wnuka. - Możecie tu zostać kilka dni, ale potem poszukacie sobie własnego domu. Ja zapłacę.

Caroline jest zaskoczona tak gwałtowną reakcją.

- Przecież przyjechałam tu, żeby się tobą zaopiekować - mówi.

Zoe patrzy na nią chłodno.

- Nie, nie po to - przypomina.

Zoe ma znajomą dawną klientkę, która chce wynająć komuś mieszkanie w San Fernando Valley. Caroline i Alexander wprowadzają się po tygodniu.

Caroline nie może się przyzwyczać do obcych mebli, myślami ciągle jest u Zoe. Za to Alexander jest zachwycony. W budynku jest siłownia - przesiaduje w niej całymi dniami i obserwuje, jak kręcą się pedały na rowerach treningowych.

Zoe rzadko siada za kierownicą. Niechętnie pożycza Caroline białego mercedesa.

- Tylko często sprawdzaj olej - upomina.

Caroline i Alexander co rano przyjeżdżają do Zoe. Caroline chciałyby szykować jej śniadanie, ścielić łóżko. Matka nie chce o tym słyszeć.

- Od tego mam pokojówkę.

- Może cię gdzieś podwieźć? Chcesz wyskoczyć po zakupy?

Zoe uśmiecha się krzywo.

- Nie - burczy. - Byłam wszędzie tam, gdzie chciałam być. I mam wszystko, czego mi potrzeba.

Pewnego razu Caroline pyta:

- Może ci poczytać?

Zoe wybucha.

- Sama sobie mogę poczytać. Skarbie, musisz iść do pracy.

Caroline szuka pracy. Najbardziej odpowiadałoby jej coś jak Małe Światy, lecz w sklepach z lalkami w Los Angeles nikogo nie potrzebują.

- Domki dla lalek? - wzdycha Zoe. - Nie przejmuj się, skarbie, zobaczę, co da się zrobić.

Wieczorem dzwoni do Caroline.

- Masz pracę - oznajmia. Jest bardzo z siebie zadowolona. -
Dzwoniłam dzisiaj do agencji.

- Agencji?

- Dzieci Zoe. Pamiętasz? Do agencji, której poświęciłam
dwadzieścia pięć lat życia.

- Przecież ją sprzedałaś.

- Owszem, ale nadal mam tam coś do powiedzenia. Nowa
właścicielka chętnie da ci szansę.

- A co z Alexandrem?

- Znajdziemy mu opiekunkę.

- Ale...

Zoe nie daje jej dokończyć.

- Zaczynasz w poniedziałek.

Caroline od lat nie była w Hollywood. Napawają ją smutkiem
zaśmiecone uliczki, okna zabite deskami, mężczyźni w tanich
skórzanych kurtkach.

Przy Vine Street mijają sex shop. Pamięta, że kiedyś było tu atelier
fotograficzne, w którym Hans Lasky zrobił jej portret w sukni ze
śliwkowego aksamitu.

Dobrze, że agencja jest na bardziej zadbanej ulicy. Zostawia
samochód, wchodzi do budynku, idzie na górę, otwiera drzwi z
jaskrawym napisem.

Staje w progu i rozgląda się. Ostatnio była tu, kiedy miała
jedenaście lat. Jest zadowolona, że nic się nie zmieniło. Te same biurka
pod oknami, te same obrazy na ścianach.

Recepcjonistka podnosi głowę.

- W czym mogę pomóc?

- Caroline Andrews. Jestem umówiona z panią Lisą Rodin.

Recepcjonistka naciska guzik interkomu i ją zapowiada. Po chwili pojawia się młoda kobieta. Błada. Elegancka. Choć się uśmiecha, wydaje się oschła.

- Jestem Lisa - przedstawia się. - Chodźmy.

Prowadzi Caroline do dawnego gabinetu Zoe. Tutaj zmienione jest wszystko. Tego należało się spodziewać, myśli Caroline, jednak to dla niej szok.

Lisa widzi jej spojrzenie.

- W przyszłym miesiącu bierzemy się do reszty biura - mówi. - Będzie wspaniałe.

Caroline kiwa głową.

- Co... co zrobiłaś z rzeczami mojej mamy? - Nie może nie zadać tego pytania.

Lisa się tłumaczy:

- Nie martw się, wszystko jest spakowane, od dawna chcę to odesłać Zoe.

Lisa siada w białym skórzanym fotelu za szerokim biurkiem.

- Usiądź.

Caroline siada na twardej kanapie.

- Już się kiedyś widziałyśmy - mówi Lisa po chwili milczenia. - I to właśnie tutaj. Byłam jednym z dzieci Zoe. Pewnego dnia przyprowadziła cię z wizytą. Powiedziała, że zrobi z ciebie gwiazdę. - Uśmiecha się. - Bardzo ci zazdrościłam.

- Cóż, moje życie potoczyło się inaczej - stwierdza lekko Caroline.

- A zatem będziesz u nas pracować.

- Tak.

- W takim razie zastanówmy się, gdzie znajdzie się dla ciebie miejsce.

Miejsce dla Caroline znalazło się w pokoju ksero na końcu korytarza.

Może za kilka tygodni, kiedy nauczy się obsługiwać sprzęt biurowy, poszukają jej czegoś lepszego. Na razie musi tak zostać.

Caroline jest zadowolona. Woli ciasny pokój niż Lisę w gabinecie matki, w biurze, które zaczną remontować w przyszłym miesiącu.

O trzeciej wychodzi z pracy i jedzie do Zoe.

Zoe rozmawia przez telefon. Siedzi, jak zwykle, niedbale rozparta na krześle i gestykuje zamasyście.

- Muszę kończyć! - krzyczy do słuchawki. - Moja córka właśnie przyszła z pracy... W agencji... Tak, tak, przejmie ją po mnie. Wiem. Czyż to nie wspaniałe?

Caroline, czerwona, wbija wzrok w dywan. Nie może spojrzeć matce w oczy.

Przez pierwsze trzy, cztery miesiące jest całkiem dobrze. Ilekroć Caroline ją odwiedza, Zoe jest ubrana, ma staranny makijaż. Chyba już nie chudnie. A kiedy Caroline zaprasza ją do kina czy na kolację, często się zgadza.

Caroline wie, że matka chodzi na chemioterapię, choć sama Zoe nigdy nie mówi o tym otwarcie.

- Idę do salonu piękności - oznajmia. - Wyobraź sobie, ta kretynka fryzjerka zupełnie zniszczyła mi włosy. Wypadają mi garściami.

A potem, nagle, dobre dni się kończą. Zoe jest wiecznie zmęczona i nie chce chodzić do kina.

Coraz częściej bywa u lekarza, ale bez Caroline. Wozi ją gosposia.

Po kolejnej wizycie lekarz dzwoni do Caroline. Mówi, że chyba czas, żeby Zoe miała pielęgniarkę. Nie na stałe, tłumaczy, tylko na noc, na wypadek, gdyby czegoś potrzebowała.

- Pozwól mi. - Caroline prosi matkę. - Nie wolisz, żebym to była ja?

Zoe ściska jej dłoń.

- Nie, skarbie. Kocham cię, ale nie chcę, żeby przeszłość patrzyła na mnie z każdego kąta.

Pielęgniarka jest ciepła i serdeczna. Ma na imię Flavia.

Caroline uspokaja jej obecność. Początkowo, kiedy przychodzi, zastaje Flavię w kuchni, zajętą myciem naczyń czy gotowaniem. Lecz w piątek Flavia jest w sypialni Zoe. Siedzi na brzegu łóżka, trzyma Zoe za rękę i płacze.

Caroline wpada do pokoju.

- Coś się stało?

Flavia podnosi zapłakane oczy.

- Pani mama to piękna święta. Opowiadałam jej, że tęsknię za rodziną w Pradze, i Zoe obiecała, że zafunduje mi podróż do domu.

Pochyliła się i całuje Zoe po rękach. Matka i córka patrzą sobie w oczy nad jej głową. Zoe wzrusza ramionami.

- Piękna święta - mruczy. - A to dopiero!

Caroline idzie do kuchni. W zlewie piętrzą się naczynia, których Flavia nie umyła. Zabiera się do pracy. Z sypialni dochodzą radosne, pod niesione głosy - to Zoe i Flavia omawiają wyprawę do Pragi.

Alexander ma prawie trzy lata. We wrześniu Caroline zapisuje go do małego przedszkola w sąsiedztwie. Na dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego Zoe zaprasza oboje na kolację. Na Alexandra czekają pięknie opakowane prezenty: robot na baterie, kolekcja książeczek dla dzieci i samochód na baterie.

- Na dobry początek nauki - mówi Zoe. Zwraca się do Caroline: - Kiedy trzeba, nadal stoję na wysokości zadania - stwierdza z zadowoleniem.

Następnego dnia Caroline odbiera Alexandra z przedszkola. Jest jakiś przygaszony.

- Co się stało? - pyta.

Długo nie chce jej powiedzieć.

- Wszyscy w przedszkolu mają tatusiów - mówi w końcu. - A gdzie mój?

Caroline milczy. Ma siedem lat, siedzi na łóżku z Laurą „Opowiedz mi o mamie”.

Stara się mówić lekko.

- W Nowym Jorku.

- Zobaczę się z nim?

- To raczej niemożliwe, skarbie.

- Dlaczego?

- Trudno to wytłumaczyć. Poczekajmy, aż będziesz starszy.

Mały się naburmusza.

- Przecież masz mnie - mówi szybko Caroline. - I Zoe, i Flavię. Bardzo cię kochamy.

Wciąż jest nadąsany.

- O, tak bardzo! - Caroline łaskocze go pod pachami. - O tak! - łaskocze go w kark.

Alexander się śmieje.

W październikowe popołudnie Caroline jedzie do Zoe.

- Przedszkole organizuje w piątek Dzień Nauki - ogłasza. - Będzie przedstawienie. Alexander gra pszczółkę.

- Pszczółkę - powtarza Zoe rozmarzona.

- Chciałabym, żebyś przyszła - mówi Caroline. - Ale zobaczymy, czy będziesz w stanie.

- Czy będę w stanie? - obrusza się Zoe. - Czy będę w stanie obejrzeć debiut sceniczny mojego jedyne go wnuka?

W piątek Caroline przyjeżdża wcześniej, żeby pomóc Zoe się ubrać.

Zoe nie chce pomocy, wszystko robi sama. Na głowie ma pomarańczowo - zieloną chustę.

Kiedy jadą do przedszkola, Caroline czuje się jak za dawnych czasów, gdy jeździły po Los Angeles. Tylko że teraz ona prowadzi, a matka siedzi na miejscu pasażera.

Przyjeżdżają. Zoe jest bardzo miła dla nauczycielki i łaskawie zjada dwa ciasteczka. Kiedy zaczyna się spektakl, wpatruje się w scenę zmrużonymi oczami. W końcu pojawia się Alexander w żółto - czarnym kostiumie.

- Jestem pszczołką - oznajmia. - Bzzz, bzzz. Lubię kwiatki. - Czułki spadają mu na oczy. Publiczność się śmieje.

Po spektaklu Zoe odwraca się do Caroline.

- Nie ma ani krzty talentu - stwierdza rzeczowo.

Caroline się zgadza, zdumiona, że odczuwa przy tym taką ulgę.

- No cóż - uśmiecha się. - Może znajdzie sobie coś innego.

Idzie za kulisy, całuje synka - pszczołkę i zapewnia, że jest z niego bardzo dumna.

Następnego dnia zastaje Zoe w łóżku pochyloną nad gazetą filmowo - teatralną.

Zoe wskazuje artykuł czerwonym paznokciem.

- Czytałaś to?

Caroline się śmieje.

- Nie kupuję takich gazet.

- A powinnaś. Chcą wystawić Czyż nie dobija się koni w małym teatrze w Woodland Hills. To coś dla ciebie.

- Zoe, nie jestem aktorką - odpowiada stanowczo Caroline.

- Wszystko jedno. Chcę, żebyś spróbowała.

Caroline siada na łóżku.

- To bez sensu. Po pierwsze, nie dostanę roli. Po drugie, mam syna. Po trzecie, mam pracę. I po czwarte, wolałabym spędzać więcej czasu z tobą

Zoe wzdycha.

- Po pierwsze, bzdura. Po drugie, Flavia może odbierać Alexandra z przedszkola, sama wiesz, że nie ma tu nic do roboty. Po trzecie, pracujesz tylko trzy dni w tygodniu, i po czwarte, będziesz spędzała ze mną więcej czasu, gdy będę ci pomagała nauczyć się roli.

Caroline dostaje rolę, i to dobrą: Alice, aktorki, która przechodzi załamanie nerwowe; wyprowadzają ją oszalałą z miejsca, gdzie odbywa się maraton taneczny.

Zoe natychmiast rusza do akcji. Wieczorami Alexander bawi się klockami lego na dywanie, a ona uczy Caroline roli.

- Ta scena idzie nieźle, ale następna fatalnie, aż trudno mi uwierzyć, że moja córka może zagrać tak sztywno - wzdycha. - Chociaż w sumie - uśmiecha się - jesteś naprawdę niezła.

Caroline też się uśmiecha.

- Nieprawda, ale dobrze mi się z tobą pracuje.

Zoe znowu wzdycha.

- Gdybym wcześniej się do ciebie zabrała, byłabyś gwiazdą.

Caroline czuje, że się czerwieni.

- Nic nie szkodzi - mówi sztywno. - Dobrze jest, jak jest.

Zoe przygląda się jej z ciekawością.

- Co zrobisz z resztą życia? O czym marzysz?

Caroline się waha.

- Nie jestem pewna. Czasami myślę o tym, żeby zostać architektem. Ale tak naprawdę chyba chciałabym się zająć domkami dla lalek. Co powiedziała byś na muzeum?

- Muzeum domków dla lalek - powtarza Zoe powoli. - Rozkoszne. Caroline, czy do ciebie nie dociera, co mówię? Jesteś dobra. Możesz grać.

- Cóż - wykręca się Caroline. - Nic jeszcze nie jest pewne. Właściwie nie mam żadnych konkretnych planów.

Zoe kiwa głową.

- I to jest twój największy problem - mówi. - A teraz wracamy do pracy.

W drodze do domu Caroline myśli o tym, co powiedziała jej Zoe. Wyobraża sobie, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby dorastała u matki, a nie u Bartona. Może byłaby dzisiaj sławną aktorką. Może występowałaby na Broadwayu. Może grałaby w filmach.

A to dopiero początek. Przeszłość, której nie było, rozwija się jak japońskie papierowe kwiaty. Gdyby mieszkała z Zoe, Adam żyłby do dziś. Gdyby mieszkała z Zoe, nie byłoby Grahama. Ani Mike'a. Ale nie miałyby też Alexandra. I nie pracowałyby w Małych Światach. Nie. Koniec końców tak jest lepiej. Jej życie jest takie, jakie powinno być. Nieznane drogi zawsze kuszą, lecz żyje tak, jak było jej pisane.

Alexander przygląda się matce.

- Dlaczego płaczesz? - pyta.

Czyż nie dobija się koni ma premierę w połowie listopada. Zaplanowano sześć weekendów. Zoe zapowiada, że będzie na premierze, lecz kiedy przychodzi ten dzień, jest zbyt osłabiona.

- To dla ciebie nawet lepiej - przekonuje córkę. - Przyjdę za kilka tygodni, kiedy będziesz w szczytowej formie.

Po kilku tygodniach tłumaczy, że woli iść na ostatnie przedstawienie.

- W połowie sezonu sztuka zawsze siada, aktorzy są już zmęczeni, a jeszcze nie złapali drugiego oddechu. Będę na ostatnim spektaklu.

Przed ostatnim przedstawieniem Caroline przyjeżdża po nią i zastaje Zoe w łóżku.

- Nie dam rady, skarbie - przyznaje i głaszcze jej dłoń. - Ale i tak wiem, że jesteś świetna. Nie muszę tam być, żeby się o tym przekonać.

Caroline pochyla się i całuje białą dłoń.

W lutym już właściwie nie ma dobrych dni. Ilekroć Caroline ją odwiedza, Zoe leży. Najczęściej śpi.

Jeśli się obudzi, Caroline z nią rozmawia. Siada w wiklinowym bujanym fotelu blisko łóżka, bierze Zoe za rękę.

Zoe ma mnóstwo planów na przyszłość.

- Emerytura jest strasznie nudna - marudzi. - W przyszłym roku, kiedy będę w lepszej formie, przyjmę kilku klientów, niedużo, jednego, dwóch, tylko tych najzdolniejszych. - W kółko też planuje letnią wyprawę. - Wyruszymy do Grecji zaraz po końcu roku szkolnego. Alexander będzie zachwycony. Wynajmiemy jacht...

Caroline nie może tego słuchać.

Chciałaby powiedzieć Zoe, jak bardzo się boi, jak bardzo ją kocha, jak bardzo będzie za nią tęskniła. Tylko że Zoe nie chce słuchać takich rzeczy.

- Poczytaj mi plotki! - burczy i wskazuje stos gazet przy łóżku. - Muszę wiedzieć, co się dzieje w wielkim świecie.

Telewizor jest włączony przez cały czas; w tle ich rozmów zawsze leci jakiś stary film.

- Opowiedz mi o twojej mamie, a mojej babci - prosi Caroline. - Opowiedz o twoim dzieciństwie.

- Daj spokój! - parska Zoe niecierpliwie. - Kto by to pamiętał? Kogo to obchodzi?

Caroline daje za wygraną i razem oglądają stare filmy.

Któregoś dnia wychodzi od Zoe, wsiada do samochodu, lecz nie może prowadzić, tak bardzo drży. Zaciska dłonie na kierownicy i krzyczy na całe gardło.

Wieczorem pisze list.

Kocham Cię, Zoe. Bardzo Cię kocham. Nie mogę patrzeć, jak umierasz. Nie wytrzymuję tego, że nie chcesz o tym rozmawiać.

Nie wysyła go, tylko co wieczór pisze następny.

Pamiętam, jak Cię zobaczyłam po raz pierwszy. Miałam siedem lat, wysiadłam z samolotu i zobaczyłam kobietę w kolorowej chustce i okularach przeciwsłonecznych i od razu wiedziałam, że to Ty... Pamiętam reklamę, w której miałam wystąpić - aniołek na chmurce. Ojciec mi nie pozwolił. Powiedziałam, że to nie szkodzi, ale ubolewałam nad tym przez tyle lat... Pamiętam noc przed moim ślubem z Grahamem. Zabrałaś mnie do siebie, do hotelu, i powiedziałaś, że to nieodpowiedni facet, a ja wiedziałam, że masz rację...

Sterna listów rośnie. Poczyszająca jest świadomość, że jest tyle wspomnień.

Caro

Caro i Zoe wychodzą z gabinetu lekarza. Na chwilę zatrzymują się w poczekalni.

- Cóż - zaczyna Caro.

- Tak? - Zoe pyta krótko.

Caro spuszcza wzrok.

- Co mam zrobić?

- O co ci chodzi?

- Zostanę oczywiście.

- Chyba oszalałaś! - krzyczy Zoe. - Wyruszasz w trasę. A w przyszłym sezonie rzucisz Broadway na kolana.

- Daj spokój. - Caro macha ręką. - Wolę zostać z tobą.

- Czyżby? - prycha Zoe. - A niby dlaczego? - Klepie Caro po ramieniu. - Skarbie, lekarze to banda idiotów, do tego uwielbiają straszyć ludzi. Uwierz mi, skarbie, gdybym chciała, żebyś tu była, powiedziałabym ci. Ale nie chcę. Jasne? Wracaj na scenę i graj tak, żebym była z ciebie dumna.

Caro przełyka ślinę.

- Dobrze. Jeśli jesteś pewna...

- Jestem.

Wsiadają do windy. Caro udaje, że nie słyszała słów lekarza. „Sześć miesięcy, może rok”.

Steven czeka na nią na lotnisku. Dostrzega go pierwsza. Jest niespokojny. Wtula się w niego, z ulgą wdycha zapach jego wody kolońskiej, głaszczki ogolony policzków, nie przeszkadzają jej guziki jego swetra wbijające się w piersi. Jest taki kochany.

- Tęskniłem za tobą - mówi. - Jak Zoe?

Waha się i wzrusza ramionami z pozorną nonszalancją.

- Okazało się, że to wiele hałasu o nic.

Steven się uśmiecha.

- Cała Zoe. Uwielbia być w centrum uwagi.

„Sześć miesięcy, może rok”.

- Nie pozwoliła mi zostać. Powiedziała, że mam grać.

- I ma rację. Wszystko już dopięte na ostatni guzik. Zaczynasz piętnastego czerwca. Wszystkie małe teatry, od Long Island po Toledo, padną na kolana.

Czternastego czerwca Caro wyrusza w drogę. Steven odprowadza ją na dworzec. Niesie walizki. Upewnia się, że zabrała plan objazdu.

- Szkoda, że nie jadę z tobą - powtarza w kółko.

- Nie podobałoby ci się w trasie. Zresztą w takich sytuacjach lepiej sobie radzę sama. Zadzwoń.

Krzywi się.

- Spróbowałabyś nie.

Trasa to jeden wielki koszmar. Caro się tego nie spodziewała. Myślała, że będzie jak wtedy, z Tristanem. Tylko że wtedy nie była gwiazdą, a teraz jest. To na niej wszyscy się skupiają. To ona musi wszystko załatwić, gdy w hotelu nie ma dla niej miejsca. Gdy sala nie jest gotowa. To ona udziela wywiadów, jeździ do radia, wstaje o piątej, żeby być w porannym programie telewizyjnym. To ona występuje sześć wieczorów w tygodniu, plus dodatkowe spektakle popołudniowe w środy i niedziele.

Jest wiecznie w drodze. Autokary. Pociągi. Taksówki. Nawet kiedy nie jedzie, czuje ruch. Lato jest gorące; noce zbyt duszne, by spać. Westbury. Kennebunkport. Czasami nocuje w hotelach, czasami w pensjonatach i pokojach gościnnych. Fioletowa sypialnia. Salonik z wersalką i zepsutą klimatyzacją. Wieczne bzyczenie owadów.

Miasta i teatry zlewają się w jedno. Przylądek Cod. Filadelfia. Hershey. Okrągła widownia. Reflektor, który spada na scenę. Caro zapomina tekstu. Zapomina, co już powiedziała dziennikarzom. Toledo. Beverly.

Czasami zostaje pięć dni w tym samym miejscu, ale najczęściej zaraz jedzie dalej. Autokary. Pociągi. Hałas. Zamieszanie.

Po spektaklu nie może zasnąć. Słowa Katherine Mansfield powracają echem. Wstaje, pije niesmaczną wodę, siedzi przy oknie i gapi się na uliczne latarnie. Drzemie, ma koszmary. Nie wytrzymuje w łóżku; układa się na hotelowych krzesłach, kanapach i dywanach i wstaje z odgniecionym policzkiem.

Dokoła niej tylko obcy. Żałuje, że nie ma przy niej Stevena, ale nie prosi, żeby przyjechał. Musi być w Nowym Jorku. Czasami dołącza do niej w weekendy, ale rzadko.

Mówi komuś z obsługi, że nie może spać. Dostaje tabletki. Steven nie wierzy własnym oczom, gdy widzi ją w Pensylwanii.

- Jezu - powtarza. - Okropnie wyglądasz. Czy to nie za dużo? Chcesz, żebym odwołał dalsze występy?

- Nie, nie.

Spektakl to wielki przebój, krytycy pieją z zachwytu. Caro wysyła matce wszystkie recenzje.

Sierpień. Trasa dobiega końca. Caro żali się, że nie może spać. Zależy teraz różne tabletki.

Jest w Bostonie. Boli ją głowa. Dorzuca jeszcze trzy do reszty pigułek. Idzie do Ogrodów Bostońskich i patrzy na łodzie w kształcie łabędzi. Kręci jej się w głowie. Nagle szeroko otwiera oczy, mruga z niedowierzaniem; łabędzie są żywe. Oddychają.

Nie mówi nikomu; nie chce, żeby ktoś wiedział, że ona wie o tych łabędziach. Ma iść na kolację z dziennikarzem z „Globe”, ale odwołuje spotkanie. O północy wymyka się z pokoju hotelowego i wybiega bocznymi drzwiami na ulicę.

Biegnie ciemnymi ulicami do Ogrodów. Nikogo nie ma w pobliżu. Idzie nad staw. Łabędzi nie widać, ale słychać ich krzyki. Wchodzi do zimnej wody; widzi szopę, w której je zamknięto. Szarpie się z kłódką; na darmo. Płacze z bezsilności.

- Proszę pani? Proszę wyjść.

Mężczyzna w mundurze świeci na nią latarką.

Włączony reflektor to dla niej sygnał, tylko że zapomniała pierwszych wersów.

- Halo, proszę pani. Jak się pani nazywa?

Jest wściekła. To nie jej tekst. Tego nawet nie ma w scenariuszu. Oczywiście, że wie, jak się nazywa. Każdy człowiek wie, jak się nazywa. Najdziwniejsze, że ona tego nie pamięta. Stoi w zimnej wodzie, ale to dobrze, to część kuracji.

Mężczyzna wchodzi do wody. Idzie w jej stronę. Tylko że to nie jest John Murry. I to ją dobija.

Zaczyna wrzeszczeć.

- Już dobrze, Caro.

Twarze są jak balony, wysoko nad nią. Jedna wydaje się znajoma. Zna ciemne włosy, zna guziki tego swetra. Ciepłe, smutne oczy. Chce mu powiedzieć, żeby nie był taki smutny, i zrobiłaby to, gdyby wiedziała, jak on się nazywa. I kto to jest Caro?

Kolejna głowa, tym razem ruda. I biały kitel, czyli znowu jest w klinice. Długa igła - Jezu, jak tego nie cierpi - i ukłucie. Światła gasną. Ciemność. Czeka na brawa, ale ogarnia ją cisza.

Duży okrągły kształt. Kwadrat. Linie na kwadracie. Hałas i ruch. Caro zamyka oczy i znów je otwiera. Kształty nabierają ostrości. Okrągły to klosz lampy. Kwadrat to okno, a linie to żaluzje. A hałas i ruch to kobieta, która wchodzi do pokoju.

- Coś takiego - mówi Zoe. Siada na łóżku. - Jak się czujesz?

Caro podnosi rękę do oczu. Za jasno tu.

- Jestem u ciebie? - szepcze.

- Nie pamiętasz?

Caro przecząco kręci głową. Pamięta tylko, że ktoś wszedł do zimnego stawu, pamięta tylko muł w butach.

- Co się stało?

Zoe się śmieje.

- O Boże. Skarbie, miałaś autentyczne załamanie nerwowe! Przywieźli cię tutaj w kaftanie bezpieczeństwa!

- Och - mówi Caro cichutko. - Nie pamiętam.

- Nic dziwnego - stwierdza Zoe rzeczowo. - Brałaś dużo prochów.

- Przepraszam.

- Już wszystko w porządku. Dochodzisz do siebie. Lekarze cię przebadali w każdą stronę. Musisz tylko wypocząć.

Caro marszczy brwi.

- Nie mogę. Muszę grać.

- To już załatwione. Steven wszystko odwołał. To mądry facet.

- Jest na mnie zły?

- Nie, tylko się martwi. Jak my wszyscy.

- Przepraszam - powtarza.

Zoe klepie ją po dłoni.

- No, na razie wypoczywaj. Może w przyszłym roku spróbujesz jeszcze raz.

Caro kuli się na łóżku.

- Już nigdy nie wyjdę na scenę.

- Szkoda - mruczy Zoe. - Wszyscy o tobie piszą. Co prawda nie w samych superlatywach, ale intrygująco. - Wstaje. - Ale o tym porozmawiamy, jak będziesz w lepszej formie. Na razie zostaniesz tutaj.

„Sześć miesięcy, może rok”.

Caro próbuje usiąść.

- A co z tobą? - pyta szybko. - Nie powinnaś się mną zajmować.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Mój doktor idiota nalegał, żebym zatrudniła pielęgniarkę. Ja jej nie potrzebuję, więc niech zarobi, opiekując się tobą. Flavia! - woła i po chwili do pokoju wchodzi masywna młoda kobieta. - Zobacz, kto do nas wrócił. - Wskazuje na Caro. - Flavia, to moja córka.

Pielęgniarka uśmiecha się szeroko.

- Dobrze, że pani się obudziła.

- Flavia przy tobie czuwała.

Dziwna jest świadomość, że opiekował się nią ktoś obcy.

Caro błądzi wzrokiem po jasnym pokoju.

- Jak się masz, moja śliczna? - pyta Steven ciepło.
- Przepraszam - mówi Caro.
- Daj spokój. Załatwiłaś nam darmową reklamę.
- Tak, mama mi mówiła. Dobrze, że na coś się przydałam.
- Więc już wszystko w porządku?
- Chyba tak. Na razie nic nie robię.
- Dobrze. Wypoczywaj. I dbaj o siebie.

To samo Caro powtarza matce.

Caro idzie na spacer. To jej pierwszy dzień na dworze. Spaceruje po Beverly Hills. Dobrze jest czuć na twarzy promienie słońca.

Wchodzi do supermarketu. Tak dawno nie była w sklepie. Rozgląda się - wszystkie towary na półkach ją kuszą.

Postanawia, że tego wieczoru ona zajmuje się kolacją. Flavia jest okropną kucharką; to będzie miła odmiana dla Zoe. Przygotuje pieczeń.

Wychodzi ze sklepu, ale nie ma ochoty wracać do domu. Chce jeszcze trochę pochodzić. Jej uwagę przyciąga mały sklepik na rogu.

Sprzedają tam zabytkowe domki dla lalek.

Caro ogląda domek na wystawie i wchodzi do środka.

- Ile kosztuje ten domek na wystawie? - pyta kobietę za ladą.

Wraca do domu. Zoe leży w łóżku. Ma zamknięte oczy.

- Miałyśmy atak bólu - informuje Flavia półgłosem.

Zoe jest wyczerpana. Caro siada przy niej.

- Mam dwie niespodzianki - mówi. - Jedną dla ciebie, drugą dla mnie.

- Co dla mnie?
- Robię dzisiaj kolację.

Zoe prychnie i otwiera oczy.

- O Boże. Jeszcze nie zapomniałam tej okropnej zupy w komunie.
- A sobie - ciągnie Caro - kupiłam domek dla lalek.
- Po co?
- Bo chciałam.

Zoe z namysłem kiwa głową.

- Miałaś taki domek, kiedy byłaś mała.
- Tak, kupiłam go za pieniądze z reklamy z aniołkiem. - Spogląda na matkę. - Ale chyba jakoś dziwnie... zniknął po przeprowadzce z Westwood.

Zoe kaszle.

- Miałam dosyć potykania się o małe mebelki. - Milczy przez chwilę. Patrzy na Caro. - Dobrze, że sobie kupiłaś ten domek, jeśli miałaś na niego ochotę - mówi w końcu. Nerwowo poprawia poduszkę. - Czasami sobie myślę... nie miałaś dobrego dzieciństwa.

- Miałam cudowne dzieciństwo - obrusza się Caro.

Zoe kręci głową.

- Nie, nieprawda. - Skubie skrawek kołdry. - Czasami zastanawiam się, czy z Bartonem nie byłoby ci jednak lepiej.

- Bzdura.

- Nie wiem. Miałybyś normalne życie.

- A na co komu normalne życie? - Caro wstaje i całuje Zoe w czoło. - Nie chcę tego słuchać. Idę robić kolację.

Ale w kuchni duma nad słowami Zoe. Zastanawia się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby dorastała w Nowym Jorku, u ojca. Chodziłaby do szkoły jak inne dzieci, miałaby przyjaciół. Miałaby Adama i Meg, i rodzinne pikniki. Gdyby mieszkała z ojcem, nie byłoby porwania i Grega. Ani Briana w szkole średniej, ani Tristana, umierającego w hotelowej łazience. Gdyby mieszkała z ojcem, pewnie wyszłaby za mąż za porządnego faceta, mieliby ładny dom i dziecko. Ale co z aktorstwem? Nie grałaby. I nie byłaby z Zoe.

Caro wzdycha, wzrusza ramionami i zaczyna przygotowywać kolację.

Szkoła Beverly Hills High wygląda tak samo. Niektóre budynki trochę się zmieniły, ale długa droga do sali gimnastycznej jest taka sama. Takie same są kolory tęczy na ścianie w stołówce. A dzieciaki niczym się nie różnią od tych z czasów Caro.

Przechadza się i sama nie wie, czemu tu w ogóle przyszła. Zagląda do sali gimnastycznej, gdzie obserwowała Briana grającego w koszykówkę. Mija dawne sale lekcyjne.

W końcu idzie do auli. Wszędzie wiszą plakaty reklamujące Piotrusia Pana. Przed budynkiem wisi tablica ze zdjęciem aktorów. Wygląda tak samo jak ta przed Bye, bye, Birdie.

Caro podchodzi do drzwi, ale nie może się zmusić, by wejść do środka.

Odwraca się, gdy w drzwiach staje mocno zbudowany mężczyzna.

Rozmawia z uczniami. Przerywa, widząc Caro.

- Caro? - pyta. - Caro Andrews?

Jest starszy, bardziej rumiany, ale to wciąż pan Stein.

- Nie do wiary! - Zwraca się do grupki uczniów. - Neil, Joan, to Caro Andrews, jedna z naszych gwiazd.

„Jesteś pijana. Zalana w trupa - słyszy po latach - nie wystąpisz”.

Odwraca głowę.

- Gratuluję monodramu - mówi pan Stein. - Czytałem nowojorskie recenzje. Czy możemy mieć nadzieję, że pokażesz spektakl w Los Angeles?

- Nie wiem - mówi Caro. - Nie wiem, czy tego chcę. To bardzo... męczące.

- Tak. - Pan Stein mówi ciszej. - Słyszałem. - Chwila milczenia. - Cóż, gdybyś się jednak zdecydowała, pamiętaj o nas. Bylibyśmy zachwyceni, gdybyś wystąpiła tutaj. - Wskazuje aulę. - To byłby dla nas zaszczyt. A jeśli możesz, przyjdź na Piotrusia Pana. To dobry spektakl.

- Dziękuję - mówi Caro.

Jest przekonana, że nigdy więcej nie wejdzie do auli.

Dobrych dni jest coraz mniej, za to coraz więcej pobytów w szpitalu. Zoe twierdzi, że nie ma się czym przejmować, bo pielęgniarki w szpitalu robią fantastyczny masaż pleców. Kiedy wraca do domu, Caro wita ją uroczyście; w sypialni matki czekają kwiaty i ciasto.

- Marchewkowe. - Zoe żuje ze smakiem. - Za pierwszym razem było czekoladowe, potem... Jakie? Waniliowe?

- Chyba cytrynowe.

- A potem waniliowe. Teraz marchewkowe. Co zrobisz, kiedy w cukierni skończy się asortyment? Chyba wtedy będzie dla mnie czas umierać.

Często grają w remika. W pierwszych miesiącach Caro nie wygrała ani jednej partii. Teraz wygrywa każdą.

Jest styczniowy wieczór. Pada deszcz. Flavia ma wolne. Zoe leży i ogląda stare zdjęcia. Caro w kuchni szykuje kolację. Matka ją woła. Biegnie do sypialni.

Zoe siedzi na łóżku.

- Chcę ci coś pokazać.

- Przestraszyłaś mnie - złości się Caro, - Myślałam, że coś się stało.

- Siadaj. - Zoe otwiera stary album oprawiony w zieloną skórę.

Caro nigdy go nie widziała. Siada koło matki i przygląda się czarno - białym fotografiom.

Zoe stuka czerwonym paznokciem w jedno zdjęcie.

- To on.

Caro patrzy uważniej. Na zdjęciu jest młody jasnowłosy mężczyzna, stoi bokiem do aparatu. Uśmiecha się lekko, jakby usłyszał wołający go ukochany głos.

- Max.

Caro pamięta to imię. Matka mówiła już o nim wtedy, w Nowym Jorku, po śmierci Tristana. Mówiła, że rozumie Caro, bo sama przez to przeszła. Z Maksymem. Mieliśmy wyjechać do Paryża, ale zginął w wypadku samochodowym.

A więc to jest Max. Caro delikatnie dotyka zdjęcia. Wydaje się ufnym i miłym. Jak ktoś tak młody może tak wcześnie umrzeć.

- Miłość mojego życia.

- Wiem. Już mi mówiłaś.

- Ale nie powiedziałam ci... że byłam z nim w ciąży.

Caro jest w Anglii, wychodzi z posterunku policji. Nagły ból, krew i już nie ma dziecka jej i Tristana.

- Przykro mi.

Zoe kręci głową.

- Niepotrzebnie, skarbie.

- Jak to?

Zoe jest bardzo blada.

- Urodziłam to dziecko. Urodziłam ciebie.

Caro milczy. Czuje, że swędzi ją ramię. Patrzy na żółty wzór na kołdrze. Słucha zawodzenia wiatru za oknem.

- Więc... - Słowa nie przechodzą jej przez gardło. Wydusza je z trudem. - Chcesz powiedzieć...

- Tak.

Ucisk w gardle puszcza.

- Ale mój ojciec. - Caro robi się czerwona. Słowa jak z opery mydlanej. - Wiedział?

Zoe też robi się czerwona.

- Nie. Zginął, zanim dowiedziałam się... o tobie.

- Nie Maksa miałam na myśli - poprawia Caro okrutnie. - Tylko twojego męża.

- Nie - Zoe odpowiada po dłuższej chwili. - Barton nie wiedział.

Caro nie wierzy własnym uszom.

- Nie wiedział? Nie wiedział?!

- Nie. - Zoe ma czerwone plamy na twarzy. - Poznałam Bartona zaraz po śmierci Maksa, mógłby być twoim ojcem.

- Ale nie jest.

- Nie.

Caro wstaje. Nerwowo krąży po pokoju.

- Więc ten człowiek, którego przez całe życie uważałam za ojca, nie ma ze mną nic wspólnego.

- Nieprawda - obrusza się Zoe. - Barton pomagał mi cię wychować. Kocha cię.

Caro patrzy jej w oczy.

- Czemu mu nie powiedziałaś?

Zoe nie ucieka wzrokiem.

- Bo chciałam dla ciebie jak najlepiej. Twoje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej, gdyby nie on.

Caro odwraca głowę.

- Mimo wszystko nie mogę w to uwierzyć.

Wybiega z pokoju, wybiega z domu. Jest w samej koszuli. Zimne powietrze przeszywa ją dreszczem. Biegnie i biegnie, coraz szybciej. Kiedy czuje ból w piersiach, zwalnia.

Nie jest Caro Andrews. Mężczyzna w nowojorskim wieżowcu nie jest jej ojcem. Adam i Meg to nie jest jej rodzina. Jeździła do obcych.

Siada na krawężniku, bawi się liściem. Czuje na ramionach dłoń Bartona, czuje, jak Adam ciągnie ją za rękaw. Nie, to nieprawda. To nie są obcy. Może nie rodzina, ale prawie.

Wstaje, powoli wraca do domu. W jej myślach pojawia się mężczyzna z fotografii. Max o jasnych włosach. Jasnych jak jej włosy.

Wchodzi do pokoju Zoe. Matka leży bez ruchu, album zsunął się na koc. Caro siada koło niej, bierze album i przygląda się uśmiechniętemu blondynowi na zdjęciu.

- Opowiedz mi o ojcu - prosi.

Caroline

- Nie chcę jechać! Nie chcę! - wrzeszczy Alexander.

Caroline ma ochotę nim potrząsnąć.

- Musimy - tłumaczy. - Zoe chciałaby cię zobaczyć. Będzie fajnie.

Pooglądasz sobie z Flavią telewizję.

Mały wzdycha ciężko.

- Dobrze - mówi z wahaniem. - Ale muszę ją całować?

Caroline patrzy w jego niespokojne oczy. Wyobraża sobie, jak może to odczuwać dziecko: pielęgniarka, ściszone głosy, obce zapachy, lekarstwa i chuda postać na łóżku.

- Nie, nie musisz - klęka i obejmuje go mocno.

Dojeżdżają do domu Zoe tuż po zachodzie słońca. Zapada zmierzch, dom wydaje się złowrogi i ponury. Caroline biegnie do środka.

- Jak się dzisiaj czuje?

Flavia kręci głową.

- Nie najlepiej. Miała straszne bóle. - Patrzy na Alexandra. - No, kawalerze, zagramy w karty?

Caroline odprowadza ich wzrokiem. Dobrze im ze sobą. Zazdrości im godzinki w kuchni przy grze w piotrusia.

Cicho zagląda do sypialni. Zoe leży spokojnie, ma zamknięte oczy, obok niej stary album na zdjęcia oprawiony w zieloną skórę.

- Zoe?

Zoe krzywi się z bólu, zaraz jednak unosi drżące powieki.

- Witaj, skarbie.

- Jak się czujesz?

Zoe klepie ją po ręce.

- Wspaniale. Dobrze, że przyszedłeś. Chcę ci coś pokazać.

Usiłuje podnieść okładkę albumu - jest dla niej za ciężka. Caroline jej pomaga. Powoli przekłada kartki pełne fotografii z przyjęć i wypadów na narty, ze świąt i rejsów, od końca aż do początku. Oto Zoe w ogrodniczkach. Zoe z długimi włosami, na sankach. Zoe na przyjęciu sylwestrowym, z kieliszkiem szampana. Zoe młodsza od Caroline.

- Jesteś taka piękna.

Zoe unosi rękę. Stuka znacząco długim czerwonym paznokciem w zdjęcie.

- To on - mówi.

Na zdjęciu jest młody jasnowłosy mężczyzna. Stoi bokiem do aparatu, uśmiecha się lekko.

- Kto to? - pyta Caroline uprzejmie.

- Twój ojciec.

- Nie - poprawia Caroline spokojnie. - To nie tatuś. - Szybko przegląda album. - O, to jest mój ojciec. - Pokazuje zdjęcie Bartona.

Zoe przecząco kręci głową.

Caroline jest blada jak ściana. Wstaje i idzie do kuchni.

Flavia i Alexander siedzą przy stole, pochłonięci grą.

- Flavia, z Zoe jest coś nie w porządku. Jej umysł... błądzi.

Flavia zrywa się na równe nogi, karty się rozsypują, Alexander płacze.

- Niech się pani nie martwi, pani Caroline - zapewnia. - Wzięła dzisiaj dużo lekarstw. Zajmę się nią. Niech się pani nie martwi.

Wybiega z kuchni. Caroline patrzy na rozsypane karty, na uśmiechniętą twarz Czarnego Piotrusia.

Następnego dnia Caroline zagląda do sypialni. Zoe spokojnie czyta gazetę.

- Cześć, kochanie - wita ją. - Nie wyobrażasz sobie nawet, jakiego pecha ma Burt Reynolds, biedaczysko.

- Dobrze się czujesz? - niepokoje się Caroline.

- Jak nigdy.

- Chodzi o to, że... wczoraj... pokazałaś mi zdjęcie....

- Ach, tak

- I powiedziałaś, że to mój ojciec. - Caroline głośno przełyka ślinę.

- Flavia mówiła, że wzięłaś dużo lekarstw.

Zoe długo się jej przygląda.

- Tak - mówi w końcu. - Może rzeczywiście wzięłam za dużo lekarstw.

Jest połowa lutego. Po południu. Wieje zimny wilgotny wiatr. Caroline parkuje przed domem Zoe i biegnie do środka. Zoe leży. Caroline siada na łóżku.

- Wpadłam dzisiaj tylko na moment - mówi. - Muszę odebrać Alexandra, ale właśnie byłam w bibliotece i pomyślałam, że to ci się spodoba.

Wyjmuje z torebki biografię Shirley Temple i kładzie koło łóżka.

- Dziękuję, skarbie - mruczy Zoe. - Ech, jakie ta mała miała maniery. Marzenie każdego agenta. - Marszczy brwi. - Nie podoba mi się kobieta, która kupiła moją agencję. Nigdy jej nie lubiłam. Już jako dziecko była wredna. - Patrzy na Caroline. - Szkoda, że ty nie poprowadzisz po mnie firmy.

- O nie, Zoe, nie masz czego żałować - zapewnia Caroline. - Nie nadaję się do tego i ty doskonale o tym wiesz.

Zoe uśmiecha się smutno i kiwa głową.

- I tak szkoda - mówi. - Obserwuję tę nową dziewczynkę, wiesz, z reklamy orzeszków ziemnych. Ufarbować ją na rudo i mamy idealną Pippi Langstrumpf. Mój znajomy z NBC mógłby coś załatwić. Na pewno nie chcesz?

- Na pewno.

Caroline idzie do kuchni i prosi Flavię o herbatę. Kiedy wraca, pokój matki jest zupełnie odmieniony. Coś, co było, odeszło na zawsze.

Caroline powoli podchodzi do łóżka, osuwa się na kolana. Dotyka białej dłoni z długimi czerwonymi paznokciami.

- Zoe? - szepcze.

Caroline krąży po Beverly Hills. Rodeo Drive, Dayton, Camden. Nigdy nie przepadała za Beverly Hills, w przeciwieństwie do Zoe, która je uwielbiała.

Mija sklepy, restauracje, salony piękności. Zastanawia się, które Zoe lubiła najbardziej, i nie ma zielonego pojęcia.

Staje, nie może iść dalej. Patrzy na wystawę najbliższego butik. Widzi na manekinie za szybą kolorową chustę, taką jakie zawsze nosiła Zoe. Dotyka zimnego szkła. Wydaje jej się, że słyszy śmiech matki.

Caroline jest w domu Zoe, siedzi na pomarańczowym dywanie. Trzyma Alexandra w ramionach. Opowiada jej o przedszkolu, a ona stara się go słuchać. Woli nie myśleć o tym wszystkim, czym musi się zająć.

Dzwoni telefon.

Powoli podnosi słuchawkę.

- Caroline? Tu Herb Waller.

Prawnik Zoe. Wstrzymuje oddech.

- Jak się pani czuje?

- Dobrze - mówi. - Proszę pana, wiem, że muszę podjąć pewne... decyzje. Tylko że... jeszcze nie jestem w stanie. Ale obiecuję, jutro się wszystkim zajmę.

Słyszy zdziwienie w jego głosie.

- Czym? Zoe sama się wszystkim zajęła. Zaplanowała wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Chciałem zaproponować, że dziś wieczorem wpadnę na chwilę i pewne sprawy razem ustalimy.

Caroline zamyka oczy. Czuje ulgę.

- Dobrze.

- Musimy też porozmawiać o testamencie. Wezmę papiery ze sobą. To nie potrwa długo - dodaje. - Wie pani, że Zoe zostawiła pani wszystko.

- Nie. Nie wiem.

Caroline zabiera Alexandra do parku. Ma na sobie sweter, chowa ręce do kieszeni, ale ciągle jej zimno. Dlaczego Zoe zostawiła jej wszystko? Wiedziała przecież, że ona nie umie dobrze gospodarować.

Nie ma pojęcia, ile tego jest. Może tylko troszeczkę, tyle, żeby zabrać Alexandra do Grecji, jak tego chciała Zoe. A jeśli więcej? A jeśli wystarczy na zakup udziałów w Małych Światach? To jej marzenie - ale Zoe byłaby zawiedziona.

Caroline wbija dłonie w kieszenie swetra. Wie, czego chciałaby matka. Nie może dłużej udawać, że tego nie wie. Marzeniem Zoe było, żeby odkupiła jej agencję i poprowadziła ją dalej.

Stoi nieruchomo.

Zrobi to, jeśli wystarczy pieniędzy. Zostanie w Kalifornii i w hołdzie dla matki dalej poprowadzi Dzieci Zoe.

Kryje twarz w dłoniach.

Herb Waller przychodzi z papierami. Są bezduszne i suche; podpis Zoe, zamaszysty jak zawsze, jest dla niej szokiem. Caroline, odrętwiała, zgadza się na wszystko.

W końcu przechodzą do testamentu. Pieniądzy wystarczy na wyprawę do Grecji. Wystarczy na dobrą szkołę dla Alexandra. Wystarczy nawet na zainwestowanie w Małe Światy, choć nie na prawach wspólnika. Lecz nie wystarczy na uratowanie agencji.

Caroline przeszywa dreszcz żalu i ulgi zarazem.

Następnego ranka idzie do Dzieci Zoe. Czeka we foyer tylko chwilę, zaraz zjawia się Lisa Rodin.

- Caroline - smutno kiwa głową. - Tak mi przykro z powodu twojej matki. Miałam zamiar zadzwonić.

- Dziękuję. Cóż. Chciałam ci tylko powiedzieć, że teraz, kiedy jej nie ma, nie będę tu dłużej pracować.

- No tak. - Lisa wcale się nie przejęła.

- I jeszcze jedno... wspominałaś kiedyś, że masz tu gdzieś rzeczy Zoe.

- Tak. Nie wysłałam ich jeszcze?

- Nie.

- No to obiecuję, że to zrobię. Jutro.

- Czy mogłabyś poszukać ich teraz? Nie wiem, jak długo tu zostanę.

Lisa wzdycha.

- Ariadne! - woła i młodziutka sekretarka przybiega z sąsiedniego pokoju. - Idź z Caroline do piwnicy i pomóż jej odnaleźć stare pudła. Powinny być podpisane. - Uśmiecha się sztucznie. - Mam spotkanie. Muszę lecieć. Do widzenia.

Caroline niemal do razu znajduje pudła.

- Mogę przejrzeć je tutaj? - pyta Ariadne. - Chciałabym tylko zobaczyć, co w nich jest.

- Pewnie. - Dziewczyna kiwa głową - Ja wracam na górę. Powodzenia. Przykro mi z powodu twojej matki.

Caroline siada przy pudłach. Delikatnie dotyka największego. Nie otwiera go przez dłuższą chwilę. Gdy w końcu to robi, znajduje w środku najróżniejsze skarby: gipsową papugę, marokański gobelin, zdjęcia małych aktorów Zoe i pożółkłe scenariusze. Zawartość innych pudeł jest podobna. Zagląda do wszystkich, a później starannie wszystko pakuje.

Jeszcze chwilę siedzi przy pudłach, wreszcie wstaje powoli. Nieważne, gdzie zamieszka, nieważne, jak potoczy się jej życie, zawsze znajdzie się u niej miejsce na rzeczy matki.

Nabożeństwo żałobne odbywa się w sobotę.

Caroline przyjeżdża pierwsza. Wita ją niejaki pan Millhouse. Jest taktowny i dyskretny. Prowadzi ją do kaplicy.

Zoe napisała w liście do prawnika, że nie chce kwiatów, lecz Caroline wie, że byłaby zachwycona, widząc morze kwiatów. Najbardziej lubiła orchidee; ich zapach wypełnia salę, przywodzi na myśl jej perfumy. Caroline odwraca się, przekonana, że matka idzie przez kaplicę.

Pochyla się i czyta napisy przy wieńcach. Wielu nazwisk w ogóle nie zna. A potem widzi znajomy charakter pisma.

Żegnaj, Zoe.

Barton.

Przysłał jej orchidee.

Powoli schodzą się inni. Caroline nie chce nikogo widzieć. Ucieknie do małej salki zarezerwowanej dla najbliższej rodziny. Jest tu sama.

Kaplica jest pełna. Zaczyna się nabożeństwo, jedyne w swoim rodzaju. Zoe, która to wszystko zaplanowała powinna była zająć się

reżyserią. Jest muzyka - gra jej ulubiony bluesowy pianista, są fragmenty filmów z jej dziećmi. Są przemówienia, i śmiech.

Wszyscy używają tego samego słowa, mówiąc o Zoe - oryginalna.

Caro jest z niej dumna. Wie, że ona wcale nie jest oryginalna. Po Zoe została tylko ona i Alexander, a w żadnym z nich nie ma krzty oryginalności.

Nabożeństwo dobiegło końca. Caroline czeka, aż kaplica opustoszeje, wstaje i wychodzi bocznymi drzwiami. Idzie przez parking, gdy ktoś woła ją po imieniu.

- Caroline?

Zatrzymuje się i odwraca. W jej stronę idzie wysoki ciemnowłosej mężczyzna w okularach.

- Tak, to ja.

Mężczyzna się uśmiecha.

- Wiem, że to ty. Pewnie mnie nie pamiętasz, kiedyś...

- Steven Lasky - mówi Caroline.

- Tak - jest mu miło.

- Cieszę się, że cię widzę.

Bierze ją za rękę.

- Bardzo mi przykro z powodu Zoe. Tacy ludzie jak ona zaprzeczają istnieniu śmierci.

- To prawda.

- Nawet jej dobrze nie znałem, ale mam wrażenie, że wywarła olbrzymi wpływ na moje życie. Wariactwo, co?

Caroline kręci głową.

- Chyba wiele osób ma takie wrażenie. Idą razem do białego mercedesa.

- Co robisz? - pyta Caroline. - Ostatnio, kiedy się widzieliśmy, wybierałeś się do college'u.

- Rzeczywiście. Boże, jak to dawno. Jestem dziennikarzem.

- W Los Angeles?

- Nie, w Nowym Jorku. Przyjechałem tylko na pogrzeb.

Caroline się uśmiecha.

- Zoe byłaby zachwycona.

- Wiem. - Idą w milczeniu. - Mówiła, że ty też mieszkasz w Nowym Jorku.

- No, tak było. Nie wiem, co teraz.

Steven patrzy na nią uważnie.

- A co chciałabyś robić?

- Otworzyć muzeum miniatury.
- Brzmi wspaniale. Wiesz, do kogo się zwrócić po darmową reklamę.

Caroline przecząco kręci głową.

- Dzięki, ale nie wiem jeszcze, jak to będzie.

- Dlaczego?

- Trudno powiedzieć. Marazm. Zobaczymy.

W milczeniu stoją przy samochodzie.

- Zoe zawsze o tobie opowiadała - mówi wreszcie Steven. - O tobie i twoim synku. Była z was bardzo dumna.

Caroline milczy. W żadnym z nich nie ma krzty oryginalności.

- A ty? - pyta w końcu. - Masz dzieci?

- Nie, w ogóle nie mam rodziny. Ożeniłem się zaraz po studiach, ale nam się nie udało.

Caroline kiwa głową.

- Wiem, widziałam w gazecie zawiadomienie o twoich zaręczynach. Bardzo mnie to zmartwiło. - Czerwieni się. Nie do wiary, że to powiedziała.

Steven mruga szybko.

- Naprawdę?

- Tak.

Uśmiecha się.

- Posłuchaj - mówi. - Teraz masz pewnie milion rzeczy na głowie, ale gdybyś kiedyś miała ochotę na kawę, tu czy w Nowym Jorku, zadzwoń. - Podaje jej wizytówkę.

Caroline jedzie do Midvale, do domu, w którym Zoe dawniej mieszkała. Nie była tu, odkąd matka przeprowadziła się do Beverly Hills.

Parkuje samochód, wysiada na chodnik, ten sam, którym szła, gdy po raz pierwszy przyleciała do Kalifornii, kiedy miała siedem lat. Co to był za dzień. Po raz pierwszy zobaczyła wtedy palmy. I hibiskusy. I kwiaty pomarańczy. I Zoe.

Idzie na tył osiedla, nad basen. Jest mniejszy, niż zapamiętała, ale równie błękitny. Poza tym nic się nie zmieniło. Ten sam popękany beton dookoła, te same drewniane leżaki.

Caroline zdejmuje buty i moczy stopę. W lutym woda jest lodowata. Myśli o Zoe, o tym, co powinna zrobić. A potem podnosi ręce i, w ubraniu, skacze do wody.

Póki z budynków nie wybiegną ludzie, w tym momencie jest najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Caro

Lutowe popołudnie. Dzień jest pochmurny, Zoe niespokojna.

- Wiesz, na co miałabym ochotę? - mówi nagle. - Na jabłko granatu. Ja i Biblia. Nie wiem dlaczego, myślę o nim od rana.

Dobrze, że Zoe znowu czegoś chce.

- Zaraz kupię - obiecuje Caro. - Pobiegnę do sklepu z owocami. Zostaniesz z Flavią, dobrze?

- Pewnie.

Wieje zimny, przenikliwy wiatr. Caro idzie szybkim krokiem, kupuje owoc i przygląda mu się badawczo; nie wiadomo dlaczego, wydaje się złowrogi.

W drodze do domu zatrzymuje się przed sklepem ze starą biżuterią. Zauważa dużą broszkę, tygrysie oczko. Wyobraża sobie, jak stoi na dziobie statku w brązowym szalu od Hermesa, spiętym tą broszką i przygląda się falom.

Ktoś bezszelestnie stanął za nią. Caro widzi niewyraźne odbicie w sklepowej witrynie. Uśmiechnięta kobieta w kapeluszu. Zoe.

Caro się odwraca. Nikogo nie ma.

Pędzi do domu. Czuje strużkę potu na plecach.

Gdy tylko staje w progu, już wie. Coś, co było, odeszło na zawsze. Z sypialni wychodzi zapłakana Flavia.

- Och, pani Caro - mówi.

Caro patrzy na brązową torbę, którą trzyma w dłoni. Upuszcza ją.

Zabrano Zoe. Karetka cicho odjechała i już zniknęła za rogiem. Zoe ucieszyłaby się na jej widok. Obserwowałaby ją z okna, zgadywała, kto umarł. Chociaż wolałaby więcej zamieszania - syreny, migające koguty.

Caro wraca do domu. Cisza ją przytłacza. Idzie do sypialni Zoe. Łóżko zasłane na zawsze; nikt już nie odrzuci ciężkiej narzuty. Wchodzi do garderoby Zoe. Zamyka oczy i bierze głęboki wdech. Pachnie tu perfumami. Jeszcze jeden głęboki wdech, tak głęboki, że aż kręci jej się w głowie.

Siada na podłodze. Pod sukniemi wieczorowymi dostrzega kartonowe pudło. Wyciąga je.

Informacje o dawnych klientach agencji. Powoli przegląda pożółkłe fotografie. Jasnowłose dziewczynki w sukienkach z bufkami. Chłopcy w kowbojskich kapeluszach, z umieszczonymi wysoko strzelbami. Bliźniaki w wannie.

Dziwna jest świadomość, że wszyscy już dorośli. Czy w ogóle pamiętają, że jako dzieci marzyli o karierze na ekranie? Caro wyobraża

sobie, jak matki mówią do swoich dzieci: „Kiedy byłam w twoim wieku, chciałam zostać aktorką. I pomagała mi pewna pani, która zawsze nosiła kolorowe chusty”.

Miło jest pomyśleć, że może tak wspominają Zoe.

Na samym dnie pudła znajduje ostatnie zdjęcie. Jasnowłosa dziewczynka siedzi na murku z bukietem stokrotek w dłoni. Caro się uśmiecha. Pamięta, kiedy robiono to zdjęcie. Kłóciła się z Zoe, co ma włożyć.

Chciała być w nowej różowej sukience z falbankami, a Zoe uparła się na prosty fartuszek. Miała rację, jak zawsze.

Caro patrzy na zdjęcie poważnej dziewczynki. Dziwne, że z tych wszystkich dzieci tylko ona została aktorką.

Dzwoni telefon. Caro wybiega z garderoby i podnosi słuchawkę.

- Halo?

- Dzień dobry, moja droga. - To Herb Waller, prawnik matki. - Jak się czujesz?

- Dobrze.

- No tak. - Ma smutny głos. Caro podejrzewa, że kochał się w Zoe od lat. - Posłuchaj, chciałbym ci zaproponować, że dziś wieczorem wpadnę na chwilę i pewne sprawy razem ustalimy.

- Dobrze. - Caro nawet o tym nie pomyślała, ale oczywiście, tyle spraw trzeba załatwić. Czuje ulgę, że nie zostanie z tym sama.

- Nie ma tego dużo. Zoe zostawiła jasne instrukcje. I odczytam ci testament. Też niezbyt skomplikowany. Wiesz, że zostawiła ci wszystko.

Caro odkłada słuchawkę, wraca do garderoby i siada na podłodze.

„Zostawiła ci wszystko...”

Nie chce wszystkiego. Nie chce właściwie niczego. Nie weźmie pieniędzy matki; nie wyobraża sobie sprawy na tyle szlachetnej, że mogłaby je na nią wydać.

Znów patrzy na pudło ze zdjęciami.

Nabożeństwo żałobne odbywa się w sobotę. Dom pogrzebowy Westwood jest niedaleko domu, w którym Caro dorastała. Tyle razy przejeżdżały tędy z Zoe, rozmawiały o ciuchach, płytach, castingach.

Caro parkuje białego mercedesa matki i wysiada.

Ma na sobie jaskrawoczerwoną sukienkę.

Rozgląda się dokoła. Glendon Avenue. Niedaleko, za rogiem, była lodziarnia, często wpadały tam z Zoe na colę. Lodziarni nie ma już od

dawna, ale budynek stoi, tak jak stał. Przez chwilę Caro wyobraża sobie, że przyjechała tu z matką na miętowe lody.

Wchodzi do domu pogrzebowego. Niejaki pan Millhouse prowadzi ją do kaplicy. Przyjechała pierwsza.

Wszędzie są kwiaty. Uwagę zwraca wielki bukiet orchidei, ukochanych kwiatów Zoe. Caro zerka na bilecik, kto je przysłał, i uśmiecha się lekko.

Zoe byłaby zachwycona - ponad dwadzieścia lat po rozwodzie były mąż przysłał jej orchidee.

Powoli schodzą się inni. Widok ludzi w żałobie to dla Caro zbyt wiele, ucieka do małej salki zarezerwowanej dla najbliższej rodziny. Jest tu sama.

Nabożeństwo jest wspaniałe, przemyślane jak wieczór oskarowy. Są fragmenty filmów i pianista grający bluesa, są przemówienia wszystkich tych, którzy kochali Zoe. Jedno słowo powtarza się co chwila - oryginalna.

A Caro myśli: ja też jestem oryginalna.

Na zakończenie Herb Waller wychodzi na środek i proponuje, żeby pożegnali Zoe tym, co kochała najbardziej - owacją na stojąco.

Caro wstaje, bije brawo, krzyczy i wyobraża sobie, jak Zoe kłania się z promiennym uśmiechem.

Czeka, aż wszyscy wyjdą, i idzie do bocznego wyjścia.

- Caro!

Odwraca się.

Steven Lasky.

- Nie wierzę własnym oczom - mówi.

Obejmuje go serdecznie. Milczą przez dłuższą chwilę.

- Zoe podobałaby się twoja mucha - mówi Caro. Jest żółta, w kieliszki martini.

- No pewnie. Sama mi ją dała.

Wychodzą na dwór. Jest zimny, słoneczny dzień.

- Jedźmy na plażę - proponuje Caro.

Steven się waha.

- Dobrze.

- Weźmiemy samochód Zoe. Twój zostanie tutaj.

Wsiadają do mercedesa.

- Co to? - Steven dotyka medalika na łańcuszku przy lusterku.

- Święty Juda, patron zagubionych i błądzących. Zawsze twierdziła, że ma z nim wiele wspólnego.

Steven się uśmiecha.

- Ciekawe, czy uważała, że ja zblądziłem.

- Ty nie. Ale ja...

Przekręca kluczyk w stacyjce.

- Zawsze jeździliśmy z Zoe na małą plażę niedaleko Venice.

Pasuje?

- Pasuje.

- Pod koniec lata, tuż przed początkiem roku szkolnego, urządzaliśmy tam sobie piknik.

- Jeśli chcesz, możemy coś kupić. I też urządzić piknik.

- Nie, nie trzeba.

Jadą w ciszy.

- Co teraz chciałabyś robić? - pyta nagle Steven.

Caro wzrusza ramionami.

- Nie wiem, czy to cię jeszcze interesuje, ale nasza sztuka wciąż jest popularna - zaczyna Steven. - Ludzie dzwonią i pytają, czy nie zagrałabyś w college'ach.

Caro przecząco kręci głową.

- Dzięki, ale chyba zrobiłam dla Katherine Mansfield wszystko, co mogłam.

- No, tak. Ale czy ona zrobiła wszystko dla ciebie?

- Chyba zrobiła. - Uśmiecha się. - Właściwie - mówi powoli - zamierzam tu zostać. Może założę agencję... dla małych aktorów.

- I nazwiesz ją Dzieci Caro?

Caro się śmieje.

- Jezu, czy ja już całkiem zwariowałam?

- Może.

- Dużo o tym myślałam. Fajnie jest być małym aktorem. Czujesz się kimś wyjątkowym. Chciałabym dać to jakiemuś dziecku.

- A nie łatwiej byłoby przejąć agencję Zoe?

Caro kręci głową.

- Nie mam na to pieniędzy. Zresztą wolałabym zacząć od zera. Może. Nie wiem.

- Cóż, jeśli już się zdecydujesz, wiesz, do kogo się zwrócić po darmową reklamę.

Caro głaszcze go po dłoni.

- Właściwie najpierw muszę zrobić coś innego - mówi.

- Tak? A co? - ponagla ją po długiej chwili ciszy. - Powiesz mi?

- Cóż, to też wariactwo. Muszę się dowiedzieć jak najwięcej o pewnym mężczyźnie, o Maksie.

- Max? - powtarza Steven powoli. - Kto to jest?

Caro się uśmiecha.

- Powiem ci, jak sama będę wiedzieć więcej.

- Czy powinienem być zazdrosny?

- Nie.

- Rozumiem. - Steven chrząka. - A czy w twoich rozlicznych planach jest miejsce na to, żebyś może któregoś dnia była ze mną?

Caro rzuca mu krótkie spojrzenie i uśmiecha się pod nosem.

- Może.

Idą wzdłuż plaży, po piasku.

- Strasznie zimno - mówi Caro. - I nie mamy na czym usiąść. Zniszczysz sobie garnitur.

- Nie szkodzi.

Steven siada na piasku i patrzy na ocean. Jest późno, ciemne niebo wisi nisko nad wodą.

- Wrócę - obiecuje Caro.

Zrzuca buty i zaczyna biec.

Biegnie, biegnie i biegnie. Wiatr smaga ją po twarzy, sypie piaskiem w oczy.

Jest coraz bardziej zmęczona, bolą ją nogi. Ale biegnie dalej. Odwraca się. Odbiegła daleko, Stevena już nie widać. Biegnie dalej.

Caroline/Caro

Urodziny Caroline. Urządza wieczorem przyjęcie - nic specjalnego tylko rodzina, no i zaprosiła też Trinę i inne panie z zarządu Muzeum Miniatury. Na razie wszystko jest pod kontrolą. Steven poszedł po tort, kanapki są gotowe, mała śpi u siebie.

Caroline siada na chwilę na aksamitnej kanapie Zoe.

Urodziny Caro. Nie chciała ich obchodzić, tłumacząc, że to nieprzyzwoite, żeby dziecięca gwiazda kończyła trzydziestkę, ale Steven się uparł. Przyleciał z Nowego Jorku i zabiera ją na kolację.

Ma jeszcze godzinę, zanim zacznie się szykować. Sprząta w salonie, odkłada papiery na bok. Wygląda na to, że podpiszą kontrakt z Gretchen Oldman, ale na razie nie chce o tym myśleć.

Siada na chwilę na aksamitnej kanapie Zoe.

Mała budzi się i płacze. Caroline idzie do pokoju dzieciennego.

- Zoe, Zoe - mruczy. - Dziś jest radosny dzień. Urodziny mamusi.

Bierze małą i idzie z nią do salonu. Na kanapie leżą prezenty - naszyjnik od Stevena, półka, którą Alexander zrobił własnoręcznie, kaszmirowy komplet od Bartona i Meg, puzderko od Triny. I karty z życzeniami.

Dzwoni telefon. Caro podnosi słuchawkę i uśmiecha się radośnie. Gretchen podpisze kontrakt z agencją. Kończy rozmowę i podchodzi do biurka.

Ma różne pomysły. Heidi, tak, ale dlaczego nie nowa wersja Drzewa na Brooklynie? Gretchen byłaby świetną Flossie Gaddis. A ona, Caro, jeśli czas pozwoli, postara się o rolę Katie Nolan. Uśmiecha się zadowolona.

Steven wraca z tortem.

- Mogę zobaczyć? - dopomina się Caroline, a on się śmieje.

- Zwariowałaś? Poczekasz do przyjęcia.

Pokazuje za to ciasto małej Zoe, która klaszcze z radości.

Steven przychodzi po Caro. Całuje ją i wręcza małą srebrną paczuszkę.

- Teraz nie otworzę - oświadcza Caro. - Dopiero jutro.

- Przecież już będzie po urodzinach.

- I o to chodzi - tłumaczy. - Niech mi zostanie jeszcze jedna niespodzianka.

Herbata wypita, kanapki zjedzone. Nagle gasną światła. Steven i Alexander wnoszą ogromny tort czekoladowy.

- Happy birthday to you... - śpiewają wszyscy.

Zjedli główne danie. Nagle uśmiechnięty kelner wnosi tort urodzinowy.

- Happy birthday to you... - zaczyna Steven, a cała restauracja mu wtóruje.

- Pomyśl życzenie i zdmuchnij świeczki! - mówi Alexander.
Caroline patrzy na uśmiechnięte twarze.

- Mam wszystko, czego pragnę.

- Pomyśl życzenie i zdmuchnij świeczki! - mówi Steven.
Caro patrzy na jego uśmiechniętą twarz.

- Mam wszystko, czego pragnę,

- Musisz wypowiedzieć życzenie!

- No, dobrze. - Caroline się prostuje.

Caro się śmieje i unosi ramiona do nieba.

- Chcę gwiazdkę z nieba - krzyczą. - I pomarańczowe łyżwy!

Podziękowania

Autorka, wdzięczna za okazaną pomoc, chciałaby podziękować Tieli Garnett, Sandy Holt, Marcowi Mantellowi, Christopherowi Stone'owi i Kate Supnik.

Także swojej cudownej rodzinie: cierpliwemu Bobowi, złotej Lizie i anielskiej Rebecce.

Swojej agentce i przyjaciółce Doris Halsey.

Wszystkim w wydawnictwie Kensington, zwłaszcza Walterowi Zachariusowi, Laurie Parkin, Amandzie Rouse, Janice Rossi Schaus i Dougowi Mendiniemu. Ze nie wspomnę jedynej i wyjątkowej Ann LaFarge.

Dziękuję wam wszystkim.